

9521

Bibl. Jag.

III

1

1

Wstęp

FERDYNAND KURAS

W słowie wstępnym części pierwszej moich wspomnień przyobiecuję - „jak Bóg da” - opowiedzieć ciąg dalszy kolejnego życia. Opisywanie osobistych przeżyć, wprost z pamięci, w rzeczywistości by-
ły, bez przybierania pozory, opisywanie wolne od choćby najmniejszej
fantazji, to doprawdy do przyobiecanej autorskiej nie należy. Czę-
stokroć trudno powstrzymać się od skrajnej, ciężko stru-
wid jak, gdy coś naboli.

Tom II.
Przeżycia osobiste

1
wspomnienia od wybuchu wielkiej wojny 1914 do 1928 roku. Ię do pi-
sania, a to tym bardziej, że ponoć rzadkimi są wypadki, by niedzarny
pretekst pisał historię własnych przeżyć. Prawda, nie brak w litera-
turze opisów życia niedzarny, tworzyła je jednak obca myśl, nie zdol-
na wznieść się w istoty rzeczywistości, więc takie opisy z pod cudze-
go pióra w każdym wypadku są nierealne.

Dalej, nie mała było dla mnie podjęcie do kontynuowania opo-
wiesci swe serdeczne przyjęcie, z jakim w szerokich kręgach czyteln-
ników spotkała się część pierwsza opisu moich przeżyć przez ciernie
życia.

Słabiutka jest już nie tego życia, tego biednego życia, w któ-
re coraz to straszliwsze gromy z dopuszczenia Bożego bity - i nie
zabili. Jeżeli więc Łaska Stwórcy udzieli mi jeszcze parę latków do
stańnięcia na ziemi i potrzebnych sił, starać się będę dać zionkiem
wykonany obraz bytowania polskiego niedzarny; jeśli zaś wcześniej
moje utrudzone kości spoczną w mogile - proszę redaktorów o dobre
wspomnienie.

Br. II parustki Ferdynanda Kurasa (nie drukowan^a)
prepisat z brulionu Michał Marzalek;
brulion uległ zagładzie w r. 1944
w warszawskim mieszkaniu Marzaleka.
Kopię bę otrzymatem od M. Marzaleka
i składam ją w Bibliotece Jagiel.
1 IX 1955 r. St. Ligoni

W s t ę p

W słowie wstępnym części pierwszej mych wspomnień przyobiecałem - "jak Bóg da" - opowiedzieć ciąg dalszy kolejnego życia. Opisywanie osobistych przeżyć takimi, jakimi one w rzeczywistości były, bez przybierania pozy, opisywanie wolne od choćby najmniejszej fantazji, to doprawdy do przyjemności autorskiej nie należy. Często trudno powstrzymać się od skargi na krzywdę, ciężko stłumić jęk, gdy coś zabolę.

A jednak dotrzymać obietnicy trzeba. Więc zmusiłem się do pisania, a to tymbardziej, że ponoś rzadkimi są wypadki, by nędzarzy prostak pisał historię własnych przeżyć. Prawda, nie brak w literaturze opisów życia nędzarzy, tworzyła je jednak obca myśl, nie zdolna wczuć się w istotę rzeczywistości, więc takie opisy z pod cudzego pióra w każdym wypadku są nierealne.

Dalej, nie małą było dla mnie podjętą do kontynuowania opowieści owe serdeczne przyjęcie, z jakim w szerokich kołach czytelników spotkała się część pierwsza opisu mych przejść przez ciernie życia.

Słabiutka jest już nić mego życia, tego biednego życia, w które coraz to straszliwsze gromy z dopuszczenia Bożego biły - i nie zabiły. Jeżeli więc łaska Stwórcy użyczy mi jeszcze parę latków istnienia na ziemi i potrzebnych sił, starał się będę dać ziomkom wykończony obraz bytowania polskiego nędzarza ; jeśli zaś wcześniej moje utrudzone kości spoczną w mogile - proszę rodaków o dobre wspomnienie.

F. K.

W niewie wstępny części pierwszej tych wspomnień przyobiec-
 - iem -- "jak Bóg da" -- opowiedziałeś cię dalszy koleją życia. Opi-
 - sywanie osobliwych przeżyć takimi, jakimi one w rzeczywistości by-
 - ły, bez przybierania pozory, opisywanie wojny od chodby najniższej
 - fantazji, to doprowadzi do przyjemności autorskiej nie należy. Cze-
 - stożek trudno powstrzymać się od skargi na krzywdę, ciężko stin-
 - wie jak, gdy coś zapozi.

A jednak dotrzymasz obietnicy pierwsza. Więc zmusiłem się do pi-
 - sania, a to cyfrowej, że ponad rzadkim są wypadki, by niedźwiedź
 - prostak pisał historię własnych przeżyć. Prawda, nie brak w litera-
 - turze opisów życia niedźwiedzi, tworzyła je jednak obecny, nie xdoi-
 - na wzrusz się w istocie rzeczywistości, więc takie opisy z pod cude-
 - go pisać w każdym wypadku są nieracjonalne.

Tyleż, nie ma się było dla mnie podnieść do kontynuowania opo-
 - wieści owe serdeczne przyjęcie, a jakim w szeregach kochał czytel-
 - ników spotkała się część pierwsza opisu wach przeżyć przez ciernie
 - żywość.

Główna jest tuś nie jego życie, tego biednego życia, w któ-
 - re coraz to straszliwsze grozy z dopuszczeniem Boga były - i nie
 - kabilij. Jeżeli więc jakaś Stwórca rzęczy mi jeszcze parę latka i -
 - stnienia na ziemi i potrzebnych są, starać się będę dać siomkom
 - wykonany obraz pyłowania polskiego niedźwiedzia ; jeżeli zaś wcześniej
 - moje utrudzenia kochaj spocznę w mogile - proszę tożeków o dobre
 - wspomnienie.

F. K.

Iszczą się przepowiednie - Inwazja
rosyjska. - Dzików placówką humani-
tarną. - Spostreżenia. - Bombardowa-
nie.

Więc to już wojna ! Wojna między ciemiężcami polskiego naro-
du. Wojna, o którą w „Litani pielgrzymstwa” modlił się Mickie-
wicz : „O wojnę powszechną za wokność ludów - prosimy Cię, Panie!”

Iszczą się przepowiednie wieszczów naszych ; po stuletniej
nocy niewoli świta udręczonej Ojczyźnie dzień zmartwychwstania.

Rozlegał się wprawdzie płacz i lament matek, żon i dzieci,
którym brutalna ręka zaborcy wydarła i na niepewny, krwawy los
pognała synów, mężów i ojców, ale w podobnych dziejowych wypad-
kach mało komu jest danem losu tego uniknąć.

Między narodem wielu było naiwnych, co to wierzyli rozpusz-
czonym świadomie przez rządowych pupilów pogłoskóm, że wojna
trwać będzie trzy miesiące ; drudzy przeczuwali, że zawierucha
ta potrwa lat parę i z lękiem patrzyli w niepewną przyszłość, a
jeszcze inni - najlepsza część narodu - pragnęli jak najdłuższe-
go trwania wojny, w zupełnym bowiem osłabieniu walczących z sobą
zaborców upatrywali jedyną nadzieję odzyskania wolności, za któ-
rą kilka pokoleń walczyło, w krwawym polu padało, w turmach gniło,
na szubienicach konało, w tajgach sybirskich marło.

I byliśmy świadomi bierpień, jakie w zgliszczach chat naszych,
w głodzie, w chorobach, w pokłosiu śmierci i we wszelakich udrękach
nieuchronnie nawiedzić nas miały. Wszystkie to atoli znieść byliśmy
gotowi, byle cierpieniami tymi wolność swą naród okupił.

„Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie ...
Jedno wiem tylko : sprawiedliwość będzie ;
Jedno wiem tylko : Polska zmartwychwstanie ;
Jedno wiem tylko : na dziejów przestrzeni
Grób nasz nam w życia gmach się przepromieni ”.

Tak wieścił Krasieński. Ale nietylko wielcy poeci głosili to

I jeszcze nie - Inwazja
 - Dzików - Dzików - Dzików
 - Bombardowa - Bombardowa - Bombardowa
 nie .

Właściwie to była wojna i wojna między ciemnocami polskiego narodu
 - wojna, o którą w "Litanii płaćmyśwa" modlił się Mickie -
 wicz : "O wojnę powracającą za wolność ludów - Prosimy Cię, Panie!"

I jeszcze nie przepowiednia wieszczów naszych ; po prostu
 - nie powiedzieliśmy sobie w tym czasie o wojnie i o jej
 - konsekwencjach. Rozległ się wprawdzie płacz i lament matek, żon i dzieci,
 - którym przetrwała ręka zapory wydarła i na niepewny, krwawy los
 - pognała synów, mężów i ojców, ale w podobnych dalszych wypad-
 -kach mało kogo jest danej losu tego uniknąć.

Między narodami wielu było naiwnych, co to wierzili rozpacza-
 -liwym świadomym przez rządzących populiw pogłoskami, że wojna
 - trwałaby tylko miesiąc ; gładzi przetrzymali, że swierzbom
 - za potwora lat parę i z lekkiem parzyli w niepewną przyszłość,
 - że jeszcze inni - najlepsza część narodu - pragnęli jak najdłuższe-
 -go trwania wojny, w zupełnym powiem osłabieniu walczących z sobą
 - zaproszono upatrywali jedyną nadzieję odzyskania wolności, za któ-
 -re kilka pokoleń walczyło, w krwawym polu padło, w turmach gnio,
 - na szubienicach konie, w sążach sypialskich marie.

I byliśmy świadomi cierpień, jakie w szpitalach chat naszych,
 - w szpitalach, w chorobach, w pokłosiu śmierci i we wszelkich ubrękach
 - nieuchronnie nawiedził nas miazg. Wszystkie to stół znieść byliśmy
 - gotowi, byle cierpienia i tymi wojnę swą rzucić okuli.

"Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie...
 - Jedno wiem tylko : sprawiedliwość będzie ;
 - Jedno wiem tylko : Polska smartwyczwatnia ;
 - Jedno wiem tylko : na dalszych przetrzani
 - Grób nasz nam w życiu smach się przepromieni."

Tak wiedzieli Krasiński. Ale nie tylko wtedy poeci ścisili to

zmartwychwstanie. Przeczowali i przepowiadali je także prostaczkowie: robotnicy z fabryk, hut i kopalni, oraz chłopci od pług. Tylko że oni, nie posiadając nauk, nie umieli myśli swych ubrać w wyszukaną formę, oraz że byli zmuszeni każdy dzień życia w znojmym wieść trudzie, więc - jak to zwykle bywa - poszli w zapomnienie.

We wsi Grębowie tarnobrzeskiego powiatu żyje sobie najzwyczajszy w świecie chłopina, na paru morgach piasku gospodarz, Wincenty Motas, który w ładnych, niewyszukanych piosenkach głosił cześć Ojczyzny. Mam pod ręką jeden z Motasowych wierszy, pisany w r. 1894 - więc równo 20 lat przed wybuchem wielkiej wojny - i nie mogę się powstrzymać, by chociaż w skróceniu nie przytoczyć tego serdecznego utworu nieuczonego brata, który tak pięknie czuć i kochać po polsku umiał. Utwór ten to jeden z wielu dokumentów świadczący, jak głęboko chłop polski wierzył, „że ojczyzna jego nazad się powróci”.

„Stara nasza Wisła przez kraj polski płynie,
W nurtach się odzywa, że Polska nie zginie.
Chociaż tak upadła, Bóg o niej pamięta.
Że Polska nie zginie, jest to prawda święta ...
Bóg trzyma świat cały, żywił w nim wszelaki,
A miałby zagubić biedne te Polaki ?
On o nich pamięta, chociaż zagniewany,
Przyjdzie czas, co zrzuci niewoli kajdany ...
To przepowiadają wszystkie nasze drzewa ;
Że Polska nie zginie - ptaszek nawet śpiewa,
Gdy w wiosennej porze w powietrze się wzbije,
Wtenczas sobie śpiewa : Niechaj Polska żyje !
Ogłaszają góry, mówią i doliny,
Że Polska doczeka wesołej nowiny ...
I Polak też sobie taką piosnkę nuci,
Że ojczyzna jego nazad się powróci.
Najmilsze mu śpiewać tylko to jedynie :
Polska nie zginęła i nigdy nie zginie !”

Bitym traktem w kierunku północnym ciągnęły przez Tarnobrzeg nieprzeliczone szeregi austriackich wojsk z działami, strzeliwem, kuchniami polowymi i przeróżnymi furgonami. Ciągnęły dniem i nocą i zdawało się, że pochodom tym końca niema. Armia ta wkroczyła w granice byłej Kongresówki, wojska zaś rosyjskie cofały się w głąb.

Powoli ludzie z obydwu stron Wisły, z początku nieśmiało, potem już coraz śmielej, poczęli przekraczać granicę zaborów. Pewnej niedzieli wybrałem się i ja z gromadką znajomych na tamtą stronę, do

zmarłych. Przekazali i przepowiadali je także prostackowie:
topocnicy z fabryk, hut i kopalni, oraz chłopcy od gina. Tyko są oni,
nie posiadając nauk, nie umieli wydać swych ustów w wyszukana formę,
oraz że byli smaszani każdą dalszą wznajmą wiedzą trudaie,
więc - jak to zwykło bywa - poszli w zapomnienie.
We wsi Grębowie tarnobrzeskiego powiatu żyje sobie najwzkiej-
szy w świecie chłopina, na paru morgach piasku gospodarz, Wincenty
Motas, który w ładnych, niewyżukanych piosenkach głosił część Oj-
czyzny. Mam pod ręką jeden z Motasowych wierszy, pisanym w r. 1894
- więc równo 20 lat przed wybuchem wielkiej wojny - i nie mogę się
powstrzymać, by chociaż w skróceniu nie przytoczyć tego serdecznego
utworu nieznanego autora, który tak pięknie czuło i kochało po polsku
umiał. Utwór ten to jeden z wielu dokumentów świadczący, jak głębo-
ko chłop polski wierzył, "że ojczyzna jego nazad się powróci".

"Stara nasza Wisła przez kraj polski płynie,
W nurtach się odzywa, że Polska nie zginie.
Choć tak upadła, Bóg o nią pamięta,
Że Polska nie zginie, jest to prawda święta ...
Bóg trzyma świat cały, żywił w nim waszelski,
A mielibyśmy się biednie że Polaki?
On o nich pamięta, chociaż zapomniani,
Przyjdzie czas, co zwróci niewoli kajdany ...
To przepowiadają wszystkie nasze drzewa;
Że Polska nie zginie - piaszek nawet śpiewa,
Gdy w wiosennej porze w powietrze się wzdaje,
Wtemczas sobie śpiewa: Niechaj Polska żyje!
Ogłaszają góry, mówią i doliny,
Że Polska do czasu wesołej nowiny ...
I Polak też sobie taką piosenkę nuci,
Że ojczyzna jego nazad się powróci.
Najmilsze mi śpiewać tylko to jedynie:
Polska nie zginie! i nigdy nie zginie!"

Bitwa traktem w kierunku północnym ciągnęły przez Tarnobrzeg
nieprzełiczone szeregi austriackich wojsk z działami, arcybiskupem,
kuchniami polowymi i przetrzymanymi furgonami. Ciągnęły dudem i nosz
i zdawało się, że pochodom tym koniec niema. Armia ta wkroczyła
w granice piętej Kongresówki, wojska zaś rozstąpiły się w głąb.
Polegli ludzie z obydwu stron Wisły, a pozostałi niemieli, potem
tuż coraz więcej, poczęli przekraczać granicę zaporów. Pewną nie-
dzielę wypłynęli się i ja z gromadką znajomych na tamtą stronę, do

Koprzywnicy. Jakiego uczucia doznałem, jaka radość i duma pierś mi rozpierała, skoro oparłszy stopę na drugim brzegu Wisły, uprzytomniłem sobie, że pierwszy raz w życiu bez paszportu i bez żadnych przeszkód idę do braci „Królewaków” - trudno wysłować. Niestety, ludzie tamtejsi, którym radbym był rzucić się w objęcia, poglądali na nas z wyraźną nieufnością, prawie z niechęcią. Nic dziwnego; wiełowa niewola zrobiła swoje.

Wreszcie dobry Bóg dozwolił mi dożyć chwili oglądania owych wymarzonych, prawdziwych polskich żołnierzy-legionistów z formacji brygadiera Józefa Piłsudskiego. Daleki od roztrząsania koncepcyj politycznych różnych naszych, wiecznie się z sobą swarzących ugrupowań partyjnych, błogosławiłem tę radość oczu moich.

A skoro po niewielu dniach pozornej ciszy dochodzić nas poczęły bitewne odgłosy, wówczas wymknął się mi z pod pióra ten wierszyk:

Na naszej ziemi ozwały się grzmoty
 Setnych wystrzałów i żelaza szczęk,
 Sen Polski iść się poczyną się złoty,
 Serce ciemiężcy nagły przejął lęk.
 Jak wąż łodzia fala niespokojna,
 Tak dzisiaj światem wstrząsa okrzyk: Wojna!
 Wojna! Ach, ileż w tym słowie się mieści
 Krwi i pożarów, cierpienia i żez, -
 Lecz ducha Polski nie trwożą te wieści,
 Niewoli naszej niesie ona kres!
 Za krwi męczeńskiej wytoczone morze
 Sądy nad zbrodnią już widzimy Boże.
 Długo ważyła się Pańska cierpliwość,
 Długo krzywd Polski nie doceniał świat,
 Dziś oto w grzmotach idzie Sprawiedliwość
 Z księgą wyroków za zbrodnie stu lat.
 Władza zaborców, na gwałcie oparta,
 Za krzywdy nasze runie, na proch starta.
 Wyleć nasz Orle, wyleć Orle Biały!
 Skrzydeł żopotem mnogie hufce budź,
 Do wielkich czynów na okopy chwały
 Prowadź lud polski, prowadź dzielną młodź!
 Niech całym światem lęk wstrząsa i trwoga,
 My po zwycięstwo idźmy w imię Boga!

Z terenu wojny początkowo głucho, skądś daleko, potem stopniowo coraz bliżej i coraz głośniejsze odgłosy grzmotów armatnich płynęły na sandomierską nizinę, gdzie rozłożył się powiat tarnobrzesci. W miarę potężniejszego huku dział niepokój głuchy ogarniał począł ludność cywilną wsi i miasteczka; obaw tych wszakże, zdawało się, nie podzielowały władze rządowe i żandarmeria, starające się wpływać uspo-

Kopczyński. Jakiego uczucia doznaję, jaka radość i dumę daje mi
rozpięta, skoro opierasz się na drugim brzegu Wisły, uprzytomni-
łem sobie, że pierwszy raz w życiu bez paszportu i bez żadnych prze-
szkód idę do pracy "Kobietników" - trudno wyłowić. Niełatwo, Indzia
tamtejsi, którym trudno był znaleźć się w oświeca, poglądali na nas
z wyrazem niechęci, prawie z niechęcią. Nie daliśmy; więzowa
niemola zrobiła swoje.

Wreszcie dobry Bóg dowolił mi dożyć chwili oglądania owych wy-
kazanych, prawdziwych polskich żołnierzy-legionistów z formacji dy-
kadiera Józefa Piłsudskiego. Defekci od rozstraszania koncepcyj pol-
tycznych różnych naszych, wierznie się z sobą ewarszających ugrupowa-
niach, niecierpiam te radość oczu moich.

A skoro po niewielu dniach pozornej ciszy dobiegła nas powieść
bitwne obławy, wówczas wymknął się mi z pod pióra ten wierszyk:

Na naszym ziemie cawia się grzmoty
Sępnym wystrzeliw i ślana szosak,
Sen Polski iść poczyna się zioły,
Serce ciemności nagły przelaj lek.
Jak wstąpił Józef Jala niepokojna,
Tak dalał światem wstrząs chrzyk: Wojna!
Wojna! Ach, ile w tym świecie się mieści
Krwii i bóżeń, otępienia i łez,
Leos ducha Polski nie trwożę te włości,
Niewoli naszej niasie ona kres!
Za krwi męczennickiej wyłoczone morze
Sędy nad zbrodnia już widziwy Bóg.
Drogo wzięta się Polska cierpliwosc,
Drogo krzywd Polski nie doceniał świat,
Daje oto w grzmotach iście sprawiedliwosc
Z katek wyroków za zbrodnia stu lat.
Wiedza zaporów, na gwałcie oparte,
Za krzywdy nasze runie, na proch starze.
Wyjed nasz Orle, wyjed Orle Biały!
Skrzydeł łopoten mnogie niasie budz,
Do wielkich czynów na okopy chwaly
Prowadź lud polski, prowadź dalańs miedz!
Niosch całym światem lek wstrząs i trwoż,
My po zwycięstwo idamy w imię Boga!

Z terenu wojny puszczkowo gincho, skąd daleko, potem stopniowo
coraz bliżej i coraz głośniejsz obławy grzmotów armatnich plynęły na
sandomierska niasie, gdzie rozłożył się powiat tarnobrzanski. W miarę
potężniejszego huku dalał niepokój ginący ogarniał poczci ludność
cywilną wsi i miasteczka; opaw tych wazkisz, zdawało się, nie po-
dzialały wiedze rządowe i sandarmaria, stające się wprawd napo-

Dnia 13 września zaleciał nas od strony maszerujących traktom
kajajaco na ludność, zdenerwowaną niepewnością położenia. Ale skoro by-
ło już publiczną tajemnicą, że armia austriacka, poprzedzana łańcuchem
podwód, wycofuje się z placu boju, naraz ulotnili się urzędnicy staros-
twa, sądu powiatowego, urzędu podatkowego, żandarmeria, straż skarbową,
wreszcie urzędnicy wydziału powiatowego i większość inteligencji wól -
nych zawodów.

Ucieczka ta dokonała się nadzwyczaj szybko i cicho. Cała machina
biurokratyczna stanęła; archiwa i akta urzędowe pozostawiono własnemu
losowi. Tylko przezorniejsi uciekinierzy wcześniej poukrywali swe war-
tościowe ruchomości, powierzając je opiece pozostawionej w domu służby.

Śladem urzędników poszli także okoliczni obywatele ziemscy z wy-
jątkiem właściciela rozległego klucza dzikowskiego, Zdzidława hr. Tar-
nowskiego, który jedynie dzieci swe do Wiednia wyprawiwszy, z żoną i
większą częścią swych oficjalistów na miejscu pozostał.

Jakkolwiek siłą rzeczy przerwać się musiał tok mojej codziennej
czynności w Wydziale Powiatowym, w którym jedynie stróż Antoni Rutyna
na straży powierzonego mu mienia pozostał, przecież codziennie zacho-
dziłem do biura, by załatwić przygodne sprawy.

Rankiem 15 września zauważyliśmy zbliżający się nieśmiało od stro-
ny lasu, Zwierzyńcem zwanego, rosyjski patrol, a w parę pacierzy póź-
niej miałem już na podwórzu mego osiedla uzbrojonych w długie piki kon-
nych kozaków, dopytujących się o „awstryjcow”, pomstujących na wysokie
w Galicji podatki i zachwalających rosyjskie rządy.

Nad wieczorem zalały Tarnobrzeg wojska rosyjskie, a pierwszą czyn-
nością żołdatów było rozbijanie sklepów i masowe wyrzucanie z nich towa-
rów na ulicę.

Z chwilą najazdu Rosjan położenie ludności w okolicy stało się odar-
ciężkie. Luźne watahy pijanego żołdactwa rozlały się po wsiach, niepoko-
jąc wystraszonych mieszkańców. Nowe szeregi wojsk od strony Sandomierza
ciągle napływały, a zawadzając o stojące tuż przy trakcie gorzelnie, za-
krapiały się obficie wódką, by, rozkwaterowawszy się po chałupach, do-
puszczać się niepoczytalnych wybryków.

- kątając na ludność, zdemerowanie niepewności pokojenia. Ale skoro by-
 fo już publiczne tajemnice, że armia austriacka, poprzedzając janczem
 - podoba, wysyła się z placu boju, naraz wzięli się urzędnicy staro-
 - twa, sądu powiatowego, urzędu podatkowego, szambaneria, straż skarbowe,
 - wreszcie urzędnicy wydziału powiatowego i większość inteligencji wsi
 - nych zasobów.

- Ucieczka ta dokonała się nadzwyczaj szybko i cicho. Cóża machina
 - bitorkiżyczna stająca; archiwa i akta urzędowe pozostawiono wianemu
 - losowi. Tylko przecznijsi urzędnicy wozami wyjeżdżali swe war-
 - tościowe ruchomości, powierając je opiece pozostawionej w domu służby.
 - Sładem urzędników pozostali także okoliczni opywaleci ziemscy z wy-
 - jatkim właścicielem rozległego kłosa dzikowskiego, Zdzisław hr. Tar-
 - nowskiego, który jedynie dalsi swe do Wiednia wyprawiały, a żona i
 - większość części swych oficjalistów na miejscu pozostał.

- Jakkolwiek się rzeczy przebiegać miały tak mojej codziennej
 - czynności w Wydziale Powiatowym, w którym jedynie stróż Antoni Rutyma
 - na straż powierzonego mu mienia pozostał, przedś codziennie szacho-
 - dzim do biura, by załatwić przygodne sprawy.

- Rankiem 15 września zawiązywaliśmy zblizający się niemiarko od stro-
 - ny lasu, Zwieryńcem zwanego, rozsyłki patroli, a w parę godzin póź-
 - niej miżem już na podwórzu mego ocalała uszrojonych w długie piki kon-
 - nych kozaków, dopływających się o „awstryjcow”, pomstujących na wysokie
 - w Galięj podatki i zachwalających rozsyłki rady.
 - Nad wieczorem zafalały Tarnobrzeg wojska rozsyłki, a pierwszy czyn-
 - ności żołdaków było rozbijanie sklepów i masowe wyrzucanie z nich towa-
 - rów na ulicę.

- Z chwilą nastania Rosjan pokojenie ludności w okolicy stało się
 - ciężkie. Luźne watahy pijanego żołdactwa rozlały się po wsiach, niepok-
 - jeo wyszczepionych mieszkańców. Nowe szeregi wojsk od strony Szambaneria
 - ciągle napływały, a zewsząd o stojące już przy trakcie gorzelnie, za-
 - kradli się oficjele wódki, by rozkwatrowawszy się po chajpach, do-
 - puścić się niepożądanych wyprków.

Dnia 23 września zaleciał nas od strony maszerujących traktem wojsk ostry opar okowity, mimo że szosa, którą wojsko to maszerowało, oddalona była od mego osiedla kilkaset kroków. Zamaliśmy głowę, coby to miało znaczyć - czyżby się wojsko skąpało w wódce? Dopiero nieco później przyczyna się wyjaśniła. Oto starszy z dowodzących oficerów, nie mogąc powstrzymać rwących się do gorzelni żołnierzy, by bodaj paroma łykami wódki spieczone gardła odwilżyć, rozkazał był z kadzi i beczek w gorzelni na pobliskim Wymysłowie wylać wódkę do przydrożnego rowu. Płynęła więc wódka rzeką w ścisłym tego słowa znaczeniu, nasycając daleko powietrze dławiącym zapachem. Odtąd już rzadziej spotykało się pijanego żołdaka i wybryki zmalały.

Wkrótce po wkroczeniu wojsk rosyjskich u części okolicznej ludności zbudziła się uśpiona dzikość instynktów, o czym z uczuciem niesmaku i rumieńcem wstydu li tylko z obowiązku pamiętnikarskiego wspominam. Oto do zalanego rozhukanym żołdactwem i splądrowanego Tarnobrzega ludność obojga płci i różnego wieku z okolicznych wsi ciągnęła cyły procesjami, a obładowawszy się do niemożliwości wszelkimi, porzucanymi przez żołdatów ze sklepów towarami, utykając i uginając się pod ciężarem tobołów, wlokła się z tym łupem do domów.

Prawda, że na wsi bieda była duża i w dodatku brakło wówczas w domach powołanych na wojnę żywicieli, ale wszystko to niczym nie uprawniało do przywłaszczenia sobie nieswoich rzeczy, choćby i zgnić na ulicy miały. Czyż na to codziennie przez życie całe wymawiać będziemy siódme w dziesięciorgu przykazań, danych Mojżeszowi na górze Synaj, by nigdy przestrzegane nie było?

Choć wychodzenie z domu bezpiecznym wtedy nie było, wążsając się bowiem grupami po osiedlach żołdactwo niepokoiło mieszkańców, przecież nie mogąc oprzeć się ciekawości oglądania na własne oczy gospodarki żołdatów, poszedłem pewnego dnia na miasto.

Przepuszczony zostałem bez żadnych przedzkód. Miasteczko jakby wymarło. Ani jednego żyda na ulicy, ani nikogo z miejscowej inteligencji. Przed porozbijanymi i splądrowanymi sklepami walały się pozozrzucane stosy najprzeróżniejszych towarów, przeważnie łokciowych.

Data 23 września zafasciła nas od strony maszerujących traktów
wojsk ostro opar okolicy, mimo że szosa, która wiodła do maszerowało,
oddalona była od niego o kilka kilometrów. Zamaliliśmy głowę, coby
to miało znaczenie - czyżby się wiodła szosa w stronę? Dopiero nieco
później przeczyna się wyjaśnia. Oto starzy a dowodzących oficerów,
nie mogąc powstrzymać twórczych się do gorzelnin żołnierski, by podaj pa-
rtemi rękami wódki spieczono gardła odwrócić, rozkazali być z kaski i
beczek w gorzelnin na podłokim Wyższej wiodła wódka do przydrożnego
rowni. Rękami więc wódka rzeka w ścisłym tego słowa znaczeniu, nasy-
cając daleko powietrze dźwięcznym zapachem. Odjed już rzadziej epoty -
kafie się pijanego żołdaka i wypłyki zamalify.

Wkrótce po wkroczeniu wojsk rozległ się w okolicach iud-
ności zbudzili się napięta dźwięk inżynierów, o czym z naciskiem nie-
zmiernie i ramieniem wiodła II tylko a opowiadaniu pamiętnikarskiego wypo-
minam. Oto do zabiegów rozruchnym żołdactwem i epłędowaniem Tarnobrze-
za iudność opozycję i różnego wiodła z okolicznych wsi ciągnęła się -
fymy procesjami, a opowiadawczy się do niemożliwości wszelkimi, powy-
ruchanymi przez żołdaków ze sklepów towarowymi, wykazując i uginając się
pod ciężarem towarów, wiodła się z tym iudem do domów.

Prawda, że na wsi bieda była duża i w dodatku praktycznie wiodła
w domach powojennych na wojnę żywcem, ale wszystko to niczym nie u-
prawniło do przywrócenia sobie nieswolonych rzeczy, choćby i żniwa na
ulicy miały. Gdzie na to codziennie przez życie całe wymawiać będziemy
stojąc w dalszej części przykazań, danych Mojżeszowi na górze Synaj, by
nigdy przestrzegane nie było?

Choć wychodzenie z domu bezpiecznym wtedy nie było, wiodła się
się powiem grupami po osiedlach żołdactwo niepokojąco mieszkanców, prze-
ciśnięcie nie mogąc oprzeć się ciekawości oglądania na własne oczy gospodar-
ki żołdaków, porzedem pewnego dnia na miasto.

Przepracowany zostałem bez śladnych przeszkód. Miasteczko jakby
wymarło. Ani jednego żyda na ulicy, ani nikogo z miasteczkowej inteligencji.
Przed poróżnianymi i epłędowanymi sklepami wiodła się poróżniane
stojąc najprzeróżniejszych towarów, przeważnie fokolowych.

Sołdaty, którym za przewodników służyły osobniki z podmiejskich mętów, wałęsali się wśród ulic w poszukiwaniu nowych zdobyczy... Do - znałem wrażenia, jakbym się znalazł na rozkopanym cmentarzu, po którym snują się ponure szakale, to też z największą odrazą zawróciłem szybko do domu.

Ale jak łatwy był wstęp do miasta, tak trudne było wyjście. Wy- chodzących rewidowali sołdaci, rabując im pieniądze i wartościowe dro- biazgi. Ja ciekawość swą przypłaciłem utratą zegarka i nieznacznym po- turbowaniem.

Po krótko trwającej ciszy i pozornym spokoju znów na trakcie ja- koteż bocznych drogach wzmożł się ruch wojsk i furgonów, raz w tę, raz w tamtą posuwających się stronę, co przy towarzyszącym ruchowi temu głośnym huku dział wskazywało, że w niezbyt odległej okolicy waży się losy bitwy, a ze zdenerwowania sołdatów łatwo wyczuć się dało, że pozy- cja ich tutaj nie bardzo pewna. Przypuszczenie to nabrało znamion pew- ności, skoro w dniu 2 października hr. Zdzisława Tarnowskiego wywieźli Moskałe do Lublina.

Chociaż rozpolitykowana okoliczna ludność niezbyt przychylnie do domu hr. Tarnowskich była się odnosiła, przecież na wieść o wywie- zieniu hrabięgo smutek i żal wszystkich ogarnął. W tej bowiem wojennej zawierusze, opuszczeniu, niepewności jutra i ogólnej niedoli dwór w Dzikowie był ośrodkiem, gdzie najbardziej potrzebujący niejednokrot- nie doznawali pomocy.

Nareszcie szala walki przechyliła się na korzyść Austriaków, którzy też nad ranem 6 października wkroczyli do Tarnobrzega, a za woj- skami tymi wtłoczyła się powrotna fala miejscowych uciekinierów.

Było też między tymi powrotnymi, co to sami nad sobą dobrowol- nej ewakuacji dokonali, dużo narzekań, lamentów, złorzeczeń i przekli- nań, skoro mieszkania swe zastali w stanie zupełnego splądrowania. Ale kogo właściwie odpowiedzialnym za szkody te czynić mieli? Chyba że Pana Boga, którego opatrności mienie powierzyli, sami zaś, przez ni- kogo nie zmuszani, na pierwszy odgłos armatniego pukania zamknąwszy oczy, gnali na oślep przed siebie, dokąd chyżość nóg poniosła.

Sołdaty, którym za przewodników służyły osobniki z podniejętymi
 węzłów, wzięli się wzdół nio w poszukiwaniu nowych zdobyczy... Do
 znanem wrażeń, jakoby się znalazł na rozkopanym omentarzu, po którym
 snuła się ponura szkala, to też z najwiękzą obrzą kawościem szybko
 do domu.
 Ale jak łatwo był wstęp do miasta, tak trudna było wyjscie. Wy-
 chodzących raził dymem i zapachem, zabijając im pienie i wzdolowe dro-
 gę. Ja ciekawość swą przyjąłem utratę szarka i nieznanym po-
 turbanem.
 To krótko trwającej cisy i poroznym spokoju znów na traktie ja-
 kieżość bezcznych drogach wzmoży się ruch wojsk i turbanów, tak w tej, tak
 w tamte powstających się stronie, co przy towarzyszącym ruchowi tam
 głównym boku dźwi wkażywało, że w niebył odległej okolicy wąż się
 losy bitwy, a ze zdenerwowania sołdatów łatwo wycaud się dano, że poz-
 oja ich była nie bardzo pewna. Przynajmniej to narzekał znamion paw-
 nosci, skoro w dniu 2 października hr. Edziszewa Tarbowskiego wywieśli
 Mskale do Iabina.
 Chociaż rozpolitykowania okoliczna ludność niebył przychylnie
 do domu hr. Tarbowskich była się odnosiła, przetoż na wieść o wywie-
 zieniu najbliżego smutek i ból wazystkich ogarnął. W tej powiem wojennej
 zawiązane, opuszczeniu, niepewności jutro i ogólnie niebóli dwór
 w Dzikowie był ośrodkiem, gdzie najbardziej potrzebujący niejednokrot-
 nie doznawali pomocy.
 Narzesze szala walki przeschylała się na korzyść Austriaków,
 który też nad ranem 6 października wkroczyli do Tarnobrzega, a za woj-
 skami tymi wiozły się powrotna fala miejscowych rekrutów.
 Było też między tymi powrotnymi, co to sami nad sobą dozwol-
 nej ewakuacji dokonali, dno narzekali, lamentów, kłótni i przekli-
 nani, skoro mieszkanie swe zastali w stanie zupełnego spłądrowania. Ale
 kogo wiaściwie odpowiedzialnym za szkody te czynił mieli? Czyja była
 Pana Boga, którego opatrności miennie powierzyli, sami zaś, przez ni-
 kogo nie zmuszani, na pierwszy ogień swegoż prkani zamykawszy
 ocy, gnali na oślep przed siebie, dokąd chybaż nóg poniosła.

Wśród tej powrotnej fali przeważali urzędnicy, którzy po przykrym doświadczeniu z wielką już rezerwą przyjmowali zapewnienia wojskowych dowódców o niepokonalnej sile austriackiej armii.

Urzędy więc na nowo rozpoczęły swe czynności, ale - z wyjątkiem starostwa, które nadmiarem gorączkowej pracy było przeciążone - ot tak dla zwykłej formalności, dla oka tylko, dużo bowiem ksiąg i aktów, z którymi bieżące sprawy urzędowe były związane, uległo podczas inwazji zniszczeniu. Pozatym wobec groźby ponownego najazdu Moskali nikt o prawidłowym urzędowaniu nie myślał.

Poczęto więc przezornie pozostałe akta i księgi w przygotowane skrzynie ładować, by je do Wiednia lub w inne bezpieczne wywieźć miejsce. Bo pierwsza nieprzezorność - dodajmy i wielkococzna strachajliwość - tarnobrzesckiej urzędniczej inteligencji pod niejednym względem fatalne miała następstwa, co przykładami poprę.

Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny „Sokoł” tarnobrzescki obchodził z wielką pompą i fanfaronadą uroczystość poświęcenia własnego sztandaru, połączoną z wbijaniem w drzewce pamiątkowych gwoździ. Jeszcze na parę dni przed wkroczeniem Rosjan do Tarnobrzega członkowie zarządu „Sokoła”, zdawszy całe mienie Towarzystwa / a więc i wspomniany sztandar / opiece żony powołanego na wojnę swego kursora, wystraszeni odgłosem odległego armatniego huku za Wisłą i przejęci trwogą wkroczenia Moskali, zwiali z miasta. I przyszli później Moskale, a zajmwszy opuszczony gmach „Sokoła”, sztandar ów „zarekwirowali” i do stolicy państwa carów jako trofeum wojenne między innymi zdobywcami Wywieźli.

W gmachu Wydziału tarnobrzesckiej Rady Powiatowej mieściło się powiatowe muzeum imienia zasłużonego, długoletniego prezesa tejże Rady, Zbigniewa Horodynskiego, powstałe dzięki inicjatywie i moralnemu poparciu b. starosty tarnobrzesckiego, Eugeniusza Swobody. Muzeum to zawierało wiele cennych przedmiotów, jak : kilkanaście oryginalnych, ciekawej treści kwitów, pisanych przez dowódców w wojnie narodowej 1809 r.; stare pisane kroniki, autograf J. I. Kraszewskiego ; duży, prymitywnej roboty, wielce oryginalny kolczyk złoty, niewiadomo,

Wśród tej powrotnej fali przeważała niezadana, która po przy-
 krym doświadczeniu z wielką już rezerwą przyjmowali zapewnienia woj-
 skowych dowódców o niepokonalnej sile anatomicznej armii.
 Prędy więc na nowo rozpoczęły swe czynności, ale - z wyjątkiem
 starostwa, które nadmiarem gorączkowej pracy było przesłonięte - of jak
 dla zwykłej formalności, dla oka tęgoc, dano bowiem ksiąg i aktów,
 a krótkimi piśmiącami sprawy urzędowe były związane, niegdy podczas in-
 wazji znieszenia. Rozaczym wobec grochy ponownego najazdu Moskali
 nikt o prawdziwym urzędowaniu nie myślał.

Począto więc przecznie pozostałe akta i księgi w przygotowane
 skrzynie iadawo, by je do Wiednia lub w inne bezpieczne wywieść miej-
 sce. Po pierwsze nieprzeznaczony - dobiejmy i wielkocenna strachajosc
 - tarnobrzezkiej urzędniczej inteligencji pod niejednym wasiedem ta-
 jaine miała następowata, co przykrydami popie.
 Na kilka miesiecy przed wybuchem wojny "Sokoł" tarnobrzezki ob-
 chodzil z wielką pompą i fanfaronadą uroczystość poświęcenia wianse -
 go sztandaru, poświęcony z wzięciem w drzewce pamiatkowych gwiazdki.
 Jeszcze na parę dni przed wkroczeniem Rosjan do Tarnobrzeza członkowie
 zarządu "Sokoła", zabawiajca ciele wianse Towarzystwa \ a więc i wspan -
 niawy sztandar \ opiece były powieszony na wojnę swego kuratora, wy-
 straszani odgłosom odległego armatniego hukn za Wisłą i przysięgajcy trwo-
 ge wkroczenia Moskali, zwiaili z miasta. I przykryli pódniat Moskale,
 zstajawy opuszony emach "Sokoła", sztandar ów "zarękwitowali" i do
 stojicy panstwe carów jako trofium wojenne między innymi zdobywczami
 Wiedniu.

W emachu Wydziału targobrzezkiej Rady Powiatowej mieszalo się
 powiatowe muzeum imienia zasłużonego, diugofolnego prezesa tejże Ra-
 dy, Ksieniewa Horodnyńskiego, powstałe dzięki inicjatywie i moralnemu
 poparciu p. starosty tarnobrzezkiego, Kuznieca Swobody. Muzeum to
 zawierało wiele cennych przedmiotów, jak: kilkanaście oryginalnych
 ołówkiej treści kwitów, piśmiących przez dowódców w wojnie narodowej
 1809 r.; stare piśmiące kroniki, autorstwa J. I. Kraszewskiego; duży,
 przykrywanej roboty, wielce oryginalny koleczyk szofy, niewiadomo,

z której epoki pochodzący ; urny, żalniki i inne ciekawe wykopaliska ; bogatą kolekcję dawnych monet i t.d., i t.d.

Gdyby mię byli kierownicy ostrzegli, że Moskale prą naprzód, a oni sami uchodźcą będą, przedmioty owe byłbym do swego domu przeniósł i ukrył. Niestety, panowie ci uciekli cicho, zabezpieczając przed zagładą jedynie swoją prywatną własność. To też skoro po niespodzianym wkroczeniu do miasta wojsk rosyjskich, nie zważając na mogące mi grozić ze strony żołdatów nieprzyjemności, wpadłem do gmachu Rady Powiatowej, w całym muzeum zastałem przeraźliwą pustkę, a tylko kilka na drobne okruchy startych butami czerepów z rozbitych urn na podłodze się walało.

Triumf austriackiej broni był krótkotrwały, bo już w miesiąc później 6 listopada Moskale znów opanowali Tarnobrzeg. Musieli też Austriacy rączo zmykać, skoro zamagazynowane przez nich w gmachu sądu powiatowego wielkie ilości do worów zsypanego i do wywozu przygłptwanego zboża, w szczególności pszenicy oraz sucharów, nietknięte na łup Moskali zostawili.

Dziesiątego listopada hr. Tarnowski wrócił wolny do Dzikowa.

Nie będę się kusił na zobrazowanie przebiegu działań wojennych, jakie miały miejsce na terenie powiatu, i klęsk, jakie na ludność spadły. Wytknąwszy sobie bowiem za główny cel skreślenie li tylko osobistych przeżyć, nie chciałbym od przedmiotu zbytnio odbiegać. Zresztą ważyć się na opis dziejów wojny, chociażby tylko na terytorium miasteczka i kilku przyległych wiosek - byłby dla takiego jak ja ułomka rzeczą zbyt śmiałą. Niech się w was przeto, moi czytelnicy, daremna ciekawość na sensację nie budzi.

Nie mogę przecież pominąć milczeniem akcji dzikowskiego zamku, w którym dotknięta wypadkami wojennymi ludność okoliczna pomoc w potrzebie znajdowała. Opiszę ją pokrótce z tej strony, na którą sam patrzyłem.

Po pierwszej inwazji hr. Zdzisławowa Tarnowska przekonawszy się, że wrazie dłuższego trwania wojny może braknąć najniezbędniejszych artykułów życia, jąta czynić zakupy na dłuższą metę na potrzeby zamku. Rząd austriacki dostarczył na ręcę hrabiny większą kwotę pieniędzy na rzecz potrzebującej ludności, za które to pieniądze nabyte zo -

z której epoki pochodzący ; warty, śliski i inne ciekawe wykopiska ;
bogata kolekcja dawnych monet i t.d. i t.d.

Gdyby mi było kierownicy ostrzeżli, że Moskale przę naprzód, a
oni sami uchodzą za bogactwo, przedmiotów wów byłym do swego domu przynieśli
i warty. Niestety, panowie ci uciekli oboję, zabezpieczając przed za-
błądą jedynie swoją prywatną własność. To też skoro po niepodległym
wkróceniu do miasta wojsk rosyjskich, nie uważając na miejsce mi gro-
zid ze strony żołdaków nieprzyjacielskich, wpadłem do gmachu Rady Powia-
towej, w całym muzeum zastąpiłem przekształciłem punktę, a tylko kilka na
drobne okazy starożytnych przedmiotów z rozbitych urn na podobieństwo
wielkie.

Tymczasem austriackiej przemił był krótkotrwale, do już w mieście
później 6 listopada Moskale znów oprowadził Tarnobrzeg. Musieli też
Austriacy przez cały czas, skoro zamieszany przez nich w gmachu sądu
powiatowego wielkie ilości do wózków zapchanego i do wywozu przystosowa-
nego słońca, w szczególności paznokci oraz sucharów, niekiedy na kup
Moskali zostawili.

Dziśszego listopada hr. Tarnowski wrócił wojny do Dzikowa.
Nie będę się kusił na rozprawienie przedsięwzięcia wojen-
nych, jakie miały miejsce na terenie powiatu, i klęsk, jakie na lud-
ność spadły. Wytłumaczy sobie powiem za główny cel skądś i tylko
osobliwych przyczyn, nie chciałbym od przedmiotu zbytnio odchodzić. Zre-
szcza widać się na opis działań wojny, chociażby tylko na terytorium
miasteczka i kilku przyległych wiosek - byłoby dla takiego jak ja niem-
na rzecz zbyt śmiała. Niech się w was przede, moim czytelnicy, darem-
na ciekawość na sensację nie budzi.

Nie mogę przecież pominać wliczeniem akcji dąbrowskiego zam-
ku w którym doznana wypadkami wojennymi ludność okoliczna pomoc
w potrzebie znajdowała. Opiszę ja pokrótce z tej strony, na którą sam
patrzyłem.

Po pierwszej inwazji hr. Szafarowa Tarnowska przekonawszy
się, że w razie dłuższego trwania wojny może przynieść najniebezpiecznych
zatrudnień życia, jest czynić zapasy na dłuższe miesiące na potrzeby zam-
ku. Rząd austriacki dostarczył na tę potrzebę większą kwotę pieniędzy-
na na rzecz potrzebującej ludności, za które to pieniądze nabycie no-

stały w większej ilości zapasy soli, nafty, zapalek, mydła. Dla potrzeb zaś urządzonych w zamku szpitala Czerwonego Krzyża dostarczył magazyn wojskowy pewną ilość mąki, kaszy, tłuszczów i t.p. Hrabina zaczęła więc odsprzedawać z końcem października ludności zapasy po cenie własnych kosztów. Ludność nie tylko miejscowa, ale i z za Wisły gromadnie ciągnęła do zamku po zakupy.

To też pani zamku i bawiąca podówczas w Dzikowie hr. Adamowa Tarnowska, jakoteż zamkowy bibliotekarz Michał Marczak mieli dość roboty przy obsłudze całych procesyj interesantów.

Kiedy po raz wtóry wkroczyli Moskale, zamek odcięty został od źródeł uzupełniania zapasów, ale sprzedawano dalej, co jeszcze starczyło. Sprzedają tę zajęty był teraz już sam Marczak, bowiem hr. Adamowa oddała się na usługi chorych w zakaźnym szpitalu, mieszczącym się w budynku tarnobrzesckiej szkoły ludowej. W szpitalu tym niegodziwcy Austriacy zostawili około 80 żołnierzy, dotkniętych chorobą cholery, duru i dyzenterii i nic o tym nikomu nie mówiąc, umknęli. Dowiedziano się o nich przypadkiem dopiero po tygodniu, gdy już mnóstwo tych nieszczęśników umarło tak, że żywi przez parę dni z trupami leżeli. Mieszczącym się w zamku szpitalem Czerwonego Krzyża zajęła się hr. Zdzisławowa; pomocy lekarskiej udzielał niestrudzenie dyrektor tarnobrzesckiego szpitala powszechnego dr. Ryszard Urbanik, a później jego asystent dr. Jan Chruściel, rodak trześniowski.

Dla ludności - zwłaszcza dla żyjących z pensją rodzin urzędniczych - ciężkie nastąpiły czasy. Również dla żydów były to chwile niewesołe, bo handel ustał. Na szczęście o działalności dzikowskiego zamku dowiedział się warszawski Komitet Obywatelski, instytucja polska wojenna, mająca za zadanie nieść pomoc unieszczęśliwionej wojną ludności, i utworzył w tymże zamku swoją placówkę na kilka najbliższych powiatów. Nadesłano więc do zamku pieniądze, a następnie jęto dostarczać z Lublina wagonowo mąkę, krupy i t.p. do rozdziału między ludność. Potem i lwowski Komitet nadesłał na ręce tegoż zamku kilka tysięcy rubli.

Można więc było hojnie świadczyć ludziom z całego powiatu tar-

- ... w większej ilości zapasy soli, natry, zapasów, wydaj. Dla po-
 trzeb zaś urzędowego w szpitalu szpitala Cesarzowego Krzyżów dostarczył
 magazyn wojskowy pewną ilość mąki, kaszy, tęczosów i t.p. Hrabina
 zapewniła więc odprzebadaw z koncem paradyżnika ludności zapasy po-
 cenie własnych kosztów. Ludność nie tylko nie została, ale i za Wiaty
 gromadnie ciągnęła do szpitalu po zakupy.

To też pani szpital i dawnoś podówczas w Dzikowie hr. Adamowa
 Tarnowska, jakoteż szpital bibliotekarz Michał Marczak mieli dość ro-
 boty przy obsłudze i innych procesach interesantów.

Kiedy po raz wtóry wkroczyli Moskal, szpital oddał się
 ręką ubezpieczenia zapasów, ale sprzedawano dalej, co jeszcze star-
 czyło. Sprzedawca też szpital był teraz już sam Marczak, powiem hr. Ada-
 mowa oddała się na usługi chorzy w szpitalu szpitalu, mieszczącym

się w budynku tarnopreskiej szkoły ludowej. W szpitalu tym niegoda-
 wy Anstacy zostawili około 80 żołnierzy, dotkniętych chorobą cho-
 lery, durni i dysenterii i nie o tym nikomu nie mówiąc, umknęli. Dowie-
 dziano się o nich przypadkiem dopiero po tygodniu, gdy już morderstwo

tych niebezpieczników umarło tak, że żywi przez parę dni z trupami je-
 żeli. Mieszkańcy się w szpitalu szpitalu Cesarzowego Krzyżów zajęła się
 hr. Zdzisława ; pomocy lekarskiej udzielał niestrudzenie dyrektor
 tarnopreskiego szpitala powaszczonego dr. Ryszard Urbanik, a później
 jego asystent dr. Jan Gruchacz, tożak trzeźniowski.

Dla ludności - zwłaszcza dla żyjących z penją tożsam urzęd-
 niczych - ciężkie nastąpiły czasy. Również dla żyjących to chwila nie-
 wesoła, po handlu natę. Na szczęście o dalszności dalszności szpitalu zam-
 ku dowiedzieli się warszawski Komitet Opyszałski, Instytut polski

wojenna, mająca za zadanie nieść pomoc nieszczęśliwionej wojnie lud-
 nosi, i utworzył w tymże szpitalu swoje placówki na kilka najbliższych
 powiatów. Nadano więc do szpitalu pieniądze, a następnie je do szpitalu
 szpitalu z Lublina wagonowo mąkę, krupy i t.p. do rozdania między lud-
 ność. Potem warszawski Komitet nadawał na ręce tegoż szpitalu kilka ty-

sięcy rubli. W tymże szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu
 szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu
 szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu
 szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu szpitalu

nobrzeskiego, kolbuszowskiego, mieleckiego, niżańskiego, częściowo nawet ropczyckiego.

Ponadto hrabia otworzył w swm zamku, później w mieście, jadło - dajnię koszerną dla ludności żydowskiej, ziemniaki i opał dając od siebie, inne zaś artykuły z nadsyłanych transportów.

W grudniu otwarto nawet w budynku zarządu dóbr dzikowskich szkołę dla dzieci z Dzikowa i Tarnobrzega, by je godziwie zatrudnić i uchronić przed demoralizacją. Szkołka ta istniała do połowy maja następnego 1915-go roku. Prowadził ją po trzy godziny dziennie wspomniany bibliotekarz Marczak, ucząc wedle programu czterech klas ludowych czytania, pisania, rachunków, śpiewu. Deklamowano, opowiadano, uczono się historii Polski, czytano wspólnie sienkiewiczowską trylogię, ballady Mickiewicza. Przez dwa pierwsze miesiące pomagała Marczakowi nauczycielka Janina Czeppowa. Nauki religii udzielał O. Franciszek Rączkowski, przeor Dominikanów. Frekwencja dziatwy, między którą był i mój syn Staś, wynosiła coś ponad 150 głów.

Poświęcając powyższy ustęp działalności humanitarnej dzikowskiego zamku, pragnę tym oddać hołd pracy i obowiązkom obywatelskim działających osób, w szczególności zaś podjętej z zaparciem i poświęceniem się dla pospolitego dobra pracy bibliotekarza dzikowskiego i zasłużonego dla tarnobrzeskiego powiatu pisarza-społecznika, Michała Marczaka, który nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, ustawicznie będąc na nogach, jużto załatwiając tysiące interesantów, jużto ucząc w prowizorycznej szkółce, - na co patrząc, dziwiłem się, skąd w jednym człowieku tyle naraz siły i energii się bierze ! A ileż to razy interweniował u komend rosyjskich i wypraszał, by nie wywożono ruchomości pozostawionych przez uciekonierów-urzędników oraz bronik biedaków przed rekwizycją jedynych krów-żywicierek !

Z chwilą rozpętania się wojny okazało się dopiero, jak bardzo dezorganizowane było nasze społeczeństwo pod względem zapatrywań politycznych co do ukształtowania się przyszłych losów Polski. Poza częścią zdrowo myślących i dążących do odbudowy niezależnej Ojczyzny ludzi, jedni, nie wierząc w powstanie samodzielnego państwa polskie-

nobreskiego, kolonizatorskiego, miłosierdnego, nielubiącego, częściowo
nawet rozpoczykłego.

Ponadto trzeba otworzyć w swm zamku, później w mieście, jadło -
dajnie koczowniczą dla ludności żydowskiej, ziemniaki i opał dajcie od
siebie, inne zaś strzykły z nadających transportów.
W grudniu otwarto nawet w budynku zarządu dóbr dzikowskich szko-
łę dla dzieci z Dzikowa i Tarnobrzega, by je godziwie zatrudnić i
chronić przed demoralizacją. Szkoła ta istniała do połowy maja na-
stępnego 1918-go roku. Prowadził ją po trzy godziny dziennie wspan-
ny bibliotekarz Marzec, nasa wedle programu czterech klas ludo-
wych czytania, pisanie, rachunków, śpiewu, Deklamowano, opowiadano,
uciono się historii Polski, czytano wspólnie siemkiewiczkę trylo-
gię, bajki Mickiewicza. Przez dwa pierwsze miesiące pomagała Mat-
czakowi naukowiczka Janina Gzypowa. Nauki religii udzielał O. Fran-
cisek Raszowski, przez Dominikanów. Trekwenca dajcie, między
który był i mój brat, wynosiła co najmniej 150 zł.

Powiększając powyższy etap działalności humanitarnej dajcie -
skiego zamku, pragnę tym oddać hołd pracy i opowiadkom opywatelakim
działających osób, w szczególności zaś podjętej z zaparciem i po-
święceniem się dla pospolitego dobra pracy bibliotekarskiej dajkowskiej -
go i zasłużonego dla tarnobrzęskiego powiatu pisarza-społecznika, Mi-
chała Marzaka, który nie uposaż, nie dojadł, nie dopał, nastawia-
jąc się na nogach, jużto kształtując tysiące interesantów, jużto
ucząc w prowincjonalnej szkółce, - na co patrzeć, dajwitem się, skąd
w jednym człowieku tyle naraż siły i energii się dajcie! A ileż to
razu interweniował u komend terytorialnych i wyprasał, by nie wywołano
trudności pozostawionych przez urzędników-urzędników oraz tronif-
diebaków przed rekwirowaniem jedynych krów-żywiłak!

Z chwilą rozpadania się wojny okazało się dopiero, jak bardzo
zdeorganizowane było nasze społeczeństwo pod względem zaprzysię-
politycznych co do kształtowania się przyszłych losów Polski. Poza
częścią zdrowo myślących i dążących do odbudowy niezależnej Ojczyzny
ludzi, jedni, nie wierzący w powstanie samodzielnego państwa polskie-

go, zbawienie Polski widzieli pod skrzydłem Austrii, drudzy pod Niemcami, inni zaś w zespoleniu z Rosją ... Przykre pomieszanie pojęć.

Wtedy to w listopadzie 1914 r. napisałem następujący wierszyk :

Co tu wierzyć cudzoziemcom,
Austriakom, Rusom, Niemcom -
Dość nam o nich mówią dzieje,
Co za dobrodzieje

Dotąd naszej chcieli zguby,
Dziś, gdy wzięli się za czuby,
Wraz im w mózgach zaświtało,
Że jest nas nie mało ...

I ot patrzcie, jak ochoczy
Austriak słodkimi oczy
Od pierwszej nas wabi chwili,
Łasi się, a mili !

Czego nie mógł przez lat dwieście,
Dziś przypomniał sobie wreszcie,
Że król polski z wojskiem przednim
Zbawił go pod Wiedniem ...

I stąd naraz już się bierze
W trwałe z nami wejść przymierze,
Więc przysięga, że nas kocha,
Byle razem krzepić Mocha ...

Prusak niby to folguje,
Wolną Polskę obiecuje,
Byle skupić nasze dżonie
Po germańskiej stronie.

Moskal też się wyzbył buty,
Gdzieś zapodział stryczki, knuty,
A niemieckie wywłókł zdzierstwo
I --- Słowian braterstwo ...

„Macie - gada - w dziejach chwały
Miecz grunwaldzki nierdzewiały,
Rąbać Niemców bądźcie zdolni,
A za to będziecie wolni" ...

A kacapy ! A pludraki !
Ten jest taki i ten taki !
Kto zawierza ich przyjaźni,
Kaducznie się zbłąźni.

Gorzej oni od szakali
Ojczyznę nam rozszarpali,
Potu, krwi, łez naszych strugi
Wiek już toczą drugi.

I tak bardzo nas miłują,
Tak wyściskać usiłują,
Byśmy przepadli bez śladów,
Lub zeszedli na dżdżadów.

Przed krwawą dopiero łaźnią
Raptem z nami się przyjaźnią,
Aż im ciarki łażą skórą :
Kto z nich będzie górą ? ...

A że przeciw bratu brata
Zbroją, nie wstyd im u świata,
Chcą nas jeszcze mieć posłusznych,
Jak tych psów bezdusznych ...

I na naszą ziemię wala,
Gwałcą, rąbią, kradną, palą,
Dokuczają nam bez miary,
Że niczym Tatarzy !

Lecz choć nas tak srodze nęka
Przeznaczenia krwawa ręka,
Nie dajmy się złamać klęskom,
Trzymajmy się męsko !

Go, zjawienie Polski widzieli pod skrzydłem Austrii, drabny pod Niem -
cami, inni zaś w rozpoznaniu z Rosją ... Przekre pomiarzanie potędy.

Wtedy to w listopadzie 1914 r. napisaniem następującej wierszyk :

Co tu wierzycie o naszym krajem,
Austriakom, Rosjom, Niemcom -
Dobro nam o nich mówić dajcie,
Go za dobrodzieje ...

Dobry naszaj chcieli szczyty,
Dziś, gdy walczy się za szczyty,
Wraz im w mowach szawito,
Ze jest nas nie mało ...

I of patrzcie, jak ochoczy
Austriak szkodnik oazy
Od pierwaszej nas wabi ogwili,
Lasi się, a wili !

Czego nie mogli przez lat dwadziecie,
Dziś przypomniał sobie wreszcie,
Ze król polski z wojskiem przednim
Zjawil go pod Wiedniem ...

I stąd naraz już się pierze
W trawie z nami wjeżdżaj przywierze,
Wtę przywieża, że nas kocha,
Byle razem krępić Mocha ...

Prusak nity to folguje,
Wojna Polakę obiecuje,
Byle ekspic nasze dionie
Po germanickiej stronie.

Moskal też się wypyl budy,
Gdzieś zapobiedzaj stryczki, knuty,
A niemiecokie wywlok szalierstwo
I --- Słowian braterstwo ...

"Macie - gada - w dziejach chwały
Mieć grunwaldaki nierdzewiały,
Ręko Niemców będzie szdoini,
A za to będziecie wojni" ...

A kacapy ! A pindraki !
Ten jest taki i ten taki !
Kto zawierze ich przytęgni,
Kaducanie się szdoini.

Gorzej oni od szdoini
Ojczyznę nam rozszarpali,
Potu, krwi, łez naszych strugi
Wiek już łozca drugi.

I tak barzo nas miłuje,
Tak wyciekacie naliuje,
Byśmy przepędili bez śladów,
Lub szdoini na okładów.

Przed kiwaw dopiero szdoini
Ręgam z nami się przytęgni,
Aś im ciarki już szdoini :
Kto z nich będzie szdoini ? ...

A że przeciw bratu brata
Szpota, nie walczy im w szdoini,
Choć nas jeszcze mied posilanych,
Jak tych padw bezdusznych ...

I ne nazaj ziemie wals,
Gwalcie, rąbie, kradnie, palis,
Dokuczaj nam bez miary,
Ze nieczym Tatarzy !

Łeć choć nas tak szdoini nekis
Przeszaczenia kiwawa rekis,
Nie dajmy się szdoini kleskom,
Trzymajmy się mekko !

Wnet wrogowie z tonu spuszcza,
Gdy krwi sobie wzajem puszcza,
Wojowania wkońcu syci
Będą jak rozbici.

I ten Sędzia z wysokości
Na proch zetrze ich wielkości,
Bo gwałt każdy i rabunek
Zdać musi rachunek.

A nam błysnie dzień wolności,
Podźwigną się grody, włóści,
Rozśpiewają pieśnią niwy :
Bóg jest sprawiedliwy !

W miarę im dalej w pocięgu za Austriakami parły wojska rosyjskie, okolica stopniowo opróżniała się z żołdactwa, aż wreszcie mogła ludność odetchnąć swobodnie.

Oprócz niewielkiej liczby wojskowych pozostało w Dzikowie sporo t.zw. „rotników”, których zajęciem były roboty ziemne przy urządzeniu schronów i pozycyj dla dział i karabinów maszynowych. Byli to przeważnie Polacy. U mnie zakwaterowało się ich sześciu, sami gospodarze z Kalliskiego. Dobrzy, kochani ludziska ; wnet między nami wywiązał się stosunek niemal familijny. W ich towarzystwie zniknęła monotonna, dławiąca nuda, a wśród długich, jesiennych i zimowych wieczorów brzmiały śpiewy i rozlegały się śmiechy przy godziwej zabawie. Przebywali oni w moim domu całe cztery miesiące. Zmuszeni iść na stanowiska do innych wsi, opuszczali nas ze łzami.

Słyszeliśmy i dużo przed wojną czytaliśmy o wrodzonym barbarzyństwie Moskali. Zetknawszy się przecież bliżej z nimi czasu wielkiej wojny, przekonaliśmy się, że „nie taki diabeł straszny, jak go malują”. Prawda, że naród nasz w ciągu wieku zaznał wiele ciężkich krzywd od Moskali. Ale krzywdy te i prześladowania zapisać trzeba przedewszystkim na rachunek carskich rządów i biurokracji wszelkich stopni. Lud rdzennie rosyjski, z którego synami my, Małopolanie, pierwszy raz czasu wielkiej wojny zetknęliśmy się, nie jest z natury tak zły. Owszem, dużo ma w sobie cech wspólnych rasie słowiańskiej, jak gościnność, co nawet potwierdzają kroniki naszych męczeńskich katorżników Sybiraków.

A że większość żołnierzy rosyjskich hołdowała zasadzie : „co twoje - to moje”, to już zasługa systemu wychowania sfer rządowych. Rabunkom zresztą i wszelakim wybrykom oddawali się żołnierze nietylko z ar-

Wnet przegawie z tonu spuszczam,
 Gdy kwi sobie waszem puszczam,
 Wzrostania wkońcu wyci
 Będa jak rozdzici.
 I ten będa z wysokości
 Na groch szcze ioh wlekości,
 Po gwałt każdy z rabinem
 Zdać musi rachunek,
 A nam będaście dacie wlekości,
 Podawiam się grody, wlekości,
 Rozpętają się nivy :
 Będaście sprawniejszy !

W miarę im dalej w poszciu na Austriakami parły wojaka rosyjskie,
 Okolicie stopniowo opóźniała się z kółkami, aż wreszcie mogła ludność
 odetchnąć swobodnie.

Opóźniając się, walczyły wojska w Dzikowie sporo
 „zw. „rozników”, których zajęciem były roboty ziemne przy urządzaniu
 szos i pozycje dla batali i kompanii maszynowych. Byli to przeważnie
 nie Polacy. U mnie zakwaterowało się ich sześćdziesiąt, sami gospodarze z Ka-
 liskiego. Dobrzy, kochani ludzie ; wnet między nami wywiązała się sto-
 sunek niemal kamraty. W ich towarzystwie anika monotonna, dźwięcząca
 nuda, a wódeczki, żestawnych i atomowych wieczorów przemiły śpiewy
 i rozległy się śmiechy przy godziwej zabawie. Przebýwali oni w moim do-
 mu całe ostatnie miesiące. Emancypacja ich na stanowiska do innych wai, opusz-
 czali nas ze złości.

Spędziliśmy i dużo przed wojną czytaliśmy o wrodzonym barba-
 ryzmie Moskali. Zerkaliśmy się przeszłość bliżej z nimi czasu wielkiej
 wojny, przekonaliśmy się, że „nie taki diabeł straszny, jak go malują”.
 Prawda, że naród nasz w ciągu wieku znamy wiele ciężkich krzywd od Mos-
 kali. Ale krzywdy te i prześladowania zapisała przede wszystkim na
 rachunek carskich rządów i olbrzymiej walek szos. Już rżnięcie
 rosyjski, z którego symonizm, Mafopolanie, pierwszy raz czasu wielkiej
 wojny odstąpił się, nie jest z natury tak zły. Owszem, dużo nas w so-
 bie cech wspólnych z tymi słowiankami, jak gościnność, co nawet potwier-
 dza kroniki naszych wczesnych katorżników Sybiraków.

A że większość żołnierszy rosyjskich hołdowała zasadzie : „co
 twoje - to moje”, to już całkiem innym wychowaniem eter rządowych. Ra-
 dunkom przestę i walek szos wypychom oddawali się żołnierze nie tylko z ar-

mi rosyjskiej, ale z wszystkich walczących z sobą armij. Poza tym rosyjscy dowódcy podczas tej wielkiej wojny nie rozstrzelali, na szubienicach nie wywieszali tylu tysięcy całkiem niewinnych ludzi, co owi wierni słudzy Jego Cesarskiej i Królewskiej Apostolskiej Mości. A chociaż później Moskale ewakuowali mężczyzn na poniewierkę po całej Rosji, to ileż tysięcy najniewinniejszych ludzi internowali Austriacy w osławionych „obozach” w zachodnich prowincjach monarchii.

Między żołnierzami rosyjskimi poznałem kilku rodowitych Gruzinów od Tyflisu. Dorodni to i zręczni ludzie, piękni jak ich kaukaska kraina. Ale porozmawiać z nimi było trudno, chyba że któryś dobrze władał rosyjskim językiem. Gruzini obdarzeni są pięknym charakterem. Przez jakiś czas stykałem się z jednym, który mając posterunek w Dzikowie, przychodził do mnie po mleko. Zaproponowałem mu wymianę mleka na sól, cukier, herbatę, tytoń i t.p. produkty, o które wówczas było bardzo trudno. Na propozycję moją chętnie ów Gruzin przystał; produkty dostarczał nawet obficie, a swoją drogą za mleko chciał płacić. Ofiary jego, rzecz prosta, darmo nie przyjąłem.

W ciągu trwania drugiej, blisko osmiomiesięcznej inwazji rosyjskiej, jakkolwiek w każdej niemal chacie dotkliwie odczuwać się dawał brak żywności, nie było znów ludziom tak rozpaczliwie źle, zwłaszcza w tych punktach, gdzie pewna ilość żołnierzy posterunki miała. Do kuchni żołnierskich przychodziły z garnkami dzieci i starsze kobiety i nie wiem, czy wiele było takich wypadków, by z próżnymi garnkami do domów odchodziły. Mogło to mieć miejsce chyba tam, gdzie żołnierze sami odczuwali braki.

Ciężkie momenty przeżywała ludność Tarnobrzega, Dzikowa i najbliższej położonych wsi podczas walk pozycyjnych w maju i czerwcu 1915 r., kiedy to wojska austriackie napierając na Moskali, bombardowały to miasto i przyległe wsi.

Podczas walk tych dłuższy czas trwała pogoda, skwar zaś panował taki, że ziemia pękała, a rośliny więdły. Powietrze, przesycone spalenizną gorejących w oddali wsi i miasteczek / Rozwadów, Radomyśl oraz lasów - poprostu dusiło. I nie powiał najlżejszy wietrzyk, coby

mi rosyjskiej, ale z wszystkich walczących z sobą armij. Poza tym ro-
 syjscy dobowcy podczas tej wielkiej wojny nie rozstrzelali, na szpie-
 nicach nie wywieźli i tym tysięcy oskarżonych niewinnych ludzi, co owi
 wieźni ślady tego Geozackiej i Kroweńskiej Apocryficznej Moskwy. A cho-
 ciaż później Moskale ewakuowali męczącymi na podwieżkę po całej Rosji,
 to i tak tysięcy najniebezpieczniejszych ludzi internowali Anarchiści w oza-
 wionych "obozach" w szachodnich prowincjach monarchii.

Między żołnierzami rosyjskimi poznaniem kilku rosyjskich Gruz-
 nów od Tyflisu. Doznał to i stracił ludzkie, piękni jak ich kaukaska
 krajina. Ale porozmawiał z nimi było trudno, gdyż są którzyś dobre wie-
 dał rosyjskim językiem. Gruzini odznaczni są pięknym charakterem. Przez
 jakiś czas stykałem się z jednym, który małe gospodarstwo w Dzikowie,
 przychodził do mnie po mleko. Zapropnowałem mu wymianę mleka na sół,
 cukier, herbacę, tytoń i t.p. produkty, o które wówczas było bardzo
 trudno. Na propozycję moją oświadczył że Gruzini przystali; produkty do-
 starczył nawet oflicie, a swoją drogą za mleko chciał piasek. Oficery
 tego, rzecz prosta, darmo nie przystali.

W ciągu trwania drugiej, blisko osmiomiesięcznej inwazji ro-
 syjskiej, jakkolwiek w każdej chwili chciało dotkliwie odczuwać się da-
 wał brak żywności, nie było znów ludzkiem tak rozpaczyliwie się, zwiaz-
 cza w tych punktach, gdzie pewna ilość żołnierskiej postarunki miała. Do
 kuchni żołnierskich przychodziły z garstkami daciei i starze kobiety i
 nie wiem, czy wiele było takich wypadków, by z próżnymi garstkami do
 domów odchodziły. Mogło to mieć miejsce chyba tam, gdzie żołnierze sa-
 mi odczuwali brak.

Glębsze momenty przeżywało ludność Tarnobrzega, Dzikowa i naj-
 bliżej położonych wsi podczas walk pozycyjnych w maju i czerwcu 1915
 r., kiedy to wojska austriackie napierając na Moskali, bombardowały i
 miało i przyległe wsi.

Podczas walk tych dłuższy czas trwała pogoda, skwar zaś pano-
 wał taki, że ziemia pękła, a rośliny więdły. Powietrze, przesyczone
 spalaniem gorzących w oddali wsi i miasteczek / Rozwadów, Rażomyśł
 oraz lasów - poprostu dusiło. I nie powiem najniebezpieczniej, coby

dławiące dymy rozpędził.

Z baterii na Wymysławie grzmiały działa rosyjskie, a ponieważ dom mój stał w linii tych armatnich strzałów, za każdorazowym hukiem trzęsły się ściany, a szyby w oknach dzwoniły. Zmuszony czuwać nocami, próbowałem w dzień drzemki. Ale daremnie. Od pacholących lat pędząc życie w grobowej głuszy, nerwy miałem na tę piekielną muzykę niezmiernie wrażliwe. Głowa mnie silnie rozboleła, a tak w niej huczało, iż zdawało mi się, że pęknie. Obcisnąłem więc skronie silnie rącznikiem, jak obręczą, ale niewiele to pomogło. Nogi się pode mną z wyczerpania uginały, a tymczasem ten niemiłosierny, oszałamiający grzmot ani się mi położyć, ani nawet usiąść nie pozwalał... Porwałem więc motykę i wybiegłem na pole, by w zapamiętałej robocie obróbki ziemniaków uspokoić rozstrojone nerwy. Nade mną świstały armatnie pociski, od których odezwane płonące wióry sypały się koło mnie, jak grube płyty brudnego śniegu, a pod niebem, w zamglonych od dymów przestworzach, koło krążących austriackich samolotów, ukazywały się raz po raz zaróżowione obłoczki, powstałe z pękających rosyjskich szrapneli. Obłoczki te to naprawdę godny obserwacji widok. Ale żołdaci, widno przejęci troską o całość mej szacownej osoby, zegnali mię z pola do chałupy.

Interesujący również był widok wybuchu austriackich pocisków, wymierzanych na Tarnobrzeg i Dzików od strony Nagnajowa. Skoro taki pocisk w pobliżu mego domu upadł, można było doskonale widzieć, jak wrywszy się płytko w ziemię, przez chwilę wił się jak bąk, trząc ją wściekle, wreszcie wybuchał, wzbijając w górę szary, strzępiasty słup dymu i kurzu; nieco zaś dalej, upadłszy na wilgotny grunt, wzbijał pod niebo śmigły, niezmiernie wysoki, a jak smoła czarny, słup dymu.

Rzecz dziwna, że choć na podwórzu mego osiedla dolatywały odłamki granatów, a z pod nieba spadały ołowiane szrapnelowe kulki, ani ludziom ani budynkom prawie żadnej szkody nie wyrządziły.

Ze szczególną pasją bombardowali Austriacy tarnobrzeczki kościół OO. Dominikanów, do którego, dufając jego grubym murem, radzi chronili się przed strzelaniną najbliżsi mieszkańcy z Dzikowa i Tarnobrzega, nie przypuszczając zresztą, by katoliczkie wojska katolickiego monarch

...dławiące dymy rozprzeczają...
 Z baterii na Wygwałowie grzmiały dźwięki rozrywane, a ponieważ dom
 mógł stać w linii tych strażnic strażników, za każdorazowym hukem prze-
 szły się ściany, a szczyt w oknach dawał się. Zmieszony czuwał nocami,
 przodował w dachu drzewki. Ale dawał się. Od psoczących lat podążo-
 ły w grupowej gładzi, nerwy miały na tę piekielną muzykę niezmiernie-
 nie wrażliwe. Głowa miała silnie rozboleć, a tak w niej hukalo, iż
 zdawało mi się, że pęknie. Obojętnie więc skroniłem ręcznikiem,
 jak obcy, ale niewiele to pomogło. Nogi się poddały i wyzrypania
 uginają, a tymczasem ten niewidzialny, czarnaśnięty grzmot ani się mi
 poróżnić, ani nawet usnąć nie dozwalał... Potrafiłem więc moją i wy-
 biegłem na pole, by w zapamiętanej robotnie obróbki ziemniaków napokoło
 rozstrójne nerwy. Nade mną wisiały strasznie pociski, od których ode-
 rżana pionce widać widać się koło mnie, jak grube piły brudnego
 żelaznego, a pod niebem, w zamgłonych od dymów przestworach, koło krę-
 cących anatomicznych samolotów, ukazywały się też po raz rozdźwięki ob-
 loczki, powstaje z pękających rozrywkach strzelań. Oficerki te to na-
 prawdę godny opatrzenia widok. Ale sędzieli, widno przelotnie troska o
 całość moją asocjacyjną, zerkali mi z pola do chałupy.
 Interesujący również był widok wybuchu anatomicznych pocisków,
 wystrzelanych na Tarnobrzeg i Dzików od strony Nagajowa. Skoro taki
 pocisk w pobliżu mego domu upadł, można było doskonale zobaczyć, jak
 wyrwały się pyłki w ziemię, przez chwilę widać jak dąk, więc ja
 walczyli, wreszcie wybuchali, wzbijając w górę szary, strzępiasty śnieg
 dymu i kruszy; nieco zaś dalej, upadłszy na wilgotny grunt, wzbijał
 pod niebo śmigły, niezmiernie wysoki, a jak smole czarny, śnieg dymu.
 Rzecz dziwna, że choć na podwórzu mego osiedla dolatywały od-
 rżany granatów, a z pod nieba spadały ołowiane strzelnolowe kulki, ani
 jednak ani budynkom prawie żadnej szkody nie wyrządzały.
 Ze szczególną pasją obserwowałem anatomiczne pociski koczujące
 00. Dominikandów, do którego, dulażąc jego grupę murów, rzedł chronili
 się przed strzelaniem najbliżsi mieszkańcy z Dzikowa i Tarnobrzega,
 nie przypuszczając zresztą, by katolicyte wojska katolickiego monarch

poważały się brać za cel armatnich pocisków katolicką świątynię w ka-
 tolickiej prowincji swego państwa ... To też skoro ogromny granat
 w murze kościoła zrobił potężny wyłom i wewnątrz jego zasypał gruzem,
 chroniąca się w nim ludność runęła ku wyjściom i pod gradem kul biegła
 oszalała szukać schronu w pobliskim dzikowskim zamku hr. Tarnowskich,
 który austriackie wojska oszczędzały.

Oprócz rozbicia kościoła w Tarnobrzegu zburzyli Austriacy za-
 bytkowy kościół Cystersów w pobliskiej Koprzywnicy, nie uniknął rów-
 nież szwanku osobliwy kościół parafialny w przyległym Miechocinie.

rała bitwa, zrozumiał Moskale, że ponowna ich ofensywa na Małopolskę
 byłaby niedoścignym marzeniem.

Na parę godzin przed wycofaniem się z Tarnobrzega porazstawiali się
 żołnierze po kilka i kilkunastu w różnych punktach Dzikowa i w pewnej
 chwili, jakby na dany sygnał, poczuli wyganiać bydło z obór i zganiać
 je na główny plac spodu pod kasek, skąd już całe stada popędzone w
 stronę granicy b. Kongresówki.

Było dużo przeraźliwego wrzasku, płaczu i lamentu wśród kobiet,
 broniących rozpaczliwie swej chudoży, ale żołdaci łatwo radzili sobie
 kolbami karabiny i nabijami. Koczownicy kobietom spieszyć na pomoc nie
 mogli, gdyż każdy, który się nawinął, bywał wraz z bydłem uprowadzany.
 Należało również zrabować jedyną krowę. Kilkuściesięciu wówczas uprowa-
 dził z sobą koczowniczych zdalnych do wojska, wśród nich nawet proboszcza
 z Zaluzan, X. Malinowskiego.

Nie mając okrucha chleba, pozbawiony kapki mleka, zgęsta wazelkich
 środków do życia, napisałem list do znajomego, na Bukowinie wówczas
 mieszkającego, X. Józefa Janiszewskiego, i przedstawiając mu ciężkie
 swoje położenie, prosiłem go o pomoc, której w miejscu darszenie byłoby
 mi uciążliwym. Dobroczynny ten kapłan nadał mi ogółem przeszło tysiąc
 koron, czym umożliwił nam nabycie krowy, jako też zaopatrzenie się
 w niezbędne środki do życia.

Powrót Austriaków nie złagodził położenia ludności. Owezem głód
 wzmagał się coraz większy, coraz dokuczliwszy, a wielki brak mleka,
 powstały z powodu zrabowania bydła, dopełniał złączy. Na dobitek władze

powinny się brać za cel starannie poznać katolicką świątynię w ka-
tolickiej prowincji swego państwa... To też skoro ogromny grzech
w murze kościoła zrobił potężny wylom i wnętrze jego rozpadł grzechem,
chroniące się w nim ludność trzęsła ku wyjątkom i pod grzebami kul biegła
czuła się zagrożoną w pobliskim dzikowskim zamku nr. Tarnowskich,
który austriackie wojska ostatecznie.

Opóźniając kościoła w Tarnobrzegu zburzyli Austriacy za-
bytkowy kościół Gólarzów w pobliskiej Koprzywnicy, nie uniknął równie-
nie zwanemu osobliwy kościół parafialny w przysięgim Mischodzinie.

W miejscowości Koprzywnica, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajdują się dwa kościoły, jeden z nich jest
kościół Gólarzów, a drugi kościół parafialny. W kościele Gólarzów
znajdują się bardzo cenne przedmioty, które zostały spalone przez
Austriaków w 1847 roku.

W miejscowości Mischodzin, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajduje się jeden kościół, który jest
kościół parafialny. W tym kościele znajdują się bardzo cenne
przedmioty, które zostały spalone przez Austriaków w 1847 roku.

W miejscowości Koprzywnica, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajdują się dwa kościoły, jeden z nich jest
kościół Gólarzów, a drugi kościół parafialny. W kościele Gólarzów
znajdują się bardzo cenne przedmioty, które zostały spalone przez
Austriaków w 1847 roku.

W miejscowości Mischodzin, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajduje się jeden kościół, który jest
kościół parafialny. W tym kościele znajdują się bardzo cenne
przedmioty, które zostały spalone przez Austriaków w 1847 roku.

W miejscowości Koprzywnica, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajdują się dwa kościoły, jeden z nich jest
kościół Gólarzów, a drugi kościół parafialny. W kościele Gólarzów
znajdują się bardzo cenne przedmioty, które zostały spalone przez
Austriaków w 1847 roku.

W miejscowości Mischodzin, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajduje się jeden kościół, który jest
kościół parafialny. W tym kościele znajdują się bardzo cenne
przedmioty, które zostały spalone przez Austriaków w 1847 roku.

W miejscowości Koprzywnica, która jest położona w odległości 12
kilometrów od Tarnobrzegu, znajdują się dwa kościoły, jeden z nich jest
kościół Gólarzów, a drugi kościół parafialny. W kościele Gólarzów
znajdują się bardzo cenne przedmioty, które zostały spalone przez
Austriaków w 1847 roku.

II.

O d w r ó t M o s k a l i. - D o b r o c z y n n y k a p -
 ł a n. - U p r z e d z e n i e m i a s t a d o w s i. - Z o -
 s i a d o s z k ó ł. - Z a d u r z e n i e i o c k n i e n i e.
 - Z a n i k d u c h a. - W a l k a z d r o ż y z n ą i o d b u -
 d o w a. - A k t o L i s t o p a d a.

Na koniec w dniu 22 czerwca 1915 r. wojska rosyjskie opuściły Tarnobrzesczyznę, tym razem już na stałe. Przegrawszy w Karpatach generalną bitwę, zrozumieli Moskale, że ponowna ich ofenzywa na Małopolskę byłaby niedościgłym marzeniem.

Na parę godzin przed wycofaniem się z Tarnobrzega porozstawiali się żołnierze po kilku i kilkunastu w różnych punktach Dzikowa i w pewnej chwili, jakby na dany sygnał, poczęli wyganiać bydło z obór i zganiać je na główny plac spędu pod zamek, skąd już całe stada popędzono w stronę granicy b. Kongresówki.

Było dużo przeraźliwego wrzasku, płaczu i lamentu wśród kobiet, broniących rozpaczliwie swej chudoby, ale żołdaci łatwo radzili sobie kolbami karabinów i nahajami. Mężczyźni kobietom spieszyć na pomoc nie mogli, gdyż każdy, który się nawinął, bywał wraz z bydłem uprowadzany. Mnie również zrabowano jedyną krowę. Kilkudziesięciu wówczas uprowadzili z sobą mężczyzn zdolnych do wojska, wśród nich nawet proboszcza z Zaleszan, X. Malinowskiego.

Nie mając okrucha chleba, pozbawiony kapki mleka, zgoła wszelkich środków do życia, napisałem list do znajomego, na Bukowinie wówczas mieszkającego, X. Józefa Janiszewskiego, i przedstawivszy mu ciężkie swoje położenie, prosiłem go o pomoc, której w miejscu daremnie byłoby mi szukać. Dobroczynny ten kapłan nadesłał mi ogółem przeszło tysiąc koron, czym umożliwił nam nabycie krowy, jako też zaopatrzenie się w niezbędne środki do życia.

Powrót Austriaków nie złagodził położenia ludności. Owszem głód wzrastał się coraz większy, coraz dokuczliwszy, a wielki brak mleka, powstały z powodu zrabowania bydła, dopełniał miary. Na dobitkę władze

- O d w r ó t M o s k a l i . - D o b r o c z y n n y k a p -
 - i a n . - U p r z e d z e n i e m i a s t a d o w a i . - S o -
 - i a d o s k ó z . - Z a d u r z e n i e i o c k n i e n i e .
 - Z a n i k d u c h a . - W a l k a z d r o z y n n a i o d b u -
 - d o w a . - A k t o l i s t o p a d a .

Na koniec w dniu 22 czerwca 1913 r. wojska rosyjskie opuściły Tar-
 - nopol, tym razem już na stałe. Prześniwamy w Karpatach gene-
 - ralne bitwy, stoczenieli Moskale, że ponownie ich ożenym na Karpatach
 - byłyby niedobrym wazentem.

Na parę godzin przed wycofaniem się z Tarnopola porzucali się
 - żołnierze po kilku i kilkunastu w różnych punktach Dzików i w pewnej
 - chwili, jakby na dany sygnał, zaczęli wyganiać bydło z obór i gniazd
 - że na główny plac spędu pod zamek, skąd już całe stada popędzono w
 - stronę granicy b. Kongresówki.

Było dużo przerażonego wrzasku, płaczu i lamentu wśród kociet,
 - przerażonych rozpaczalnie swą chudością, ale żołdaci fatwo rzekli sobie
 - kolbami karabinów i napażkami. Mężczyźni kocietom spieszyc na pomoc nie
 - mogli, gdyż każdy, który się nawinął, był w rias z bydłem uprowadzany.
 - Nite również zabowano jedną krowę. Kilkadziesiąt wówczas uprowa -
 - dziłi a sobą mężczyzn zabitych do wojska, wśród nich nawet profesor
 - z Zalesan, X. Malinowski.

Nie mając orzucha chleba, pospawiony kapki mleka, zgoła wazelkich
 - środków do życia, napisalem list do znajomego, na Bukwinie wówczas
 - mieszkałszego, X. Józefa Januszewskiego, i przedstawiały mu ciężkie
 - swoje położenie, prosząc go o pomoc, której w miastem darownie byłoby
 - mi zarząd. Dobroczyanny tej kapian nadał mi ogdłem przesłać żyjąc
 - koron, czym umożliwił nam nabyć krowy, jako też zapłatzenie się
 - w niezbędne środki do życia.

Powrót Anstetków nie ziędzali położenia ludności. Owszem gład
 - zamagał się coraz większy, coraz dokuczliwszy, a wielki brak mleka,
 - powstają z powodu zubożenia bydła, dopędzania miary. Na dobitkę władze

rządowe miast nieść pomoc znękaney ludności, trapić ją poczęły coraz bezwzględniejszymi rekwizycjami wszystkiego, co tylko dla potrzeb wojska służyć mogło, oraz zarządzać dalsze pobory mężczyzn do wojska, by zapełnić w szeregach licznymi bitwami spowodowane luki.

To też wśród spustoszonych wsi i miasteczek, na zgliszczach rozdzielnych domostw wzmógł się jęk i lament. Wiele rodzin opłakiwało śmierć lub ciężkie kalectwo swoich najbliższych, na rychłe zaś zakończenie tej burzy dziejowej wcale się nie zanosilo. I zdawało się nie jednemu, że wojna ta nie skończy się wcześniej, aż wszystko i wszystkich wytraci.

Więc z podziurawionych i na pół rozwalonych kulami austriackich armat kościołów, z rozbolełych serc matek, żon i sióstr, starców i dzieci płynęły ku stropom niebios ciche modły o siłę wytrwania.

W zgliszczach wioski, w gruzach miasta,
W pustym polu chłód,
Panowania objął berło
Bezlitosny głód.

A śmierć czyha i obfity

Zbiera co dnia połów -

Taka teraz nasza dola,

Królowo Aniołów!

Bracia nasi i synowie

Na wolności zew

Pospieszili w pole chwały,

Gdzie się leje krew.

Tam znajdują odpocznienie

W chłodzie wspólnych dołów ...

Taka dola dzieci Polski,

Królowo Aniołów!

Więc żałobni, utrudzeni

Modlimy się wraz :

Dłoń nam podaj i ku świtom

Jutra prowadź nas!

Zdejm te smutki, co na duszy

Osiadły jak ołów,

A nadziei ożyw ciepłem,

Królowo Aniołów!

Za ofiarę przepelnionych

Krwia gorącą kruz,

Za te życia, wcześniej zgasłe

Dla wolności zórz,

Za trud wieków, obrócony

Dziś w kupę popiołów,

Ziścił naszych serc pragnienia,

Królowo Aniołów!

Stali mieszkańcy miast zwykli twierdzić, że miasto podczas wojny więcej cierpiało od wsi, a to z powodu braku pożywienia, które bądź co bądź wieś mogła sobie sama wyprodukować. Nie przeczę, że egzystencja w mieście trudną podówczas była, o czym świadczą takie nie od-

- toż samemu, co było dla potrzeb woj-
 - zasługom, że wojna ta nie skończy się wczoraj, aż wszystko i wszyst-
 - nie tej burzy dalekiej wcale się nie kłania. I zdawało się nie
 - śmierć lub ciężkie kalectwo swoich najbliższych, na rycnie zaś zakone-
 - dainnych domostw wzmógł się jęk i lament. Wiele rodzin opłakiwało
 - To też wódtw spuszczających wai i miasteczek, na szlacheckich to -
 - zapędzić w szereżach licznymi bitwami spowodowane luki.
 - aka siły wojska, oraz zarządzać dalsze pobyty wojska do wojska, by
 - bezwzględniejszymi rekwiżycjami wyczerpanego, co tylko dla potrzeb woj-
 - zasługom miał nieść pomoc ankiej ludności, trapić ją poezją coraz

- kich wytracił.
 - Wiele z podstarższych i na pół rozwalonych kłami austriackich
 - armat kociołków, a rozpalonych serc matek, żon i siostr, starsów i
 - dalsi pinyły ku stronom niebios ciche modły o siłę wytrwania.
 - W szlacheckich wioskach, w gruzach miast, w ruinach i w ruinach
 - W pustym goim chłód,
 - Panowanie ożył bierze
 - Bezlistny chłód.
 - A śmierć czyha i ożyła
 - Złota co dnia pól -
 - Także tam nasza dola,
 - Królów Aniołów!
 - Bracia nasi i synowie
 - Na wojności zew
 - Pospieszali w pole owały,
 - Gdzie się leje krew.
 - Tam anieją odpoznienie
 - W chłodzie wędlinych dołów...
 - Także dola dalsi Polaki,
 - Królów Aniołów!
 - Włoczą się, wzdychają
 - Modliwy się wresz :
 - Dłom nam pada i ku światom
 - Jutra prowadzi nas!
 - Zdejm to smutki, co na duszy
 - Ostadły jak ołów,
 - A nadziei ożywie ciepłem,
 - Królów Aniołów!
 - Za oliwę przepędzonych
 - Kwieć gorąc krusz,
 - Za te życie, wczoraj szasie
 - Dla wojności zbir,
 - Za trud wiosków, obronnych
 - Dais w kupę popiołów,
 - Stęć naszym serc pragnienia,
 - Królów Aniołów!
 - Stali mieszkancy miast zwykli twierdzą, że miasto podczas woj-

- ny wieści oziępiao od wai, a to z powodu braku pożywienia, które
 - będą co będą wieś mogła sobie sama wyprodukować. Nie przeczę, że exy-
 - stencja w mieście trudną podobać się, o czym świadczą także nie ob-

osobne wypadki, że inteligenci z miasta, skoro tylko okoliczności normalnej pracy na roli sprzyjać poczęły, szli na wieś najmować się do robót polnych u gospodarzy, byle móc przetrzymać kryzys głodowy.

Kto z mieszkańców miast podczas szalejącej wojny nie przypatrzył się zbliska własnymi oczyma stosunkom wsi, nie może mieć nawet przybliżonego pojęcia o nędzy życiowej ludności wiejskiej. Wszystkich zdolnych do jakiegokolwiek fizycznej pracy mężczyzn nienasycony moloł wojny z domów pozabierał, pozostawiając tylko kobiety, dzieci i niedołączonych starców. Dotkliwie też dawał się odczuć brak niezbędnego do robót polnych inwentarza. Jeżeli komus ocalał jakiś zapasik ziarna czy ziemniaków, mimo panującego głodu nie tykano tego zapasu, zachowując jako nasienie do siewu, by nie dopuścić w polu odłogów.

Skoro nastawała pora uprawy pól, do robót tych zabierały się kobiety, biorąc z sobą do pomocy niedorostków. Wychudzoną na szkielet szkapę wprzęgano do pługa, niedorostek ujmował lejce i bat, a kobieta czepigi i rozpoczynała się orka ... Podcinana szkapą, szarpiąc się w wysiłku na zaniedbanej roli, nie ciągnęła regularnie pługa, a oblana potem i ubabrana ziemią, z omdlałymi rękoma kobieta upadała w tej pracy ze zmęczenia. Tak uprawiona ziemia, nie zasilona należycie nawozem, marny wydała plon, którego sprzętem i młocką również kobiety z dziećmi zająć się musiały.

Najbliższa moja sąsiadka w Dzikowie, matka pięciorga drobnych dzieci w wieku od 10 lat do jednego roku, nie mogąc w żaden sposób wynająć koni do zorania swojego jednomorgowego pola, zmuszona była cały ten grunt sama jedna zryć szpadlem. A ponieważ nie mogła również zastosować brony, pole zaś było mokre o nieprzepuszczalnym podglebiu, - wynik nadludzkiej pracy kobieciny był ten, że pole nadzwyczaj bujnie obrodziło - same chwasty - i praca poszła na marne.

Z powodu więc tej nieobecności mężczyzn cała egzystencja wsi opierała się wyłącznie na kobietach. W Dzikowie na przykład funkcje policjanta gminnego spełniała kobieta, a w Wielowsi, gdy zmarł długoletni grabarz, Bartłomiej Groniek, który już paru pokoleniom groby kopał, smutne to po nim rzemiosło objęła jego córka Maria i do chwili, gdy słowa te kreślę, trwa na tym stanowisku.

Brak mężczyzn nie tak dotkliwie dawał się odczuwać w mieście, tu bowiem potrzebni byli urzędnicy do prowadzenia poruczonego im za -

osobione wypadki, że inteligent z miasta, skoro tylko okoliczności
normalnej pracy na roli sprzytały, szli na wieś natychmiast się do
robot polnych u gospodarzy, byle nie przetrzymać kryzysu głodowy.

Kto z mieszczanów miał podobać szlachty wojny nie przypisywał
się zbliska wianymi czynami stonankom wsi, nie może mieć nawet przybli-
żonego pojęcia o nędzy życiowej ludności wiejskiej. Wszelkich zdolnych
do jakiegokolwiek fizycznej pracy mężczyzn niemasz wsi, wojny z do-
wów pozabiera, pozostawiając tylko kobiety, dzieci i niezdolnych star-
ców. Dotkliwe też dawał się odebrać brak niezbędnych do robot polnych
inwentarzy. Jeżeli komś ocenił jakis zapasik ziarna czy ziemniaków, mi-
no panującego głodu nie było tego zapasu, zachowując jako nasienie do
ziemi, by nie dopuścić w polu odgrodów.

Skoro nastąpiła praca uprawy pól, do robot tych zabierały się kobie-
ty, biorąc z sobą do pomocy niedorożeków. Wychudzone na szkielet szkapę
wprzęgano do pług, niedorożek ujmował lejce i bat, a kobieta czepiła
i rozporządzała się orką... Robotniana szkapę, szarpąc się w wysiłku na
zaniechaną rolę, nie chciała regulować pług, a obiana potem i upadła
na ziemię, z omdlałymi rękoma kobieta upadała w tej pracy ze zmęczenia.
Tak uprawiano ziemię, nie zasilona należycie nawozem, marny wydatek pion,
którego sprzętem i miocem równała kobiety z dziećmi sążąd się musiały.

Najbliższa moja sąsiadka w Dzikowie, matka pięciora drobnych
dzieci w wieku od 10 lat do jednego roku, nie mogąc w żaden sposób wy-
nająć koni do rotania swojego jednorodowego pług, muszona była cały
ten grunt sama jedną ręką zapadła. A ponieważ nie mogła również zastę-
pować brony, pole zaś było mokre o nieprzepracowanym podglebiu, - wy-
nik nadudzkiej pracy kobiecej był ten, że pole nadzwyczaj pułnistop-
rodzilo - same chwasty - i pracowała na marne.

Z powodu więc tej niezbędności mężczyzn cała gospodarstwo wsi o-
pierała się wyłącznie na kobietach. W Dzikowie na przykład funkcje po-
liczanta gminnego spełniała kobieta, a w Wielowie, gdy zmarł diabeł
Grabarz, Bartłomiej Groniek, który już paru pokoleniem groby kopał, zmar-
ł ten po nim również ojciec jego córka Maria i do chwili, gdy słowa
to krasie, trwa na tym stanowisku.

Brak mężczyzn nie tak dotkliwie dawał się odczuwać w wiosce,
tu bowiem potrzebni byli urzędnicy do prowadzenia porzuczonego im 22 -

kresu działania, związanego ściśle z interesem toczącej się wojny, więc rodziny ich nie zaznały opuszczenia.

Chociaż wieś znacznie później niż miasto wróciła do jakiejś takiej równowagi po zadanych wojną klęskach, przecież dostarczała miastu produkty rolne oraz nabiał. I nie dlatego, by produktów tych miała w bród, lecz z konieczności, by mieć za co kupić soli, nafty, odzież, buty oraz wszelkie powinności opłacić, bo gdyby nie to, z pewnością sama by skąpą tę ilość skonsumowała.

W swoim czasie ustanowiony został jakiś tam urząd do walki z drożyzną, a działalność jego prawie wyłącznie na wiejskiej ludności się skupiała. Bo skoro od litra mleka, funta masła, czy kilku jajek zażądała gospodyni parę fenigów więcej ponad ustanowioną przez tenże urząd aż do śmieszności niską cenę, ze strony kupujących zaraz podnosił się wielki krzyk na „ździerstwo”, zjawiał się w te pędy policjant i włókł sprzedającą do odnośnego urzędu, gdzie ściągano z niej protokół, a odebrany prowiant „sprzedawano” za bezcen, albo wprost konfiskowano.

Ale kiedy chłop n.p. za proste buty zmuszony był zapłacić w mieście równowartość czterech, a nawet sześciu centnarów żyta, wtedy ci, co tak sumiennie pilnowali, by wiejska kobieta feniga więcej ponad ustanowioną normę za funt masła nie wzięła, tego ja - koś nie widzieli, choć było to ździerstwo o pomstę wołające.

Jak we wszystkich, zniszczeniem wojennym dotkniętych powiatach kraju, tak i w Tarnobrzegu utworzony został urząd odbudowy, który zniszczoną wsią zaopiekował się niegorzej od urzędu walki z drożyzną.

Na zarządzenie tegoż urzędu nacięto w lasach mnóstwo pierwszorzędne drzewostanu, nieraz w takich masach, że sosny na znacznej przestrzeni leżały pokotem, drzewo na drzewie, jak gdyby trąbą powietrzną poprzewracane, uniemożliwiając dostęp. Nic to. Zapotrzebowanie zniszczeniem wojennym dotkniętych wsi było ogromne, a że chłop jest w sobie twardy i uparty, więc łatwo sobie z wywózką poradzi.

...wzajemnie interesem tocząc się wojny...

więc rozbijmy ich nie karząc opanowania.

Chociaż wieś znacznie pójść niż mieszko wódziska do takiej ja-

-kiej równowagi po zabiciu wojny kieszon, przedtem dostarczała mis-

stu produktów rolnych oraz naczyń. I nie dlatego, by produktów tych

mieszko w bród, lecz z konieczności, by mieszko za co kupić soli, naczyn,

-obciąż, były oraz wszelkie powinności opisać, po gdyby nie to, z po-

wnością sama by skąpa je ilość skomunowała.

W swoim czasie ustanowiony został jakiś tam urząd do walki

-z drożdżami, a datałność jego prawie wyłącznie na wiatrakiej ludno-

ści się skupiała. Bo skoro od litramleka, funta masła, czy kilku

litrów kawy gospodarz parę feników więcej ponad ustanowione przez

tenże urząd za do amiazności niską cenę, ze strony kupujących ziasz

podnosił się wielki krzyk na "kźsterstwo", zjawiał się w te pody po-

liczant i wódkę sprzedając do odnośnego urzędu, gdzie ścisano z

niej protokoł, a odebny prowiant "sprzedawano" za bezcen, albo

wprost konfikowano.

Ala kiedy chłop n.p. za proste były zmieszony był zapisać

w mieszko równowagę czterech, a nawet sześciu centarów była,

wtedy ei, co tak sumiennie pilnowali, by wiatrak kobieta feniga

-więcej ponad ustanowione normę za funt masła nie wzięła, tego ja-

kos nie widzieli, choć było to kźsterstwo o pomastę wojskiej.

-Tak we wszystkich, znieszczeniu wojennym dotkniętych powia-

-zach kraju, jak i w Tarnobrzegu utworzony został urząd odbudowy,

który znieszona wia zapobiegawaj się niezgorzej od urzędu walki

z drożdżami.

-Na zarządzenie tegoż urzędu nacięto w lasach mnóstwo pierw-

-szarobnego drzewostanu, nieraz w takich masach, że senny na znosz-

-nej przestrzeni leżały pokotem, drzewo na drzewie, jak gdyby tręps

-powietrze poprzerzane, uniemożliwiając dostęp. Nie to. Zapotrze-

-bowanie znieszczeniem wojennym dotkniętych wai było ogromne, a że

-chłop jest w sobie twardy i uparty, więc ratwo sobie z wywózką po-

radzi.

-

-

-

-

-

I tak by było, bowiem biura tychże urzędów - krótko O d b u -
 d o w ą zwanych - oblegały stale gromady wiejskiej biedoty, tak męż-
 czyzn, jak kobiet, ale jak Odbudowie łatwo przyszło zarządzić wycięcie
 całych rewirów leśnych, tak trudno przychodziło prowadzenie rejestrów i
 wydawanie asygnat. Więc długo w lesie leżące, wystawione na działanie
 opadów atmosferycznych, w niestosownej porze wycięte drzewo, poczęło
 butwieć i gnić. A chłopci łazili i łazili, w kornej postawie skamłając o
 zmiłowanie.

Najlepiej jeszcze wyszli ci, co to ceniąc każdą godzinę Bożego
 dzionka, bez oglądania się na Odbudowę, z prywatnego składu drzewo za
 gotówkę zakupili, mogli bowiem na czas pobudować sobie schroniska i u-
 niknąć długotrwałych niewygód oraz idących stąd chorób.

A skoro nareszcie cierpliwie czekający dożyli tej błogosławionej
 chwili bezpłatnego otrzymania budulca, na samą tylko robociznę stawia-
 nia większe ponieśli koszta z powodu spadku wartości pieniądza, niż ci,
 co nie czekając i nie oglądając się na Odbudowę, z zakupionego całkowi-
 cie materiału budynki sobie postawili.

Nieco odmiennie działo się w mieście przy istniejących „stosune-
 czkach”. Wielu właścicieli, którym wojna nie poczyniła w ogólnym mieniu
 żadnych szkód, dzięki stosunkom z Odbudową, bez uszczerbku dla własnej
 kieszeni poprzerabiałało sobie domy, n.p. zmieniając ubikacje, burząc
 piece ceglane, a stawiając kaflowe, odrywając podłogi zwykłe, a układa-
 jąc parkietowe i t. p. A były i takie wypadki, że na pustych od stwo-
 rzenia świata placach, będących własnością pewnych dobrze ustosunkowa-
 nych jegomościów, Odbudowa „odbudowywała” wcale przyzwoite domki ...

A ponieważ się bez dachu nad głową, poszkodowani wiejscy
 nędzarze, patrząc na ten proceder, zaciskali zęby i - pięście.

Owo wspomniane poprzednio uprzedzenie miasta do wszy nasuwa nie-
 zbyt wesołe refleksje. Trafiło mi się czytać w gazetach i to w takich,
 co to mają pretensje uchodzić za pisma „ludowe”, takie sobie pikantne
 historyjki, jakoby chłop siennik pieniędzmi wypychał, do snopów słomy
 milionowe banknoty chował, a potem przez zapomnienie snopki te wraz
 ze schowanymi w nich banknotami na sieczkę zerznął i t.p. banialuki.

I tak by było, bowiem kilka tygodni przed - Krotko Odd p u -
 do w a zwanym - obiegają się gromady wiejskiej biedoty, tak męz-
 czyn, jak kobiet, ale jak Obudowie jako przysiężnie zarządca wyściele
 całym rewirów leśnych, tak trudno przychodziło prowadzenie rezerwów i
 wydwanie sągnat. Właśnie dlatego, wystawione na działanie
 opadów atmosferycznych, w miejscach porze wycięte drzewo, pozosta-
 pułwied i gnid. A chłopci fasili i fasili, w kornaj postawie skamie-
 zmiowienie.

Najlepiej jeszcze wyszli ci, co to cenicie każdą Godzinę Bożego
 datunku, bez oglądania się na Obudowę, a prywatnego składu drzewo za-
 gotówkę zakupili, mogli bowiem na czas pobudować sobie schroniska i u-
 niknąć długotrwałych niewygod oraz idących stąd chorób.
 A skoro narazicie cierpliwie czekający dożyli tej przodstawionej
 chwili bezpieznego otrzymania budulca, na samą tylko robotniczą stawi-
 nie większe ponieśli koszty z powodu spadku wartości pieniędzy, niż ci,
 co nie czekając i nie oglądając się na Obudowę, z zakupionego całkowi-
 cie materiału budulca sobie postawili.

Nieco odmiennie datuje się w mieście przy istniejących „stosunkach”
 „Wielu właścicieli, którym wojna nie pozostawiła w ogólnym mieście
 żadnych szkód, daleki stosunek z Obudową, bez uszczerbku dla własnej
 kieszeni poprzedzając sobie domy, n.p. zmieniając układy, burząc
 piece ceglane, a stawiając kalfowe, odrywając podłogi zwykłe, a układa-
 jąc parkietowe i t. p. A byli i takie wypadki, że na pustych od stwo-
 rzenia świata placach, będących własnością pewnych dobrze uszczelniona-
 nych „ogromności”, Obudowa „odbudowywała” wcale przyzwyczajone domki...

A poniewierający się bez dachu nad głową, poszkodowani wiejący
 nędzarze, patrząc na ten proceder, zasiekali żępy i - pięście.
 Owo wspomnienie poprzednio uprzedzenia miasta do wój nasuwa nie-
 zbyt wesołe refleksje. Trudno mi się czytać w gazetach i to w takich,
 co to mają pretensje uchodzić za „Ludowe”, takie sobie pikantne
 historyjki, jakoby chłop stannik pieniędźmi wypychał, do snopów słomy
 milionowe banknoty chował, a potem przez zapomnienie snopki te wraz
 ze schowanymi w nich banknotami na sieczkę zerwał i t. p. bankieliki.

Owi gazeciarze, co to mieli odwagę podobnego rodzaju „wiadomości” przyjmować i w świat je puszczać, o panujących na wsi stosunkach chyba nawet dziecinnego pojęcia nie mieli, albo też wrogo do wsi usposobieni byli. Mógł ten i ów chłop dorobić się na spekulacji jakiegoś mająteczku, bo i takie wypadki były; zapewne w kilku zachodnio-małopolskich powiatach, które nieprzyjaciela nie widziały, wytworzyły się dość korzystne warunki życia; ale uogólnianie tych sporadycznych zdarzeń i rozgłaszanie takich, jak wyż przytoczone wiadomości, to już u-

Najstarsza córka moja, Zosia, objawiła gorące pragnienie kończenia nauk w seminarium nauczycielskim w Krakowie / a której to szkoły w Tarnobrzegu wówczas nie było /, owiana bowiem duchem patriotyzmu, pragnęła stać się pożyteczną społeczeństwu. Nie posiadając wszakże żadnych po temu środków i w dodatku cierpiąc niedostatek, długo opierałam się prośbie dziewczyny. Ale skoro poczęła łzami się zalewać i błagać, by jej życia nie łamać, brakło mi w końcu siły do dalszego oporu i ostatecznie z początkiem roku szkolnego 1916/17 wyprawilem ją do Krakowa, gdzie przyjęta została do prywatnego seminarium nauczycielskiego żeńskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Fr. Preisendanza. Pomieszczenie znalazła w jednej z tamtejszych burs za stosowną opłatą.

Pomimo że utrzymanie Zosi w szkołach pochłaniało całą moją pensję, zmuszoną ona była ograniczać się do najprymitywniejszych potrzeb i stale cierpiała głód, co na jej wątłe zdrowie niekorzystnie wpływało.

Jednym z donioslejszych, dotyczących Polski zdarzeń politycznych w owym czasie, był znany pod datą 5 listopada 1916 r. manifest skierowany do naszych narodowych, lecz austriackich i niemieckich interesów, co do „przejęci silną wiarą w ostateczne zwycięstwo ich broni, ożywieni pragnieniem, by obszarom polskim, które ich waleczne wojska wśród ciężkich ofiar wyrwały z pod panowania rosyjskiego, otworzyć szczęśliwą przyszłość, ułożyły się, by z tych obszarów utworzyć samoistne państwo polskie z dziedziczną monarchią”, *) jako też proklamowanie „samoistności Galicji”.

*) Są to słowa manifestu / Przypisek autora /.

Owi szlachcizy, co to mieli odwagę podobnego rodzaju „wiedomości”
 przytomność i w świat je puszczając, o panujących na wsi szlacheckich oby-
 wa nawet dalszego podobnego rodzaju nie mieli, albo też wrogo do wsi uspo-
 bieni byli. Mógł ten i ów chłop dorobić się na spekulacji jakiegos
 majątku, bo i takie wypadki były; zapewne w kilku szlachecko-majo-
 polskich powiatach, które nieprzypadkiem nie widziały, wytworzyły się
 dość korzystne warunki życia; ale ogólnie tych sporządzanych sds-
 tren i rozdziałanie takich, jak wyś przytoczone wiadomości, to już u-
 koronowany absurd.

Najstarsza córka moja, Zosia, objawiła gorące pragnienie kon-
 czenia nauk w seminarium naukowo-pedagogicznym w Krakowie \ a krócej to szko-
 ły w Tarnobrzegu wówczas nie było \, owiną powiem duchem patriotyzmu,
 pragnęła stać się pożyteczną społeczeństwu. Nie posiadając wszelkie
 środków do temu środków i w dodatku cierpiąc niedostatek, długo opie-
 rałam się prośbie daję/ozny. Ale skoro poszeła z nami się zżewić i
 przegad, by jej życia nie farnę, prawie mi w końcu siły do dalszego opo-
 ru i ostatecznie z początkiem roku szkolnego 1916/17 wyprowadziła do
 Krakowa, gdzie przyjęta została do prywatnego seminarium naukowo-pedago-
 gicznego Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Fr. Preisnera. Pomiesz-
 czenie znalazła w jednej z tamtejszych burz na stosowne opiate.

Pomimo że utrzymanie Zosi w szkołach pochłaniało część moją pen-
 sję, zmuszona ona była ograniczać się do najprymitywniejszych potrzeb
 i stała się dla mnie, co na jej życie zdrowie niekorzystnie wpływało.
 Jednym z powodów jej, dotyczących Polaki zdarem politycz-
 nych w owym czasie, był znany pod datą 5 listopada 1916 r. manifest
 szkolnych interesami toczącej się wojny, austriackiego i niemiec-
 kiego cesarzy, co do „przejęci” siłą wiarę w ostateczne zwycięstwo ich
 front, oświetli pragnieniem, by opasem polskim, które ich waleczna
 wojaka wśród ciężkich ofiar wyrwały z pod panowania rosyjskiego, otwo-
 rzyć szerszą przyszłość, niożyły się, by z tych opasów utworzyć
 samostatne państwo polskie z dalszymi warunkami „*) jako też prokla-
 mowanie „samotności Galicji”.

*) To są słowa manifestu / Przypisek autora /

I chociaż z powyższego aktu, powołującego do życia ów twór państwowy o nieokreślonych granicach, śmiali się w kułak nawet prości, ale umiejący zdrowo myśleć ludzie, przecież znalazła się i w Tarnobrzegu garść swoistych polityków, którzy, ulegając omamieniu świecącej fosforycznym blaskiem potęgi państw centralnych i odurzeni płynącymi z ich gabinetów napuszonymi frazesami - zdarzenie to uroczystymi pochodami przy muzyce i śpiewach obchodzili.

Co zaś do samego proklamowania „samoistności Galicji”, to zdaje się, że wszyscy akt ten po cichu przeklinali. Jedni dlatego, iż Galicja została poza orbitą nowotworzonego państwa polskiego, drudzy zaś z tego powodu, że owo wyodrębnienie rozluźniało ścisłą spójność tegoż kraju z Wiedniem.

A jednak owe proklamowanie Królestwa Polskiego miało tę dobrą stronę, że zaświadczyło przed światem o istnieniu Polaków i Polski, o czym nie wszędzie wiadano, a co bardzo korzystnie wpłynęło na późniejsze ukształtowanie się stosunków w sprawie niepodległości Polski, jaką dziś mamy.

W Tarnobrzegu powstała „Delegatura Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego” na powiaty Tarnobrzeg i Bisko, z biurem w gmachu Rady Powiatowej, a urzędowali w niej lustrator Wydziału tejże Rady, Piotr Krasoń, i profesor miejscowej szkoły realnej, dr. Karol Adwentowski. Wszelkie elaboraty tejże delegatury przydzielano mi do przepisywania bez wynagrodzenia. Z chęcią podjąłem się tej pracy, byłem bowiem przeświadczony, że służę dobrej narodowej sprawie. Ale nie długo miałem się przekonać, że cała działalność owego N. K. N. idzie wyłącznie po linii nie naszych narodowych, lecz austriackich interesów, obrachowanych aż nadto widocznie na paraliżowanie dążeń narodu do niepodległej Polski. To też gdy pewnego dnia wspomniani panowie zlecili mi przepisać jakieś „kawałki” delegatury, wzburzony odmówiłem. Wtedy jeden z nich rzekł mi: „Na co się Pan złości?... My Panu zapłacimy”...

Hm! „Zapłacimy”... A więc nietylko że do wojska za innymi wwi panowie nie zostali powołani, ale w dodatku rozporządzali pieniędzmi na wynagradzanie czynności w N. K. N. Naturalnie za dotychczasową pra-

I chociaż z powyższego aktu, powołującego do życia ów drugi państwo-
 wowy o nieokreślonych granicach, śladzi się w krótki nowel prosty, ale
 umiędzy zdrowo wyśledzić, przede wszystkim, że w Tarnobrzegu
 garść swobodnych polityków, którzy, niegdyś, oświecając oświeconej foso-
 rycznym blaskiem potęgi państwowości i odwracając przyręczym z ich
 gadaniną naprzeciwymi fraszami - zdarzenie to utraczyłymi pochodami
 przy muzyce i śpiewach obochodili.

Co zaś do samego proklamowania „samostanowienia Galicji”, to zdaje
 się, że wszyscy akt ten po cichu przeklinali. Jedni dlatego, że Galicja
 została poza orbitą nowotworzonego państwa polskiego, drugi zaś z te-
 go powodu, że owo wyodrębnienie rozluźniało ścisłą spójność tegoż kra-
 ju z Wiedniem.

A jednak owe proklamowanie Królestwa Polskiego miało tę dobrą
 stronę, że zawiadaczyło przed światem o istnieniu Polaków i Polaki, o
 czym nie wiedziano, a co bardzo korzystnie wpłynęło na póź-
 niejze kształtowanie się stosunków w sprawie niepodległości Polski,
 jaka była wtedy.

W Tarnobrzegu powstała „Delegatura Departamentu Wojskowego Na-
 cjonalnego Komitetu Narodowego” na powiaty Tarnobrzeg i Nisko, z siedzibą
 w gmachu Rady Powiatowej, a urzędowali w niej instruktor Wydziału tejże
 Rady, Piotr Krasoń, i profesor miejscowej szkoły realnej, dr. Karol
 Adwentowski. Wszelkie elaboryacje tejże delegatury przydzielano mi do
 przygotowania bez wynagrodzenia. A chęć podjąłem się tej pracy, by-
 tem bowiem przeswiadczony, że siłą dobru i dobru narodowej sprawie. Ale nie-
 długo miżem się przekonad, że cała działalność owego N. K. N. miała
 wylicznie po linii nie naszych narodowych, lecz austriackich interesów,
 obrachowanych za mało widownie na paraliżowanie ducha narodu do nie-
 podległej Polski. To też gdy pewnego dnia wspomniany panowie zlecieli mi
 przygotować jakiś „kwadrans” delegatury, wspierony odwołaniem. Wtedy ja-
 ken z nich rzekł mi: „Na co się Pan kłóci?... My Panu zapłacimy”...
 Im i „zapłacimy”... A więc nie tylko że do wojska za innymi ewi-
 panowie nie zostali powołani, ale w dodatku rozporządzili pieniędzami
 na wystrzelenie czynności w N. K. N. Natomiast za dotychczasową pra-

cę grosza nie wziąłem i już do tej roboty ręki nie przyłożyłem.

C. k. starostwa, nad którymi zwierzchniczą władzę miało c. k. namiestnictwo we Lwowie, były podczas wojny wszechwładnymi w Małopolsce powiatowymi władzami, których zarządzeniom podlegały bez zastrzeżeń samorządy z Radą Powiatową na czele.

Personal urzędniczy starostwa w Tarnobrzegu składał się z samych prawie Polaków, ale w personalu tym trudno było dopatrzeć się polskiego ducha. Wszystkie zarządzenia urzędu tego tchnęły wyłącznie troską o całość c. k. państwa.

I gdy dla naszych narodowych obchodów, jak Trzeciego Maja, urzędnicy ci okazywali najczęściej obojętność, to podczas wojny w c. k. uroczystościach gremialnie udział brali, a w zbieraniu „dobrowolnych” datków na c. k. cele okazywali gorliwość godną lepszej sprawy.

Pewnej pięknej, jesiennej niedzieli - nie pomnę dokładnie, w którym to było roku - wybrałem się do kościoła na nabożeństwo, nie wiedząc, że jest to dzień kwesty na jakieś cele c. k. armii. We wszystkich bardziej ruchliwych punktach miasta stały stoliki z porozkładanymi na nich, prymitywnymi, blaszanymi odznakami, mającymi formę medali. Za stolikami tymi usadowili się c. k. urzędnicy starostwa, jako też żony ich ze starością na czele. Żadnego z tych stolików wręcz niepodobna było ominąć, nie okupiwszy się bodaj kilkudziesięciogroszowym haraczem, w zamian za co pobierający datki dekorowali ofiarodawcę blaszką.

Chciałem ominąć pierwszy stolik. - „Co, nie złożysz? Taki to z ciebie lojalny obywatel?” I na piersi mojej już błyszczała blaszka. Idę dalej. - „Jako, tylko jeden drobny datek?” Więc druga blaszka. Przy trzecim stoliku: - „Jak śmiałyś tak panią komisarzową pominąć?” Trzecia blaszka. Jeszcze dalej: - „Skoro dałeś tam, dajże coś i tu!” Czwarta blaszka! I tak dalej, - a gdy wreszcie znalazłem się poza obrębem tego c. k. koła pozawieszany medalami, wyglądałem nieprzymierzając, jak jaki egzotyczny generał.

I dopiero ów sławny, w Brześciu nad Bugiem zawarty później traktat, mocą którego ziemię Chełmską i Podlasie cichaczem oderwano od pnia macierzystego na rzecz nowo tworzonej Ukrainy, ostudził tę c. k. gorliwość

co Groza nie walczył i już do tej roboty ręki nie przyłożył.

C. K. starosta, nad którym wierzchniemi władzę miał c. k.

niemalstwo we Lwowie, były podczas wojny wesołymi w Małopolsce
powiatowym władzami, których zarządzeniem podległy bez zastrzeżeń as-

korady z Radą Powiatową na czele.

Personalny urzędniczy starosta w Tarnobrzegu składał się z naszych

prawie Polaków, ale w personalni tym trybie było dopatrzyc się polskiego
ducha. Wszystkie zarządzenia urzędu tego tchnęły wyściska troską o ca-

łość c. k. państwa.

I gdy dla naszych narodowych obchodów, jak Trzeciego Maja, urzęd-

nicy otoczyli najczęściej obojętnością, to podczas wojny w c. k. urz-

czystościach gremialnie wkładali praci, a w szpitalu „doprowolnych” dat-

ków na c. k. cele okazywali gorliwość godną lepszej sprawy.

Pewnej pięknej, jesiennej niedzieli - nie pamiętam dokładnie, w któ-

rym to było roku - wybrałem się do kościoła na nabożeństwo, nie wiedząc,

że jest to dzień kwasy na jakieś cele c. k. armii. We wszystkich par-

ochach truchliwych punktach miasta stały stołiki z porządkowanymi na nich

prymitywnymi, blaszanymi obankami, mającymi formę medali. Za stołkami

tymi usadowili się c. k. urzędniczy starosta, jako też żony ich ze sta-

racją na czele. Zadenego z tych stołków wrzecz niepodobna było ominąć,

nie okpiwszy się bodaj kilkudziesięciogroszowym haraczem, w zamian za co

popierający dątki dekorowali oliznawące blaszki.

Chciałem ominąć pierwszy stołek. - „Co, nie nie ziożyć? Tak! to

z ciebie lejany opywatel?” I na pierzei mojej już blyszcząca blaszka.

Idę dalej. - „Takto, tylko jeden drobny datek?” Wnę drugą blaszkę. Przy-

trzednim stołku: - „Jak śmiałyś tak panie komisarzowa pominić?” Trze-

cie blaszka. Tenżora dalej: - „Skoro dajesz tam, dajże coś i tu!” Czwart-

ta blaszka i i tak dalej. - a gdy wrzeczcie znalazłem się poza obrębem

tego c. k. koła pozawieszany medalami, wyglądałem nieprzyjemnie, jak

taki egzotyczny generał.

I dopiero ów sławny, w Brzesku nad Bugiem kawarty pódniel trak-

ta, mości którego zwanę Ghemską i Podlaskie chociażem odzwano od pnia

woleńskiego na rzecz nowo tworzonych Ukrainy, ostudził tę c. k. gorliwość

Twórcy owego haniebnego, brzeskiego paktu, hr. Czerninowi, ówczesnemu austriackiemu ministrowi spraw zagranicznych, należy się od nas Polaków prawdziwa wdzięczność. Traktat ten bowiem odkrył prawdziwe, zreszcie dotychczas maskowane zamiary wiedeńskiego rządu względem Polaków i był zarazem kubłem zimnej wody, wylanej na rozpalone głowy zbytnią miłością ku Wiedniowi pałającej części naszej inteligencji.

Nastąpiło otrzeźwienie i żywiołowy odruch. Ocknął się długoletnią, wiedeńską hipokryzją usypiany naród i zszeregował się w duchu na szanach zagrożonej swej ziemi odwiecznej.

Na znak protestu w dniu 18 lutego 1918 r. zawiesiły swe czynności wszystkie urzędy, nie wyłączając starostw; ustała wszelka praca powszednia, zamarł zupełnie ruch w handlach i warsztatach, stanęły koleje. Z okolicznych wsi tłumy ludności ścigały do Tarnobrzega, gdzie liczni mówcy wyjaśniali zgromadzonemu haniebną zdradę austriackiego rządu, nie szczędząc mu wrogich okrzyków.

Na jednym z takich zgromadzeń, urządzonym w lasku, zwanym Borkiem Miechocińskim, sędziwy wójt dzikowski, Jan Słomka, złożył na ręce organizatorów wiecu swój medal zasługi celem odesłania go cesarzowi; podobnie postąpił wspomniany poprzednio dr. Urbanik z orderem kawalerskim Franciszka Józefa.

A pod obłoki huraganową mocą biły słowa „Roty”: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród! Tak nam dopomóż Bóg!” - i brzmiała pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Wspaniały to był moment! Zespolił on jedną wielką myślą wszystkie stany narodu, wszystkie nasze obozy polityczne, stał się wielkim świętem grzmiącego na świat cały protestu Polski. A c. k. satrapi stali i drżeli bezradni. Dziesiątki lat żmudnej, nieustającej pracy nad wyczerpaniem z duszy narodu zielska austriackiego nie dokazałyby chyba takiego cuda, co ten jeden dzień. Hej, jakieśmy wtedy hr. Czernina za ten polityczny absurd błogosławili!

W związku z powyższą sprawą Zosia pisała mi z Krakowa, że na zewnętrznej ścianie jednej z kamienic przy ruchliwej ulicy można było oglądać wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, a po obu jego bokach portrety cesarzy Karola i Wilhelma, na spodzie zaś dużymi literami u-

Twoj owożnieniu, przesięgię partu, hr. Gzerninowi, ów -
 czesnemu anarchoickiemu ministrowi spraw zagranicznych, należy się ob-
 nas Polaków przewziw wzięczność. Traktat ten bowiem odkrył prawdę -
 we, szczególnie dotychczas maskowane zamiary wiedeńskiego rządu względem
 Polaków i był karzem kufiem zimnej wody, wylanęj na rozpalone głowy
 apłynie miłości ku Wiednawii pałającąj części naszej inteligencji.

Nastąpiło otrzeźwienie i tywiołowy obruch. Ocknął się diabeł -
 nis, wiedeńska hipokryzja napłynęła nad i zakrzegowi się w duchu na
 zasobach zasłoniętej swej ziemi odwiecznej.

Na znak protestu w dniu 18 lutego 1918 r. zawieszili swe czynno-
 ści wszystkie urzędy, nie wyjąwszy sądownictwa; uszła wszelka praca
 powozdania, zamary zupełnie ruch w handlach i warsztatach, stanęły ko-
 leje. Z okolicznych wal tliwy ludności śledzący do Tarnobrzega, gdzie
 licznym mówcy wyjąłniali zgrozobionym narodem zgręde anarchoickiego ras-
 du, nie szczędzą mu wrogich okrzyków.

Na jednym z takich zgromadzeń, urządzonych w Jasku, zwanym Bor -
 kiem Mieszczańskim, odbył się wyjątkowy zjazd, Jan Słowka, który na ręce
 organizatorów wienou swoj medal zasługi celem odwołania go cesarzowi;
 podobnie postąpił wspomniany poprzecznic dr. Urbanik z orderem kawaler-
 skim Franciszka Józefa.

A pod okrzyki huraganowe masy dily słowa "Raty": "Nie dany ziemi,
 skąd nasz ród? Tak nam dopomóż Bóg!" - i brzmiała pieśń "Jeszcze Polska
 nie zginęła".

Wspaniały to był moment! Zespólił on jedną wielką myślą wszyst-
 kie stany narodu, wszystkie nasze obawy polityczne, stał się wielkim
 świętem chrześcijańskim na świat cały protestu Polaki. A o. k. nastąpił stał
 i drżałi bezradni. Działający lat śmudnej, niestającej pracy nad wypie-
 nieniem a duszy narodu ziele anarchoickiego nie dokazywały chyba takie-
 go obruc, co ten jeden dzień. Hej, jakśmy wtedy hr. Gzernina za ten po-

lityczny spand błogosławili!
 W związku z powyższą sprawą zosta pisał mi z Krakowa, że na se-
 wnętrnej ścianie jednej z kamienic przy ruchliwej ulicy można było o-
 gładzić wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, a po obu jego bokach
 portrety cesarzy Karola i Wilhelma, na spodzie zaś dwajmi literami u-

widoczny napis, że „Między takimi dwoma łotrami Pan Jezus jeszcze nigdy nie wisiał”.

Ale też i przygnębienie, przeradzające się niemal w całkowite zwątpienie, wywołał ów pakt brzeski u części społeczeństwa, szczególnie u tych, którzy zbawienie Polski widzieli w łączności z Austrią.

Poeta Lucjan Rydel, autor „Betleemu Polskiego”, Polak gorący, jedna z najszlachetniejszych dusz, jakie w mej życiowej wędrówce spotykałem, pod wpływem tych austriackich zdrad, w dniu 6 marca 1918 r., a więc na krótko przed swą śmiercią, pisał do mnie między innymi :

„Tak mną wstrząsnęły wypadki toczące się obecnie, że po prostu myśli pozbierać nie mogę. Dotąd ciągle jestem jak rozbity i całym wysiłkiem woli zdobywam się na tyle równowagi, ile jej potrzeba koniecznie, żeby spełniać codziennie obowiązki, - ale tylko tyle ! Myśli zebrać trudno, opamiętać się nie sposób. Każdą wolną chwilę zbywam czytaniem, żeby nie myśleć, nie pamiętać, nie czuć ...

„Każdy dzień przynosi nowe przykrości, albo zapowiedź nowych krzywd i niepowodzeń ... Życie mierznie, resztki energii zużywają się w tych zabiegach, w końcu przychodzi zmęczenie i obojętność bezmyślna, która na wszystko ma tylko jedną odpowiedź : Po co ? Czy warto ? Ja wiem, że to źle, że to wstyd - zawsze warto i trzeba robić wszystko, co się tylko da zrobić. Trzymałem się, znosiłem wszystko z humorem i pogodą, której się ludzie nieraz dziwili i zazdrościli, bo na końcu tej krzyżowej drogi utrapień widziałem wyraźną zorzę i mówiłem sobie, że wobec niej wszystko jest błahostką. Byłbym wytrzymał i dziesięć lat, byle z tą wiarą, z tą nadzieją. Aż tu jednego dnia okazuje się, że zorza jest tylko luną pożarną, poza którą tylko pustka i noc. W tę ciemność patrzeć zgroza bierze.

„Prawda, że to wszystko może jeszcze zupełnie się zmienić, mogą zajść rzeczy, o których wie tylko Bóg, rzeczy godne Boga i przyszłej ludzkości, może te zmory z piekła rodem rozwieją się jak mgła. Lecz tymczasem zostaje tylko niepokój, troska, zgryzota. Musieli takimi oczyma ludzie patrzeć na wzbierające wody potopu i czuć to, co my teraz czujemy. Ale przecie wody opadły i na niebie zajaśniała tęcza. Teraz

Kładmy fundament pod przyszłości chrześcijaństwa,
 Bożak Pan powiedział : Pomagajcie sobie,
 Jeżeli chcecie, bym dopomógł wam.
 Pomóc wzajemna i jeden duch wspaniały
 Niech nam przodują wśród dziejowej klęski !

widoczny napis, że "Młody Łukasz" dwoma formami Pan Jezus Jezus
nigdy nie wstąpił".

Ala też i przynęcenie, przetrząsnęte się niemal w całości
zwątpienie, wywołaj ów part przeszki u części społeczeństwa, szczegól-
nie u tych, którzy zbawienie Polski widzieli w łączności z Austrią.

Poeta Lucjan Rydel, autor "Bajsemu Polakiego", Polak Gorący,
jedną z najścisłszych przyjaciół duszy, jakie w mej żywotowej wędrówce spo-
tykałem, pod wpływem tych austriackich stras, w dniu 6 marca 1918 r.,
a więc na krótko przed swą śmiercią, pisał do mnie między innymi:

"Tak mnie wstrząsnęły wypadki łączące się obecnie, że po prostu
miałem poczucie nie mogę. Dość długi jestem jak rozbiły i całym wy-
stąpiłem woli zdobyć się na tyle równowagi, ile tej potrzeba konces-
nie, żeby spełnić ostatecznie obowiązki, - ale tylko tyle i miałem nadzieję
trudno, opamiętać się nie sposób. Każdą wolną chwilę skupiam czytaniem,
aby nie wylecieć, nie pamietać, nie czuć ..."

Każdy dzień przynosił nowe przykrości, albo odpowiedzi nowych
krywd i niepowodzeń ... Życie miazganie, resztki energii zużywały się
w tych zadaniach, w końcu przychodził zmęczenie i obojętność bezwzględna.

Ktoś na wszystko ma tylko jedną odpowiedź: Po co? Czy warto? Ja
wiem, że to nie, że to warty - zawsze warto i trzeba robić wszystko, co
się tylko da zrobić. Trzymam się, zmniejszam wszystko z humorem i po-
ję, której się ludzie niezdolni i niezdolności, po na koniec tej
kryzysowej drogi utrzymać widziałem wytrwać kora i mówić sobie, że
wobec niej wszystko jest błahe. Byłbym wytrwał i dzielny jak
tych z tą wiarą, z tą nadzieją. Aż tu jednego dnia okazało się, że za-
raz jest tylko inne potanie, poza którą tylko pustka i noc. W tę ciem-
ność patrzeć trzeba dzielnie.

"Przede, że to wszystko może jeszcze zupełnie się zmienić, może

zajść rzeczy, o których wie tylko Bóg, rzeczy godne Boga i przysięgi
Indykacji, może te smory z piekła todem rozwinę się jak mgła. Lecz
tymassem zaczął tylko niepokój, troska, zgroza. Musieli takimi o-
czyma ludzie patrzeć na wzbierające wody potopu i czuć to, co my teraz
czujemy. Ale przecież wody opadły i na niebie zajął się słońce. Teraz

...

dopiero nauczyłem się modlić, jak nigdy przedtem, teraz dopiero poj-
muję, co znaczy „przyjdź królestwo Twoje !”

„Wszystkie nasze osobiste przykrości, niedole i trudy toć to tyl-
ko dym niby, który wprawdzie gryzie w oczy, ale się rozwieje z pierw-
szym podmuchem. Byle tylko ten podmuch powiał, byle te zmory porozpę-
dzał, a wszystko złe minie.

„Możem ja nie powinien drogiemu Panu wypisywać tego wszystkiego,
bo to nie pocieszające. Każdy ma swój gład na piersiach, po co mu zwa-
lać jeszcze ten cudzy ? Ale ja wiem, że my dusimy się wszyscy pod tym
samym kamieniem, Pan również jak ja, my wszyscy przeżywamy to samo.”

Zwątpieniu poddało się wówczas wielu moich przyjaciół, chociaż
przed wojną radzi śpiewali: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei,
Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi”, - a jeden z nich, Szymon Cheł-
piński, skarżył się mi : „Bogajem tej chwili nie dożył”. I, niestety, nie
dożył biedak, ale dnia zmartwychwstania Ojczyzny, na wolność której
wiele serdecznych piosenek wyśpiewał.

Bardzo to smutne, jeżeli w dniach niepowodzeń braknie wiary we
własne siły. Cierpieliśmy podczas wojny dużo, to prawda, ale też nie
należy zapominać, że rzecz wielką zdobyć można kosztem wielkich tylko
ofiar.

Gdy gromy wojny, huczące nad nami,
W gorzkiej niedoli wtrącają nas toń,
Zamiast rzewnymi zalewać się łzami,
Wszyscy podajmy sobie bratnią dłoń.
Złączone siły, serca skojarzone
Najśladniejsz Leczą dusze zasmuczone.
Ciężkie przygniata barki nasze brzemię,
Gruzy, popioły - zwykły wojny siew -
Ojczystą, naszą zaścieliły ziemię
I hojnie ludzka zwilżyła ją krew.
Lecz łzy i skargi, co echem się niosą,
Ran nie zagoją, chat ze włiszczy nie wzniosą.
Błogosławieni, którzy silni duchem
Patrząc umieją śmiało klęsce w twarz
I, nie zmożeni nieszczęścia obuchem,
U progów J u t r a wiernie pełnią straż.
Im wschodzącego słońca blask promieni
Ciężkie kajdany w lekkie skrzydła zmieni.
Bo wiedz, serdeczny mój ludu Piastowy,
Że z tych zgliszcz naszych grodów, świątyni, chat
Wnet ku obłokom Feniks wzleci nowy,
Bujnie rozkrzewi się wolności kwiat.
I nową, świetną szatą przyodziana,
Żal nasz ukoi Ojczyzna kochana.
Więc nie poddając się zbytnej żałobie,
Kładźmy fundament pod przyszłości chram,
Wszak Pan powiedział : Pomagajcie sobie,
Jeżeli chcecie, bym dopomógł wam.
Pomóc wzajemna i jeden duch męski
Niech nam przodują wśród dziejowej klęski !

- dopiero nauczyłem się modlić, jak nigdy przedtem, teraz dopiero pot-
wuję, co znaczy "przyjdź królestwo Twoje!"

"Wszystkie nasze osobiste przykrości, niedole i trudy, to do ty-
ko dym nidy, który wprawdzie grzanie w oczy, ale się rozwinie z pierw-
szym podmuchem. Byłoby tylko ten podmuch powiał, dym ten smory porożpe-
dzał, a wszystko się minie."
"Możem ja nie powiniem dręczyć Panu wypisywać tego wszystkiego,
po to nie podnosząc. Każdy ma swój kawałek piekarskich, po co mu zwa-
żać jeszcze ten drugi? Ale ja wiem, że my musimy się wazyć pod tym
samym kamieniem, Pan również jak ja, my wazyć przesyłamy to samo."

Zwąpienia podobało się wówczas wielu moim przyjaciół, chociaż
przed wojną rzadki śpiewali: "Barłoznu, Barłoznu, o j nie trawa nadział,
Bóg podziogawiał, Ojczyznę nam zbawiał", - a jeden z nich, Szymon Chel-
piński, skrzył się mi: "Współnie ten chwili nie dożył". I, niestety, nie
dożył piekark, ale dnia zwartychwastnia Ojczyzny, na wojność której
wiele serdecznych piosenek wypisywał.
Barłoz to smutne, jeżeli w dniach niepowodzeń praknie wistry we
wiane stiy. Ciężkieliśmy podczas wojny dużo, to prawda, ale też nie
należy zapominać, że przez wielką chęć zdobyć można kosztom wielkich tylko
olier.

Gdy stromy wojny, huśtanie nad nami, wozowiki z kowczami i kaga-
W gorzkiej niedoli wtręcają nas tam,
Zamiast rozrywami kalwad się krami, wili, co na kowczu tam
Wazyły podają sobie bratnia dłoń.
Ziścone stiy, zaraz ekójzowane
Wszystkie przygniaz barki nasze przemię,
Grzy, popioły - zwykły wojny siew -
Ojczyznę, naszą zasiedliły ziemię
I hojnie ludzka zwiliły ja krew.
Lecz fry i skargi, co ochem się niosę,
Pan nie sągaję, chat ze wiazac nie waniogę.
Biogofawieni, którzy silni duchem
Patrzeć umiętę śmiećo kęszce w twarz
I, nie zmokni nieozogęćo opuchem,
U progów J u r a a wierznie pełnia straż.
Im wschodzącego słońca blask promieni
Głękie kajdany w lekcie skrzydła zmieni.
Bo wiedz, serdeczny mój ludu Pieszowy, ja jak wiesz, Lecz
Ze z tych zglizacz naszych grodów, światyln, chat
Wnet ku opłokom Panika waleci nowy,
Bujnie rozkrzew się wojność kwiat.
I nowe, światła sątę przydadana,
Zaj nasz ukoi Ojczyznę kochana.
Wiec nie podają się zpytniej śalodzie,
Kładamy fundament pod przyszłości chram,
Wszak Pan powiedział: Pomagajcie sobie,
Jeżeli chcecie, bym dopomogł wam.
Pomoć wzajemna i jeden duch mekci
Niesch nam przodują wórd datowej kłęski!

ani garści waty, ani niczego. Dotkliwie też odczuć się dawał brak materiałów na ubrania, przecien na białynę i skór na obuwiu.

III.

Świty. - Wyprawa po zboże. - Uczynność przyjaciół. - Śmierć matki. - Zosia po maturze.

Niedługo po brzeskiej ugodzie było już wiadomem, że armie państw centralnych stale ponészą klęski, a faktu tego nie zdołały ukryć wychodzące pod ostrą cenzurą gazety, zmuszone karmić swych czytelników urzędowymi komunikatami o ciągłych "sukcesach", mimo "strategicznego" cofania się wojsk austriacko - niemieckich.

Była to więc wyraźna "jutrzienka swobody", zza której wyłonić się nam miało "zbawienia słońce". Ale też i nędza wśród ludności doszła była do zatrważających rozmiarów, powodując bezwład ducha i bezmyślną apatię wobec najżywotniejszych spraw narodu.

Wstrząsnęły ciałem ludu Twego dreszcze,
Gdy oto zorze, wiekuisty Panie,
Nam ukazujesz na niebiosach wieszczce -
Na zmartwychwstanie.
Wstrząsnęły dreszcze sercami naszymi,
Jak łanem żyta wiatr w południe skwarne,
Gdy płowe kłosa już chyli ku ziemi
Ziarnem ciężarne.
Wśród rozpętanej, krwawej zawieruchy,
Piorunów trzasku, ognistej spiekoty,
Dążymy pełni wiary i otuchy
Na szczyt Golgoty.
Skąd ujrzeć miałim brzask swego zbawienia,
A brzask ten oto już nam różowieje,
Gdy ciało w długiej drodze z utrudzenia
Chwilowo mdleje.
O, wspomóż, Panie! Wesprzyj wątłe siły,
Gdyż brzemie trudów przytłacza nas srodze, -
Mnogie na naszej znaczą się mogiły
Krzyżowej drodze.
I poprzez strugi krwi brodząc czerwone,
Widzim dokoła ciał strzępy i kości
I Twych przybytków budowlę zburzone
I zgliszczą włości.
O, nie daj, Panie, by w połowie drogi
Z sił wyczerpane ciało omdlewało,
By serce, wolne dotychczas od trwogi,
Drżeć w końcu miało.
Bo choć ogromne są nasze cierpienia,
Bo choć nie milknie wdów i sierot łkanie,
W kres kaźni naszej, w J u t r o O d r o d z e n i a
My wierzym, Panie!

Największą trudność stanowiło zdobycie środków żywności, na które wydawano owe sławne kartki, bez których nie kupiłby ani szczypty cukru,

III.

Światy - Wyprawa po...
Przyjaźni - Śmierć...
m...
Wiedzą po przesłanej...
centralnych...
chodzą pod...
urzędowymi...
cofania się...
Była to więc...
nam...
Była do...
na...
W...
Gdy...
Nam...
W...
Jak...
Gdy...
Z...
W...
D...
Na...
B...
A...
Gdy...
Ch...
O...
Gdy...
M...
K...
I...
W...
I...
O...
Z...
By...
D...
Bo...
Bo...
W...
My...
Najwięk...
Wydawano...
W...
W...
W...
W...

ani garści mąki, ani niczego. Dotkliwie też odczuć się dawał brak materiałów na ubrania, płócien na bieliznę i skór na obuwie.

Ludzie na stanowiskach, lepiej sytuowani urzędnicy, wreszcie ci, co to wobec możnych umieli giąć swoje elastyczne karki i z usługami nadskakiwać, braków tych nie odczuwali; biedniejsi natomiast cierpieli skrajną nędzę, która wielu siłą faktu pchnęła na bezdroża, co głównie dało początek ogólnej demoralizacji.

Dla tych to wpływowych osobników i rodzin ich w okolicznych dworach zawsze się coś na potrzeby znalazło.

Przyciśnięty koniecznością udałem się pewnego dnia do dzikowskiego zamku z prośbą o sprzedaż mi nieco ziarna na chleb dla głodnych dzieci. Po długim i denerwującym czekaniu w przedpokoju otrzymałem odpowiedź - odmowną. Odmowę tę motywowano zaś tym, że pełnomocnik hrabiego, dr. Józef Kaden, jako komisarz zbożowy z ramienia rządu, nie może wchodzić w kolizję z prawem, ... Dla osłody tej odmowy radzono mi pójść do starostwa i tam uzyskać urzędowy kwit na wydanie potrzebnej ilości zboża, a wtedy dopiero zboże to dostanę.

Do tej życzliwej rady jednak nie zastosowałem się, wiedziałem bowiem nadto dobrze, tak dobrze, jak i ci, co tej rady mi udzielili, że prośba uzyskania od panów urzędników starostwa takiego urzędowego kwitu byłaby niedościgłą mrzonką. Wróciłem więc z niczym. A skoro koledze biurowemu opowiedziałem tę nieudałą do zamku wyprawę i przytoczyłem treść danej mi odpowiedzi, ten odrzekł: "Panie, to polityka ... Gdyby rzeczywiście w tym wypadku tylko przepis prawny stał na przeszkodzie, a zapas zboża był nawet co do kilograma obliczony, znaleźliby tysiąc sposobów na obejście przepisów i byłoby wszystko w porządku". Uwadze tej nie odmówić słuszności.

Innym razem dowiedziawszy się, że pełnomocnik dóbr Stanisława Dołańskiego w Baranowie, Trzeciak, wydziela urzędnikom tarnobrzeskim zboże, zaopatrzyłem się w worek i pieniądze i pojechałem do owego baranowskiego zamku, sławnego ongiś z przebywającego w jego lochach legendarnego bazyliuszka. Ale i stąd wróciłem do domu z tym samym pustym workiem, straciwszy niepotrzebnie kilkanaście koron na jazdę koleją.

Jeszcze innym razem poszedłem za poradą wtajemniczonych osób do

... i garści miłki, ani naszego. Dotkliwie też oboznie się dawał prak mase-
 riazów na uprawie, fidelem na dzielnie i akor na opwie.
 Ludzie na stanowiskach, lepiej sytuowani urzędniczy, wreszcie ci,
 co to wobec moźnych umieli się swoje elastyczne karki i z uslugami nad-
 ekwiwad, praków tych nie odczuwali; biedniejsi natomiast cierpieli
 skrajną nędzę, która wielu siłą faktu pohnęła na bezdroża, co głównie
 jako początek ogólnej demoralizacji.
 Dla tych to wpływowych osobników i rodzin ich w okolicznych dwu-
 rach zawaze się coś na potrzeby znalazło.
 Przejmując konsekwentnie udarem się pewnego dnia do dalkowskie-
 go zamku z prośbą o sprzedanie mi nieco ziarna na chleb dla głodnych
 dzieci. Po długim i gnerwującym czekaniu w przedpokoju otrzymałem od
 powiada - odmowną. Odmowę tę notywano zaś tym, że pełnomocnik hrabie-
 go, dr. Józef Kaden, jako komisarz zbożowy z zamiarą rzędu, nie może
 wchodzić w kolizję z prawem... Dla osady tej odmowy rzadono mi pójść
 do starostwa i tam uzyskać urzędowy kwit na wydanie potrzebnej ilości
 zboża, a wtedy dopiero zboże to dostanę.
 Do tej ścisłej rady jednak nie zastosowałem się, wiedziałem po-
 wiem nadto dobrze, jak dobrze, jak i ci, co tej rady mi udzielili, że
 prośba uzyskania od panów urzędników starostwa takiego urzędowego kwitu
 byłaby niedostępną mrzonką. Wróciłem więc z niczym. A skoro koleże bli-
 rowemu opowiedziałem tę niedalę do zamku wyprawę i przytoczyłem treść
 danej mi odpowiedzi, ten odrzekł: "Panie, to polityka... Gdyby rzeczy-
 wiście w tym wypadku tylko przepłać prawny stał na przeszkodzie, a zapas
 zboża był nawet co do kilograma obliczony, znalazłoby tysiąc sposobów na
 obejście przepisów i byłoby wszystko w porządku". Uważałem tę nie odno-
 wid siusznosci.
 Innym razem dowiedziawszy się, że pełnomocnik dóbr Stanisław Do-
 laskiego w Baranowie, Trześciak, wydał urzędnikom tarnobrzeskim zboże
 zapotrzyfem się w worek i pieniądze i pojechałem do owego baranowskiego
 zamku, siwnego ongiś a przepywającego w jego lochach legendarnego bazy-
 liska. Ale i stąd wróciłem do domu z tym samym pustym workiem, straciw-
 szy niepotrzebnie kilkanaście koron na jazdę koleją.
 Jeszcze innym razem poszedłem na porząd wstawniczych osób do

pobliskiego, w skład klucza dzikowskiego wchodzącego folwarku Wymysłowa, którego zarządca, inspektor Zdzisław Guminski, dostarczał znajomym pszenicę. Było to rankiem przy końcu zimy. Inspektor jeszcze spał po nocnej zabawie w towarzystwie austriackiego pułkownika. Postanowiłem czekać cierpliwie. Może po godzinie czekania w chwili, gdy kucharka do pokoju pana wносиła ranną kawę, przez uchylone drzwi oczy moje spotkały się z oczyma pana inspektora, który snad domyśliwszy się, co mię tam sprowadziło, dyskretnie cofnął się i drzwi za sobą zamknął. Czekałem jeszcze jakiś czas, ale skoro pukanie moje nie odnosiło skutku, zniechęcony i zły wróciłem do domu.

Żeby mi kto nie czynił zarzutu, iż na świat i życie patrzę z za okularów klasowego uprzedzenia, oraz chcąc być sprawiedliwym, - dla satysfakcji panów dziedziców, jakoteż ich wielkorządców, stwierdzam z miejsca lojalnie, że nasi kochani chłopkowie nie przewyższali ich w chwalebnym wypełnianiu szczytnych przykazań czynienia dobrze bliźniemu, co pozwolę sobie wykazać paroma faktami.

Spotkawszy raz w Tarnobrzegu mego kuma i przyjaciela, Waleriana Wryka, dość majątnego gospodarza i wójta z Wielowśi, o którym wiedziałem, że ładny zapasik zboża w jego sąsiedku pleśnieje, proszę go :

„Kumie, zlitujcie się, sprzedajcie mi trochę żyta”.

„Wieleż chcecie ?”

„Choćby korczyk ...”

A kum, kiwając przyjaźnie głową, odrzekł z gotowością :

„Dobrze, dobrze, sprzedam”.

„Bóg wam zapłać, kumoterku. Kiedyż mam wysłać furmankę ?”

„Nie potrzebujecie się trudzić, kumie. Za parę dni mam być znów w Tarnobrzegu, to wam przywiozę”.

Ale minęło tych parę dni, wreszcie tygodni - i nic. Aż spotykam przypadkiem kuma i przypominam mu obiecaną dostawę. Wtedy on, jakby nigdy zgoła o niczym nie wiedział, nabiera całkiem z innej beczki :

„Ja dla własnej potrzeby kupuję sobie żyto za Wisłą, bo swego nie mam. Więc i wam radzę, kumie, pójść za Wisłę, gdzie tanio sobie żyta kupicie”.

W potocznym języku znaczyło to : „Jedź na Berdyczów”...

Kiedyindziej spotykam szwagra, Marcina Chaję, z Koćmierzowa i pro -

popieliszego, w ślad którego wchodziłoby wchodziłoby wchodziłoby...
 którego zarządcę, inspektor Szustrowicz, dostarczył znajomym pa-
 nie. Było to rankiem przy koncu zimy. Inspektor Szustrowicz po nocnej
 zapawie w towarzystwie austriackiego pułkownika. Postanowieniem okazał
 ciepłowie. Może po godzinie czekania w chwili, gdy kucharz do pokoju
 pana wnosila kawa, przez uchylone drzwi oczy moje spotkały się z
 oczyma pana inspektora, który snad dowydziawszy się, co mi tam sprowadzi-
 to, dyskretnie cofnął się i drzwi za sobą zamknął. Czekaniem jeszcze jakiś
 czas, ale skoro pukanie moje nie odnosiło skutku, zniechęcony i zły wró-
 ciłem do domu.

Żeby mi kto nie czynił zarzutu, iż nie świąt i święta patrzył na oku-
 larów klasowego przedsięwzięcia, oraz chęć być sprawiedliwym, - dla siebie -
 fakcji panów danielców, jakoteż ich wielokrotnych stwierdzeń z miejsca
 iostajnie, że nasi kochani chłopkowie nie przewyższali ich w chwalebnych wy-
 pełnianiu szczytnych przykazania czynienia dobrze bliźniemu, co pozwoliło so-
 bie wykazać paroma faktami.

Spotkawszy też w Tarnobrzegu mego kuzna i przyjaciele, Waleriana
 Wyka, dość mającego gospodarza i wujka z Wisławy, o którym wiedziałem,
 że każdy zapaść znowu w jego sąsiedztwie, prosię go :

"Kuznie, zlitujcie się, sprzedajcie mi trochę żyta".
 - "Wiele chcecie?"
 - "Chęćby korzystać..."
 A kuzn, kiwając przyjaźnie głową, odrzekł z gotowością :
 - "Dobrze, dobrze, sprzedam"
 - "Cóż wam zapisać, kuznierku. Kiedyś mam wysłać kuzniarkę?"
 - "Nie potrzebujecie się trudzić, kuznie, za parę dni mam być znów
 w Tarnobrzegu, to wam przywiezę".

Ale minęło tych parę dni, wrzesień tygodni - i nie. Aż spotykam przy-
 jacielem kuzna i przypominał mu obiecane dostawę. Wtedy on, jakby nigdy
 zgoła o niczym nie wiedział, nabiera całkiem z innej beczki :
 "Je dla wiadanej potrzeby kupuję sobie żyta za Wisłą, bo swego nie
 mam. Więc i wam radzę, kuznie, pójść za Wisłę, gdzie tania sobie żyta ku-
 picie".

W potoczny język znaczyło to : "Jedź na Białystok"...
 Kiedyś indziej spotykam swą żonę, Marcina Gaję, z Kowalską i pro-

dzę go o sprzedanie mi żyta.

- „Sprzedałbym, sprzedał z drogiej chęci, ale sam nie mam nic, a nic” - odrzekł szwagier.

- „Ależ szwagrze, tylko ówierć ; na tyle wgs chyba stać.”

- „Nie mam nic, a nic !”

I na poparcie prawdziwości swego twierdzenia począł się szwagier - rek łupać pięścią w kałdun.

Aliści w kilka dni później żona idąc do Koćmierzowa, na drodze spotyka znajomego żydka z Wielowsi, wiozącego worki z żytem.

- „Icek, - woła moja kobieta - bój się Boga, skąd ty tyle żyta wieziesz ?”

- „A od Marcina Chaji ” - brzmiała odpowiedź.

Wchodzi wreszcie żona do szwagra i mówi doń prosto z mostu :

„Tak to szwagrze robicie ! Kiedy mój prosił was, byście nam choć ówierć żyta sprzedali, toście się zaklinali, że nic nie macie, ale jak dla żyda, to się zdybąło u was parę korcy na raz ”.

A szwagierek z oblesnym uśmiechem odparł cynicznie :

„A czy to was byłoby stać tyle zapłacić, ile mi żyd zapłacił ?”

Tak więc na nędzy ludzkiej rośli i tuczylili się paskarze, a siłą popędową, dostarczającą energii dla ich egzystencji, byli właśnie tacy, jak powyż opisanii samolubni egoiści, z których wielu nawet dość szybko na prawdziwych paskarzy się przeobraziło.

Raz przecież owego czasu głodu udało się nam w dość łatwy i pospolity sposób zdobyć dwa korce żyta, a to tak było:¶

Matus Motyka, gospodarz z Sobowa, przywiózł pewnego jesiennego dnia do nas cichaczem pięć korcy żyta celem ukrycia i uchronienia przed rekwizycją. Zausługę przechowania odsprzedał nam jeden korzec. W międzyczasie odczuliśmy dotkliwy brak chleba, wobec czego żona postanowiła sięgnąć do jednego z owych, w naszym przechowaniu będących worków.

- „Miejże, kobieto, sumienie - perswaduję jej - cudza własność jest rzeczą świętą”.

- „Sumienie, sumienie - ona mi na to - miałabym to sumienie pozwolić zginąć dzieciom z głodu! A na jakiż to cel żyto u nas Matus przechował ? Na handel, na szmugiel pewnikiem. Czy to nie grzech ?”

...o sprzedaniu mi żyta.

- "Sprzedajmy, sprzedaj z drogiej chęci, ale sam nie mam nic, a

nie" - odrzekł swawierz.

- "Ależ swawierz, tylko ówierz; na żyte wycoby stać."

- "Nie mam nic, a nic!"

I na poparcie prawdziwości swego twierdzenia poczęł się swawierz -

rek iupać pięścią w kufus.

Alfied w kilka dni później żona idąc do domierzowa, na drodze

spotyka znajomego żytkę z Wlelowai, wiozącego worki z żytem.

- "Łoek, - wola moja kobieta - pół się Bogu, skąd ty żyte żyte

wiesz?"

- "A od Marcina Chajki" - brzmiała odpowiedź.

Wobodzi wrzasnie żona do swawierza i mówi don proszę z mostu:

"Tak to swawierze robicie! Kiedy wój prosił was, żyście nam chod

ówierć żyta sprzedali, toście się zaklinali, że nie macie, ale jak

die żyta, to się zdobyli u was parę kocy na raz."

A swawierzek z oślesnym namiętnem odparł cynicznie:

"A czy to was dyfoby stać żyte zapłacić, ile mi żyte zapłacił?"

Tak więc na niedy iudakiej tości i tuczyl się paskarze, a żyte po-

pedowe, dostarczające energii dla ich egzystencji, byłt właśnie tacy,

jak powyt opisanl samolubni egości, a których wielu nawet dość szybko

na prawdziwych paskarzy się przeobraziło.

Raz przecież owego czasu fiodu udalo się nam w dość łatwy i popo-

lity sposób zdobyć dwa korce żyta, a to tak było:

Matus Motyka, gospodarz z Sobowa, przywiózł pewnego jesiennego

dnia do nas cichaczem pięć kocy żyte celow ukrycia i uchronienia przed

rekwiżycją. Naszując przechowania odprzedał nam jeden korce. W mię-

dzoczasie odczyniliśmy dotkliwe prak chleba, wobec czego żona postanowi-

ła sięgnąć do jednego z owych, w naszym przechowaniu będących worków.

- "Miejże, kobyto, swienie - perawduje tej - cudea włanobó jest

trzeci święte."

- "Swienie, swienie - one mi na to - miałabyś to swienie do-

wolę zgineb dalsiom z fiodu! A na jakis to cel żyto u nas Matus prze-

chował? Na handel, na egzempli pewników. Czy to nie grzech?"

I spierajże się z tak dowodzącą kobietą?! Odsypała więc ćwierć, potem drugą.

W kwietniu dopiero, kiedy to cena zboża doszła była do zawrotnej wysokości, przyjechał Matus po swoje żyto i z miejsca dowiedział się o ubytku pół korca oraz usłyszał propozycję żony odstąpienia nam drugiego pół korca.

Nawymyślał coś tam chłop, namruczał, propozycję ze złością odrzucił, ale skoro chciał ów półkorczyk na wóz naładować, żona rozpaczliwie uczepiła się worka i rozpoczęło się wzajemne mocowanie. Przedmiot sporu przechylał się to w tę, to w tamtą stronę; chłop był mocniejszy, ale miłość macierzyńska ku głodującym dzieciom wprost nadludzkich sił kobiecie dodała, wobec czego Matus jako chłop honorowy, nie chcąc burd robić, skapitulował i, nie upomniawszy się nawet o zapłatę, z ocalonymi trzema korcami pojechał.

Dopiero za kilka dni przyszedł po zapłatę, którą co do grosza już bez jakiegokolwiek sprzeczeki, jakby nic nigdy nie zaszło, otrzymał. Tak więc „wilk był syty i owca cała”.

Do ukrywania zboża przed rekwizycją uciekali się wszyscy drobni producenci, używając przytym najrozmaitszych fortelów dla omylenia czujności tekwirujących urzędników i żandarmów. Ale zabiegi ich nie zawsze dobry odnosiły skutek, wszystkie bowiem kącki osiedla gospodarza skrupiecznie rewidowano, wszystko - że użyję utartego terminu - do góry nogami przewracano. Ukrywanie odbywało się zazwyczaj w sekrecie przed sąsiadami, którzy zazdrośnym okiem wzajemnie na siebie spoglądali.

Opowiadano mi wówczas taki wypadek, że pewien gospodarz uprzedzony o mającej się odbyć rewizji, na ustawiony umyślnie przy gnojowni wóz nałożył worki ze zbożem, przykrył je kopiasto gnojem i uspokojony czekał rewizji. Ale niestety, zazdrośny sąsiad podpatrzył i zadenuncjował, wobec czego biedakowi nietylko że wszystko zabrano, ale go jeszcze ukarano.

W tego rodzaju denuncjacjach tkwi coś tak haniebnego i potwornego że określenie postępów takich mianem „chamstwa” wydaje się zbyt łagodną terminologią.

Troska utrzymania przy życiu rodziny zmuszała mnie imać się bodaj groszowych, ubocznych zarobków, którym na szczęście z powodu nieobecności

I ptażąc się z tak dowodząc kobietę? ! Odbijała więc światło
potem drugą.

W kwintu dopiero, kiedy to cenna szosa doszła była do zawrotnego
wysokości, przyjechał Matuz po swoje sądy i z miejsca dowiedziawszy się o
nbytku pół korca oraz uszykował propozycję śony odstępstwa nam drugiego
pół korca.

Nawymyślał coś tam chiop, namruczał, propozycję ze złością obrzu-
cił, ale skoro chciał ów półkorczyk na wóz nalażować, żona rozpaczała
uczyła się warka i zapoczęła się wstępnym mowaniem. Przedmiot sporu
przechylił się to w tę, to w tamtą stronę ; chiop był mooniższy, ale
młodość mędrzyńska ku gładzącym dzieciom wprost nadлюдzkich się kłóci-
cie dobala, wobec czego Matuz jako chiop honorowy, nie ośmielił burd robić,
ekspatrował i, nie upominawszy się nawet o zapłatę, z ocalonymi trzema
korcami pojechał.

Dopiero za kilka dni przyjechał po zapłatę, która co do grosza już
bez jakiegokolwiek sprzeczeki, jakby nie nigdy nie szasła, otrzymał. Tak
więc „wilk był wół i owca cała”.

Do ukrywania szosa przed rewizyjną uciekali się wszyscy drobni
producenti, używając przy tym najrozmaitszych fortelów dla omylenia cenzu-
rosel rewizyjnych urzędników i handlarzów. Ale zapłacił ich nie zawsze
dobry ośmielił skutek, wszystkie bowiem kaciaki osiedla gospodarza strze-
żnie twidowano, wszystko - że użyję utartego terminu - do góry nogami
przewrascano. Ukrywanie odbywało się, zawieszając w sekretności przed sąlad-
mi, którzy zadrewniał okiem wążemnie na siebie spoglądali.

Opowiadając mi wówczas taki wypadek, że pewien gospodarz uprzedzo-
ny o majęcej się odbyć rewizji, na ustawiony umyślnie przy gnojowni wóz
nałożył worki ze zbożem, przykrył je kopiaszami gnojem i napokojony czekał
rewizji. Ale niestety, zadrewniały sąsiad podpatrzył i zabannocował, wobec
czego biedakowi niktąko że wszystko zdradno, ale go jeszcze ukarano.

W tego rodzaju demuncjach tkwi coś tak haniebnego i potwornego
że określenie postępków takich mianem „chamsstwa” wydaje się zbyt łagodną
terminologią.

Troska utrzymania przy życiu rozbitych zmaszła mnie imać się bodaj
groszowych, upieczonych zarobków, którym na szczesście z powodu nieobecności

powołanego do wojska sekretarza Rady Powiatowej, Antoniego Bielewicza, mogłem się każdej wolnej chwili swobodnie oddawać, co ułatwiało mi wegetację - ale tylko wegetację.

Pozostałe w domu, skazane na przymusowe głodowanie, dzieci słabły, w konsekwencji czego zdolności do nauk w nich zanikały. Skutki tego głodu odbiły się najpierw na zdrowiu mej matki, która spędziwszy całe swe życie w twardej, nieustającej pracy, bez pracy tej żyć wręcz nie umiała i pomimo głodu i widocznej niemocy, obojętna na moje prośby i stragi, odpocząć nie chciała, dopóki zupełna niemoc na łożu cierpienia jej nie powaliła. Po kilku dniach choroby, nad ranem 23 kwietnia 1918 r., pobłogosławiwszy nas wszystkich, po 74 latach pracowitego a gorzkiego życia ducha Bogu oddała.

Od świtu życie jej się wypełniało
Modlitwą cichą i pracą wytrwałą,
Wzrasu południa odmawiała sobie,
W zachód spoczęła w wymodlonym grobie.

W czerwcu 1918 r. zdała Zosia maturę, a choć dwuletnia praca nad sobą w głodzie i chłodzie bardzo ją zmizerowała, pełna zapału do pracy i ochoty do życia, radośnie przed siebie patrzyła. Wkrótce dostała posadę nauczycielki kierującej we wsi Strzyżewice gminy Piotrowice, niedaleko Lublina.

Witaj Ojczyzno w aureoli chwały i
Wolność na nowo bierze z tobą ślub,
Na nowe życie powstał naród cały,
Odbiwszy drogę wszystkich życia prób.
Po długich latach rozłąki, pospółu
Swe dzieci znów u jednego stołu.
Witaj Ojczyzno! Stałaś udręki
Zacięła umiała i nadzieję żyć,
W ogniu własnej męki
Wierzyłaś, że odtąd będziesz łani,
Będiesz dla innych przykładem i wzorem,
Jakim przez życie dążyć trzeba terem.
Witaj Ojczyzno! - Polsko zjednoczona i
Kochaniem i pieśnią wśród dolin i gór
I będą po trzykroć sercem pozdrowiona
I w sercu twych synów, wierności twych cór i
Będą pozdrowiona w tym worze cierpienia,
Z którego wstał chrzest twego zbawienia i
Będą pozdrowiona w nowej życia dobie,
W wskrzeszonej erze najświetlejszych lat i

powołanego do wojska sekretarza Rady Powiatowej, Antoniego Bielewicz,
mogiem się każdej chwili swobodnie oddawać, co nierzadko mi we-
szło - ale tylko wesoło.

Pozostał w domu, skazane na przymusowe glodowanie, dając siab-
ły, w konsekwencji czego zdolności do nauk w nich zanikły. Skutki te-

co glodu oddziały się natężyły na zdrowiu mojej matki, która spędziwszy
całe swe życie w twardej, niezmiętej pracy, bez pracy tej żyć wręcz
nie umiała i pomimo glodu i widocznej niemocy, obojętna na moje prze-
stąpiła i prośby, odpocząć nie chciała, dopóki zupełnie nie umoc na łożu
cierpienia tej nie powaliła. Po kilku dniach choroby, nad ranem 23 kwiet-
nia 1918 r., podległszy wazjakich, po 74 latach pracowitego
a gorzkiego życia ducha Bogu oddała.

Ob życiu życie tej się wyznała
Modlitwę cięłą i pracę wyrwała,
Wzrusza podniecia odmiawiała sobie,
W zachód spoczęła w wymodlonym grobie.

W czerwcu 1918 r. zdała łoża matkę, a choć dwuletnia praca nad
sobą w glodzie i chłodzie bardzo ją wzmocniła, pełna zapasu do pracy
i ochoty do życia, radośnie przed siebie patrzyła. Wkrótce dostała po-
nadą nieszczęśliwą kierującą we wsi Strzyżewice Gminy Piotrowice, nie-
daleko Lublina.

[The following text is extremely faint and largely illegible, appearing as bleed-through from the reverse side of the page.]

Niech na nieśmiół i wioleku grobie
 Szczęścia narodu rozwiła się kwiat !
 IV.

W i t a j O j c z y z n o ! - R e p u b l i k a t a r n o -
 b r z e s k a . - P r a c a a p ł a c a .

W listopadzie 1918 r. gruchnęła wieść : Austria i Niemcy pobite !
 i równocześnie na ulicach Tarnobrzega uwijali się w drobnych grupkach
 nasi legionieści. Przewidujący klęskę państw centralnych, poukrywani
 w swych kwaterunkach nieliczni żołnierze-Czesi, na pierwszą wieść o
 pogromie wypełzli ze swych kryjówek i odrzuciwszy precz broń oraz po-
 zrywawszy z czapek austriackie bączki, z śmiejącymi oczyma, pozdrawia-
 jąc nas wykrzykiwaniem „Na zdar!” - w żwawych podskokach spieszyli do
 stacji kolejowej, pragnąc się jak najrychlej dostać do ojczyzny.

Tymczasem legionieści patrolowali, odbierając błądzącym w osłupie-
 niu po mieście nielicznym c. k. żołnierzom broń, ładunki, tornistry i
 rzemieńne pasy.

Ukazali się i żandarml, z bardzo niewyraźnymi minami, budząc swymi
 służbowymi czapkami, kaducznie oszpeconymi poobrywaniem szczytowych
 bączków, złośliwe uśmiechy u patrzących.

Rzadko spotykani żydzi z spuszczanymi głowami i jakby zataczają-
 cy się na nogach, czynili wrażenie odrętwiałych.

Wolność !.. Hej ! Boże kochany ! Bądź uwielbiony, iżeś dozwolił
 dożyć tej radosnej chwili wybawienia !

Witaj Ojczyzno w aureoli chwały !
 Wolność na nowo bierze z tobą ślub,
 Na nowe życie powstał naród cały,
 Odbwszy drogę wszystkich życia prób.
 Po długich latach rozłąki, pospołu
 Twe dzieci znowu u jednego stołu.
 Witaj Ojczyzno ! Stuletnie udręki
 Znosić umiałaś i nadzieją żyć,
 Więc doczyszczona w ogniu własnej męki,
 Świetniej niż ongi odtąd będziesz lśnić.
 Będiesz dla innych przykładem i wzorem,
 Jakim przez życie dążyć trzeba torem.
 Witaj Ojczyzno ! - Polsko zjednoczona !
 Rozbrzmiewaj pieśnią wśród dolin i gór
 I bądź po trzykroć sercem pozdrowiona
 W męstwie twych synów, wierności twych cór !
 Bądź pozdrowiona w tym morzu cierpienia,
 Z którego wzięłaś chrzest twego zbawienia !
 Bądź pozdrowiona w nowej życia dobie,
 W wskrzeszonej erze najświetniejszych lat !

Wielki Ojczysty - Polska - Prasa

W listopadzie 1918 r. grono wiość i Niemcy podjęli i równocześnie na niemieckich liniach kolejowych i wsiadali na niemieckie pociągi, powrócili do kraju i wsiadali na niemieckie pociągi, powrócili do kraju i wsiadali na niemieckie pociągi...

Wielki Ojczysty w szlachetnej chwili wyzwolenia!
Wojność na nowo pierze z sobą miał,
Na nowe życie powołaj naród cały,
Odpowiedz drogę wszystkim życiu przebieg...

Niech na niewoli i ucisku grobie
 Szczęścia narodu rozwija się kwiat !
 Z upadku na szczyt chwały wyniesiona
 Ojczyzno wolna - bądź nam pozdrowioną !

Zaraz po odzyskaniu wolności ukazali się na arenie politycznej tarnobrzieskiego powiatu niepowołani budowniczości ustroju państwowego w Polsce, z X. Eugeniuszem Okonem z Radomyśla nad Sanem i Tomaszem Dąbalem z Sobowa na czele.

Rozagitowana na licznych wiecach i ujęta zapowiedzią oddania rządów „w ręce ludu” oraz obietnicę bezpłatnego rozdzielania pańskich gruntów, - ludność powiatu zaakceptowała projekt owych „opatrznościowych” mężów utworzenia „republiki tarnobrzieskiej”.

Na czym właściwie owa republika zasadzać się miała, bliżej nie wiem, będąc bowiem zaabsorbowany rozlicznymi, osobistymi strapieniami, nie mieszałem się w te sprawy.

Ale obok mnogich, rekrutujących się z bezkrytycznej masy zwolenników, miała republika ta także przeciwników, głównie pośród inteligencji. Nieubłagany zaś wrogiem owych twórców „republikanckiego porządku” okazał się ówczesny szef administracji, poseł Zygmunt hr. Lasocki, aż dotąd przez ludność powiatu uwielbiany, od chwili zaś kiedy Okon z Dąbalem położenie opanowali, raptem znienawidzony. Z jego to zarządzenia chciano aresztować Dąbala, ale tenże ostrzeżony umknął za Wisłę, gdzieś się przez jakiś czas ukrywał ; bardziej zaś zapalonym z pośród okolicznego chłopstwa osobnikom leczono ową republikanską gorączkę - sypaniem pewnej ilości „buków”...

Sprawiedliwość podnieść nakazuje, że w Zygmuncie Lasockim miała ludność szczerego opiekuna i oddanego rzecznika spraw swoich tak wówczas, kiedy to jeszcze jako starosta tarnobrzieski kierował sprawami powiatu, jako też później, kiedy do parlamentu wiedeńskiego poszował.

Szczególnie podczas wojny dużo dobrego ludności czynił. Kwatera jego w Dzikowie / w domu Gołębiowskiego / zawsze była przez tłumy okolicznej ludności oblegana, skoro tylko tamdotąd przyjechał. Każdego interesanta przyjął, każdego wysłuchał, każdemu w miarę możliwości dopomógł. Wystarał się był nawet o tanie ubrania, materiały na nie, buty, skóry i t.p. rzeczy, o które podczas wojny niezmiernie trudno było, i towary te po ce-

Postępek ten owych szafanujących i być może innych nie wie -

Niech na niewoli i wciśnięciu grobla
Gazęć się narodu rozwinie się kwiat !
Z upadku na szczyt chwały wyniesiona
Ojczyzna wolna - bądź nam podtrawiona !

Ważną rolę w odzyskaniu wolności odegrał się na terenie politycznej jar -
noprzedniego powiatu niepowołani badawczo-wie naukowo państwowego w Pol-
sce, a K. Węgierskim Głównym z Radomyska nad Szanem i Tomaszem Dębalem
z Sobowem na czele.
Rozstrzygnięcia na liczących wiecach i ujęta zapowiedział oddania rządów
"w ręce ludu" oraz ostateczną bezpłatnego rozdzielania pańskich gruntów,
- ludność powiatu zachęcając projekt owoch "opatrznościowych" mędzów
utworzenia "republikki tarnobrzeskiej".
Na czym właściwie ową republikę zasadzać się miało, bliżej nie wiem,
będąc bowiem zaobserwowany rozlicznymi, osobistymi strapieniami, nie mie-
szalem się w te sprawy.
Ale obojętnych, rekrutujących się z bezkrytycznej masy zwolenni-
ków, miała republika ta także przedwinić, głównie wśród inteligencji.
Nieważnym zaś wrogim owoch twórców "republikanańskiego porządku" okazał
się ówczesny szef administracji, poseł Zygmunt hr. Lasocki, iż dotąd przez
ludność powiatu wziętym, od chwili zaś kiedy Okon z Dębalem połączenie
opowiadali, tylko znanymi. Z tego to zarządzania ochotno uczestwowa-
Dąbala, ale także ostrzeżony umiał na Wiele, gdzieś tam przez jakiś czas
ukrywał; parzył zaś zapalony z porządku okolicznego chłopstwa osobnikom
leżono ową republikanańską gorączkę - zysaniem pewnej ilości "burków" ...
Sprawiedliwość podnieść należy, że w Zygmuncie Lasockim miał
ludność szaczonego opiekuna i oddanego rzecznika spraw swoich tak wówczas,
kiedy to jeszcze jako starosta tarnobrzeski kierował sprawami powiatu,
jako też później, kiedy do parlamentu wiedeńskiego poszował.
Szczególnie podczas wojny dużo dobrego ludności czynił. Kwaters je-
go w Dąbkowie \ w domu Gofelwskiego \ zawsze był przez kilka okolic
nej ludności obiegana, skoro tylko tamtędy przyjechał. Każdego intere-
santa przyjął, każdego wysłuchał, każdemu w miarę możności pomógł. Wy-
stąpił się był nawet o takie ubrania, materiały na nie, buty, skóry i t.p.
rzeczy, o które podczas wojny niezmiernie trudno było, i towarzysze po ce-

nie kosztu między najbardziej potrzebującą ludność rozdawał.

Niepoehlebne więc świadectwo ludność tarnobrzeskiego powiatu dojrzałości swej wystawiła, skoro w tak niezmiernie ważnym, dziejowym momencie, dając się lekkomyślnie uwieść pustym krzykom domorosłych demagogów, nienawiść swą zwróciła przeciw dotychczasowemu posłowi, który tyle dobrego jej czynił i mógł przy dalszym darzeniu go zaufaniem wiele jeszcze dobrego uczynić.

"Sypanie buków" - jakkolwiek było niebardzo politycznie pomyslanym aktem - miało swój usprawiedliwiony powód. Ludność bowiem świeżo upieczonej "republiki tarnobrzeskiej" zbyt radykalnego nabrała pojęcia o swej osobistej wolności, zbyt wygórowane pod względem przysługującej jej praw rościła sobie pretensje, o czym świadczy następujący, jeden z wielu fakt.

Celem uspokojenia roznamiętnionych umysłów wydali biskupi list pasterski do ogłoszenia go z ambon ludowi. O liście tym i mającym nastąpić w kościołach jego ogłoszeniu uprzedzeni byli owi samozwańczy trybuni i, pragnąc za każdą cenę ustrzec się niepożądanego dla siebie zwrotu / Okoń i Dąbał kandydowali właśnie na posłów do sejmku ustawodawczego /, podmówili pewnych chłopów, by ci przeszkodzili odczytaniu owego biskupiego orędzia.

Podczas uroczystej sumy w tarnobrzeskim kościele pobożny lud ekajał się Panu w kornej modlitwie; klęcząc, tukał czołem o zimny giaz posadzki i, bijąc się w piersi, zebrał zmiłowania: "Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!" Ale skoro kaznodzieja, wszedłszy na ambonę, rozpoczął czytanie pasterskiego listu, wtedy świątynię Pańską napełniły pomruki, wreszcie w stronę ambony skierowane podniosły się pięści i rozległy się możliwe tylko w karczmie pogróżki zrzucenia księdza z ambony "na keb", skoroby nie zaniechał czytania ...

Jakoż nerwy kapłana nie wytrzymały, przeor wycofał się do zakrystii, drugi O. Dominikanin nie miał odwagi zaryzykować, aż dopiero najmłodszy, niedawno wyswięcony rodak z Mokrzeszowa / gniazda obok Sobowa najzażartszych radykałów /, O. Szymon Ordon, elastycznym krokiem i zdecydowanie wstąpił na ambonę i niczym się nie zrażając, odczytał biskupie orędzie.

Postępek ten owych zbałamuconych i być może samych nie wie -

nie kosztu niędy najbardziej potrzebujecie ludność rozdać.

Niepoehlebie więc świadectwo ludność tarnobrzaskiego powiatu dojrzałości swej wystawia, skoro w tak niezmiernie ważnym, dającej momenty, dając się jakkolwiek nie uważać przetrzymać komuś momentu de- masogów, niezawadź swą zwrócić przetrzymać dożywczości posłowi, który tyle dobrego tej czynił i mógł przy dalszym dążeniu do zafiansem wie- je jeszcze dobrego rozwinąć.

"Głównie brków" - jakkolwiek było niebardzo politycznie pomysła- tym aktem - miało swój usprawiedliwiony powód. Ludność bowiem uważała ubezpieczoną "republici tarnobrzaskiej" zbyt radykalnego narazie poje- cie o swej osobistej wolności, zbyt wygórowane pod względem przysług- tacy tej praw rozciąga sobie pretensje, o czym świadczą następujące, jeden z wielu fakt.

Celem uspokojenia rozniecierpliwionych umysłów wydali dyktant list pasterski do ogłoszenia go z ambon ludowi. O liście tym i następują na- stąpić w kościołach tego parochii wprzebieżani byli owi samowolnicy trybuni i, przynajmniej na każde cenie utrzymać się niepożądane dla siebie zwrotu \ Okon i Dabai kandydowali wiarze na posłów do sejmiku w dawszego \, poddawali pewnych obywateli, by ci przeszkadzali odżywaniu owego diekniego orędzie.

Tobieża uszczupiałej smy w tarnobrzaskim kościele podobny ludzki kłóci się tam w korniej modlitwie; Kłęcząc, śpiewając, ciekawym ciekawym giaz posadzki i, bijąc się w piersi, śpiewają zmiłowania: "Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!" Ale skoro kandydacja, wazadziły na ambone, rozpaczą czytelnia pasterskiego listu, wtedy świątynie Pańska niebezpieczny domnuki, wreszcie w stronę ambony skierowane podobiały się pięści i rozległy się możliwe tylko w kierunku pokrętki struszenia katedra z ambony "na feb", skroby nie zaniedbał czytelnia...

Jakoś nerwy kapłana nie wytrzymały, przecz wycofał się do ka- krytli, drugi O. Dominikanin nie miał odwagi zaryzykować, aż dopiero najwidoczniej, niedawno wyświęcony rodak z Mokrzeszowa \ Eniasza okok So- powa najszczęśliwszych radykałów \, O. Zygmunt Ordan, elastycznym krokiem i zdecydowanie wstąpił na ambone i niczym się nie straszając, odżywał dieknie orędzie.

Postępek ten owych zafiansemionych i być może samych nie wie -

dzących, co czynią, osobników / Niestety, do głównych podżegaczy należał „światłodawca” wsiowy, nauczyciel Jan Buczek /, przywodzi na myśl zaiste żalospną skargę Chrystusa, wyrażoną w w wielkopiątkowej pieśni :

Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił ?
W czemem zasmucił, albo w czym zawinił ?
Jam dał, że zbici Chanaan królowie,
A ty zaś trzcina bijesz mnie po głowie !”

A jednak Okon i Dąbki wybrani zostali posłami do pierwszego sejmiku odrodzonej Rzeczypospolitej. Postępkami zaś swymi ci dwaj wybrancy wyrobili sobie wkrótce sławę Herostrata.

Sekretarz Rady Powiatowej - nie pomnę już kiedy - wrócił wreszcie z wojska i rozpoczęła się forsowna praca biurowa w Wydziale Powiatowym.

Tymczasem rząd powziął był plan rekonstrukcji administracji, podług którego to planu rady powiatowe miały być zwinięte, a funkcjonariusze tych skasowanych autonomicznych urzędów jedni mieli być w miarę potrzeby przydzieleni do starostw, zbędni zaś spensjonowani.

Ale powiadają : „Co nagle, to po diable” - tak też i na owych projektach warszawskich sprawdziło się to przysłowie. W chaosie różnych reform zamiary rychłego skasowania rad powiatowych jakoś się przeciągały, z czego korzystając owe zagrożone instytucje, porozumiały się między sobą, utworzyły komitet i rozpoczęły gorączkową akcję, zdążającą do unicestwienia rządowych zamierzeń. Generalnym sekretarzem, a raczej kierownikiem tego komitetu, ustanowiony został sekretarz Rady Powiatowej tarnobrzeskiej i cały tok prac odbywał się w Tarnobrzegu.

Rozpisywało się więc i rozsyłało memoriały, przedstawienia i prośby do rządu i sejmu, do różnych miarodajnych czynników, do poselskich klubów sejmowych wszystkich niemal ugrupowań politycznych, jako też z osobna do poszczególnych posłów i t.d., a czynnością sporządzania tych memoriałów i wszelakich odezwow mnie obciążono. Za uciążliwą pracę w całej tej akcji wypłacono mi wspaniałomyślnie pięćdziesiąt ówczesnych zdewaluowanych keron.

Kiedy już groźba zniesienia rad powiatowych minęła, jał sekretarz czynić usilne starania tworzenia przy Wydziale Powiatowym obok istniejących już biur : Okręgowego Towarzystwa Rolniczego i zarządu

... do czynienia, osobników / Nieszczęśliwych, do głównych podległych na-
... "Światobawów" wsiowy, nieszczęśliwy Jan Buzek /, przychodził na
... wyświadczenie skargę Chrystusa, wyrażoną w wielkopiętowej

pieni:

... tam dał, że szłoby Chłama Krowie,
... w całym sąsiedztwie, albo w całym sąsiedztwie?
... tam, mój ludu, co ci uczyni?

A jednak Okon i Dąbki wybrani zostali posłami do pierwszego sej-
mu odrodzonej Rzeczypospolitej. Postępkami zaś swymi ci dwaj wybrani
wyrobili sobie wkrótce sławę Herodasów.

... wkrótce wkrótce - nie pomnę już kiedy - wrócił wiesz-
cie a wjechał i rozpoznać się forsowna praca bitowa w Wydziale Po-
wiatowym.

... Tymczasem rząd powiatowy był plan rekonstrukcyjnej administracji,
podległ którego to planu rządy powiatowe miały być zwinąć, a funkcje-
narzędzie tych akasowanych autonomizacyjnych urzędów jedni mieli być w
miarę potrzeby przydzielani do zarządu, zjedni zaś sponżonowani.

... Ale powiadają: "Co nagle, to po diabła" - tak też i na owych
projektach wzmiankanych sprawdzano się to przyzwolenie. W obszarze róż-
nych reform samicy rzymskiego akasowania rzd powiatowych jakoś się
przebiegały, z czego korzystają owe sąsiednie instytucje, porozumia-
ły się między sobą, utworzyły komitet i rozpoczęły gorączkową akcję.

... zbliżając do unicestwienia rządowych zarządzeń, Generalnym sekretarzem
a raczej kierownikiem tego komitetu, ustanowiony został sekretarz Ra-
dy Powiatowej tarnobrzaskiej i cały ten proces odbywał się w Tarnobrzegu.

... rozpiszcie się więc i rozsyłacie memoriały, przedstawienia i
prośby do rządu i sejmu, do różnych władz i urzędów, do posel-
skich klubów sejmowych wszystkich niemal grupowań politycznych, jako
też z osobna do poszczególnych posłów i sędziów, a ogólniejszą sporządza-
nie tych memoriałów i wzmianek odrazu miało obowiązek. Za niezłomną
pracę w całej tej akcji wypisano mi wspaniałomyślnie pięćdziesiąt dw-
ościanych złowielonych koron.

... Kiedy już groźba aneksji rządu powiatowych minęła, jej sekre-
tars czynił ustnie starania twierdzenia przy Wydziale Powiatowym obo-
istniejących już biur: Okręgowego Towarzystwa Rolniczego i zarządu

powiatowego Kółek rolniczych, osobnych agend, jak urzędu Pośrednictwa Pracy, biura Opieki Społecznej i czegoś tam jeszcze, - a ciężar przepisywania całego mnóstwa referatów, sporządzania odbitek różnych okólników, uwiadomień, wezwań i t.p. spadł na mnie.

A przecież pracy, ściśle związanej z moim stanowiskiem służbowym w Wydziale Powiatowym, miałem i bez tego dość, w ostatnich zaś czasach tym więcej, że obok obowiązkowych zajęć musiałem dodatkowo bez dodatkowego wynagrodzenia prowadzić w zastępstwie zmarłego kancelisty manipulacyjnego dziennik podawczy, registraturę, ekspedycję. To też praca ponad siły wyczerpywała do ostateczności moje zdrowie, nie pozwalając mi - co gorsza - oddać się ubocznym, tak koniecznym dla utrzymania rodziny zajęciom, na które już czasu nie stało.

Wprawdzie za wykonywanie niektórych nadobowiązkowych robót wyznaczał mi sekretarz według własnego uznania osobne wynagrodzenie, było ono jednak w cyfrze swej tak humorystyczne, że, nie będąc usposobiony do opowiadania anegdot, wolę je zamilczeć.

W lipcu 1919 r. z powodu przeciążenia pracą biurową począłem szybko zapadać na zdrowiu, odczuwając gwałtowną potrzebę spoczynku. Ale sekretarz, jakkolwiek nie mógł nie zauważyć mego osłabienia, spocząć nie pozwolił, mówiąc, że jest bardzo dużo pilnej roboty, w której nie miałby mnie kto zastąpić. Mimo więc przedstawień żony i dzieci, mimo ich prób skłonienia mnie, bym się położył, chodziłem do moich codziennych zajęć biurowych.

Pewnego przedpołudnia wszedł do mej kancelarii sekretarz i kiedy znów, nie wiem już który raz, począłem się mu żalić na coraz silniejsze wyczerpanie, on w przypadkowej obecności mego kuzyna, Jana Kurasia, ująwszy w swą dłoń moją, zimną jak lód rękę, zaopiniował, że nic mi nie będzie, bo gorączki nie mam ...

O, Stańczyku, Stańczyku ! Mimo że już blisko cztery wieki upłynęły, jak na wiekiisty położyłeś się spoczynek, żyje do dziś dnia pamięć o tobie, a to głównie dzięki temu, iżś królowi i dworzanom jego jasno udowodnił, że najwięcej jest na świecie - doktorów ...

Przyszedszy dnia tego do domu na obiad, po godzinnym wypoczynku zebrałem się znów iść do biura, lecz po zrobieniu kilkunastu kroków mu-

powiatowego Kółka Rolniczego, osobnych agend, jak urzędu Pośrednictwa
Pracy, Biura Opieki Spożecznej i innych tam jeszcze, - a ciężar prze-
dzierania całego mądrego referatów, sporządzenia obłitek różnych okdi-
ników, wiadomości, wezwań i t.p. spada na mnie.

A przecież pracy, żółta zwiastują z moim stanowiskiem sześcym
w Wydziale Powiatowym, miałem i bez tego dość, w ostatnich zaś czasach
tym więcej, że obok obowiązkowych zajęć musiałem dodatkowo bez dodatko-
wego wynagrodzenia prowadzić w zastępstwie **Zmarłego** kanceliasty manjor-
lejtowego biurowego podawczy, rejestraturę, ekspedycję. To też pracę
ponad siły wyprzedzając do ostatniości moją zdrowie, nie dozwalało
mi - co gorzej - oddać się uboższemu, jak koniecznym dla utrzymania to-
dajny zajęciom, na które już czasu nie stało.

Wprawdzie za wykonywanie niektórych nadobowiązkowych robót wyzna-
cał mi sekretarz według wianego uznania osobne wynagrodzenie, było
ono jednak w cyfrze swej tak humorystyczne, że, nie będąc odpowiedzialny
do opowiadania anegdota, wolać je zamieszkać.

W lipcu 1919 r. z powodu przedłużenia pracy biurowej poczem zzyb-
ko zapadł na zdrowiu, odczuwając gwałtowną potrzebę spoczynku. Ale se-
kretarz, jakkolwiek nie mógł nie zauważyć mego osłabienia, spocząć nie
pozwoleń, mówiąc, że jest bardzo dużo pilnej roboty, w której nie miał-
by mnie kto zastąpić. Mimo więc przedstawień żony i dalsi, mimo ich
prób skłonienia mnie, tym się poróżni, chodząc do moich codziennych
zajęć biurowych.

Pewnego przedpołudnia wsiadł do mej kancelarii sekretarz i kiedy
znow, nie wiem już który raz, poczem się mu żalił na coraz stającą
wyczerpanie, on w przypadekowej opaności mego kuzyna, Jana Kurasa, u-
jąwszy w swe dłoń moją, szmug jak łódź rękę, zapinił, że nie mi nie
będzie, po gorączki nie mam ...

O, Stanczyku, Stanczyku! Mimo że już blisko czterdzięci lat
jak na wiekulaży poróżnił się spocząć, żyje do dziś dnia pamięć o
tobie, a to głównie dzięki temu, żeś królowi i dworzanom tego czasu u-
mówił, że najwięcej jest na świecie - doktorów ...

Przyśledziły dnia tego do domu na obiad, po godzinnym wyposzynku
zabrałem się znow iść do biura, lecz po zrobieniu kilkunastu kroków mu-

siałem nazad do izby zawrócić i całkiem już obojętny, co na to mój szef powie, wstrząsany dreszczami, położyłem się do łóżka, a wkrótce potem popadłem w gorączkę. Całą noc przy mnie, w malignie mającym, czuwała rodzina, okładając nieprzytomnemu pałającą skroń zimnymi kompresami.

Rankiem następnego dnia, kiedy przytomność już odzyskałem, sprawa - dziła mi Zosia lekarza w osobie Dr. Franciszka Grochowiaka, który po stwierdzeniu wysokiego stopnia gorączki i jakichś tam po łacinie nazwanych komplikacyj, wystawił mi na piśmie świadectwo lekarskie, zalecające bezwarunkowo sześciomiesięczne wstrzymanie się od pracy biurowej, i na - pisał receptę.

Pocziwy ten i kochany doktor otoczył mnie wielką troskliwością i, pomimo że będący wówczas pod jego opieką szpital przepełniony był cho - rymi, znalazł czas na przybycie do mnie pieszo dwukilometrowej drogi, nie przyjmując za wizyty wynagrodzenia.

Zebrawszy w sobie siły, napisałem do Wydziału Powiatowego podanie, w którym na podstawie dołączonego świadectwa lekarskiego prosiłem o sześciomiesięczny urlop. Szczęście tym razem mi sprzyjało, podanie moje bowiem w sam raz trafiło na posiedzenie wydziału; sekretarza w miejscu nie było, bo gdzieś za interesem wyjechał, a zastępował go w urzędowa - niu inż. Władysław Matusiński, człowiek ludzki i wyrozumiały. Na posie - dzeniu tym uchwalono mi trzymiesięczny urlop z uwagą, ażeby po upływie tego czasu zgłosił się do pracy, ewentualnie przedłożył nowe świadectwo lekarskie.

Sekretarza, skoro ze swej podróży powrócił, uchwała Wydziału Powia - towego, przyznająca mi trzymiesięczne „nieróbstwo”, musiała bardzo po - irytować, bo zaraz wyprawił do mnie woźnego z rozkazem, bym się stawił do pracy ...

Ale we mnie zrodził się już był bunt, więc woźnego z rozkazami se - kretarza, bym wstawał z łóżka i szedł do mojej kancelaryjnej roboty, żadnego nie odnosiły skutku.

To osobliwe względem mnie stanowisko sekretarza stwierdza poniekąd, że nie lubił mnie i jednocześnie, że nie mógł się obejść beze mnie. Byłem dla niego czymś w rodzaju żony, określonej następującym aforyzmem :

„Żonie mówią mężowie czuli,
Ze z nią nie dobrze i bez niej źle,
Prawie to samo co o cebuli,
Którą choć z płaczem, jednak
się je.”

dzień nadszedł do łapy zawrócił i czuł się jakby ktoś go
 powie, wstrząsnął drżącymi, połowicznie się do łóżka, a wrócić potem
 popadł w gorączkę. Cóż, two przy mnie, w malinie mającej, uważaj
 rodzina, okładając nieprzytomnym palając skórą zimnymi kompresami.
 Rankiem następnego dnia, kiedy przytomność już odzyskałem, sprawo-
 dała mi żołądek lekarza w osobie Dr. Franciszka Grochowata, który po-
 stwierdzeniu wysokiego stopnia gorączki i jakichś tam po prostu nawa-
 gnych komplikacji, wystawił mi na piśmie świadectwo lekarskie, zaśca-
 pewniając, że w razie konieczności wstrzymam się od pracy fizycznej, i na-
 piśi recepcję.
 Później ten i kochany doktor odczytali mi wielką troskliwość i
 pomimo że będzie wówczas pod jego opieką szpital przeprowadzony był cho-
 rzy, znalazł czas na przyjeździe do mnie piasek dwukilometrowej drogi,
 nie przyjeżdżał ze wizytą wynagrodzenia.
 Sprawy w sobie silny, napisałem do Wydziału Powiatowego podanie,
 w którym na podstawie dołączonych świadectw lekarskich proszę o
 zasobowienie urlop. Szczegółowo tym razem mi przyjął, podanie moje
 powiem w sam raz trafiło na postępowanie wydziału sekretarza w miejscu
 nie było, po drodze za interesem wyjechał, a zastępował go w urzędowa-
 niu inni. Wiesław Matulski, exowiek ludzki i wyrozumiały. Na poste-
 dzeniu tym nowelono mi trzymiesięczny urlop z uwaga, za czym po upływie
 tego czasu zgłosił się do pracy, ewentualnie przedłożył nowe świadectwo
 lekarskie.
 Sekretarza, skoro ze swą podrobą powrócił, nowelono Wydziału Powia-
 towego, przyznając mi trzymiesięczne "nieobecność", musiła bardzo po-
 trójować, po czym wyprowadził do mnie wóznego z rozkazem, bym się stawił
 do pracy...
 Ale w moim przekonaniu to był punkt, więc wóznego z rozkazami se-
 kretarza, bym wstał z łóżka i szedł do mojej kancelaryjnej roboty,
 żadnego nie odnosił skutku.
 To osobliwe względem mnie stanowisko sekretarza stwierdza powiada,
 że nie lubił mnie i jednocześnie, że nie mógł się opędzić bez mnie. Byłem
 dla niego czymś w rodzaju żony, określonej następującym sformułowaniem:
 "O, żonie mówię wóźnie czuli, Prawie to samo co o żonie,
 że z nią nie dobrze i bez niej nie, Którego obrodzi z piaskiem, jednaj
 się ja."

do potęgów „ślepego miecza”.
 A ówczesny pogrzeb do V. dnia się ślepych mieczem w roku szatanów
 - N a P o d k a r p a c i u . - N a d B y s t r z y c ą . - E c h a
 R e p u b l i k i L u b e l s k i e j . - W Z a k r z ó w -
 miast budować dla ludu te k u . -

Przyszedszy cokolwiek do sił, na propozycję kuzyna, Janka Kurasia, wzięwszy z sobą Zosię, wybraliśmy się razem w Pilzneńskie do Jankowego brata, Antoniego, mieszkającego wówczas we wsi Siedliska-Bogusz, blisko Brzostka.

Ładna to i zdrowa ta podkarpacka okolica, o wzgórzach lesistych z żywiczną, ożywczą wonią, z mnóstwem strumieni i potoków. Jest tu na czym oprzeć stęsknione oko, jest czym pierś schorzałą ożywić.

Wzgórzyste grunta w Siedliskach, w szachownicy drobnych parcel, są na ogół trudno dostępne i ciężkie w uprawie. Ale lud miejscowy kocha tę swoją ojczystą rolę i ochotnie na niej pracując, rad śpiewa ku ochocie i Pana Boga chwali.

Siedliska budzą smutne wspomnienia. Pierwszą ofiarą rabacji 1846 r. był właśnie dziedzic tejże wsi, Bogusz. Niedaleko stąd leży wieś Smarzo-wa, miejsce pochodzenia haniebnej pamięci Jakóba Szeli.

Ale myliłby się, kto by na podstawie wypadków 1846 r. sądził, że w okolicy tej ludzie są źli i ciemni. Przeciwnie; lud tu światły, u-czynny, gościnny i miły w obejściu. Miałem nawet sposobność zetknąć się z wnukami potępionej pamięci rebeliantów, a między nimi z światłym go-spodarzem Mikołajem Synowieckim, którego dziad tak smutno przy boku Sze-li się wstawiał.

Ale wy, panowie politycy, kłócący się między sobą na szpaltach gazet ludowych o przewodnictwo nad ludem, nie obrzucajcie się w zapamiętałości swojej partyjnej przezwiskiem Szeli! Nie wywołujcie upióra z grobu.

Nie rancie duszy tego poczciwego ludu wypominaniem win owych nie-szczęśników, bo nie powinni wnukowie, prawnukowie i praprawnukowie cier-pieć za winy swych dziadów, pradziadów i prapradziadów.

Uczcie się „Chorału”!

Bo potomkowie w czterdziestym szóstym pomordowanych nie odnosili się z taką nienawiścią do potomków „szatanów czynnych”, z jaką odnoszą się

W.
K. P. ... - B. ...
R. P. ... - W. ...

Przyezdzący cokolwiek do się, na propozycję kuzyna, Janka Kurasa,
wzięwy z sobą Zosię, wyprzysły się razem w Pilsnenskie do Jankowego
brata, Antoniego, mieszkającego wówczas we wsi Siedliska-Bogusz, blisko
Bzostka.

Żadna to i zdrowa ta podkarpacka okolica, o wzdorach iestających z ży-
wiem, ożywość wola, z mądrami strumieniami i potoków. Jest tu na czym
opracować szlachetne oko, jest czym prędzej schorzać ożywić.
Wzdorzące grunta w Siedliskach, w szlachetnych drobnych parcel, są
na ogół trudno dostępne i ciężkie w uprawie. Ale iud miejscowy kochał je
swój ożywić rolę i ochotnie na niej pracując, rad był iść ku ochocie i
Pana Boga chwalił.

Siedliska będąc smutne wspomnienia. Pierwszą ofiarą rabacji 1848 r.
był właśnie dzielnik tejże wsi, Bogusz. Niedaleko stał iud wieś Smarzo-
wa, miejsce pochodzenia haniebnego pamięci Jakuba Szeli.
Ale myśliły się, kto by na podstawie wypadków 1848 r. sądził, że
w okolicy tej iudata są i i oiemni. Przekonanie; iud tu właściwy, u-
czynny, gościnny i miły w obcym. Miałem nawet sposobność zetknąć się
z wspaniałą potężną pamięcią rebeliantów, a między nimi z wspaniałym go-
spodarzem Mikołajem Synowickim, którego dał tak smutno przy boku Szeli
i i się wawili.

Ala wy, panowie politycy, kłosecy się między sobą na sądach gazet
iudowych z przewoźnictwem nad iudem, nie otrzucacie się w zapamiętaność
swój partyjnej przewisłiem Szeli! Nie wywołujcie upiora z grobu.
Nie ranoie duszy tego poczciwego iudu wspomnieniem win owych nie -
szczęślików, bo nie powianni wnukowie, prawnukowie i przprawnukowie cier-
pieć za winy swych dalszych, przadków i przpradków.

Uciecie się „Chorazin”!
Bo potomkowie w Siedliskach szlachetnym pomordowanych nie odnosiłi się
z takim nieważnością do potomków „szlachetnych”, a iud odnosiłi się

do potomków „ślepego miecza”.

A owych popchnęła do stania się ślepym mieczem w rękę szatana - ciemnota i wódka. Bo dawni kierownicy losami kraju i przyszłością poddanego ludu miast budować dla ludu tego szkoły - stawiali karczmy. Miast dać zdrową karm duchową - dawali truciznę dla duszy i ciała.

I nie było wolno poddanemu chłopu bez zezwolenia pana oddać syna do szkół.

A chłop, który wbrew woli dziedzica cichaczem syna swego do szkół wyprawił, przywołany był przed zagniewane oblicze pańskie i w oczach odszukanego i sprowadzonego przez sługi, łaknącego nauki syna, hańbiącymi plagami ćwiczony.

Czegoż się zatem można było później spodziewać po synach tak po hańbionych niesprawiedliwie ojców?...

„Ale, o Panie, oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani tam byli czynni,
O, rękę karaj, nie ślepy miecz !”

Korzystając dalej z wypoczynku, po skończonych wakacjach pojechałem do Zosi do Strzyżewic. Właścicielami niedużego majątku w tejże wsi są panstwo Kazimierzostwo Kołaczekowscy, zacni i dla każdego doatępli ludzie.

Wiemy, że w swoim czasie utworzona została także i „Lubelska republika, do tarnobrzeszkiej w skutkach swych podobniusia. Mówię w skutkach, można bowiem było oglądać te skutki w postaci samowoli nieokrzesanych elementów.

Jak w wielu miejscowościach, tak też i w Strzyżewicach służba folwarczna, ta służba, która od pracodawców swych nigdy krzywdy nie doznała, pod wpływem demagogicznych haseł, wygłaszanych przez zwolenników twórców tejże „Republiki”, raptem poczuła się panem położenia.

Bez żadnego zastanowienia, jakie nietylko dla społecznej, ale i dla jej osobistej sprawy mogą wyniknąć skutki w tak ważnych dla Ojczyzny czasach, kiedy to należało wszystkie wyteńczyć siły w uczciwej, produktywnej pracy, zabawiła się w coś, cośmy w potocznej mowie „strajkiem” zwykli nazywać, z uzurpacją nieograniczonej władzy rządu.

do potonków „ślepego miernika”.

A owych poponnień do stania się ślepych miernik w roku szafana

- ciemnota i wódka.

Bo dawni kierownicy losami kraju i przyrzeczności poddanego ludu

miast budować dla ludu tego szkoły - stawiali karczemny. Miast dać zdrow

karm duchową - dawali trucienną dla duszy i ciała.

I nie było wojno poddanemu chiopu bez szawolenia pana oddać syna

do szkoły.

A chiop, który wrew woli dźwiedzia ochorozem syna swego do szkoły

wyprawił, przywołany był przed sądzianą oblicze pańskie i w oczach

obszukanego i sprowodzonego przez siły, faknego nauki syna, handię -

syni piąkami ówczony.

Oczego się szawem można było pódnieć spodziewać po synach tak po -

handzonych niesprawiedliwie ojedów ?...

„Ale, o łanie, oni nie winni,
Chod nasza przyrzeczność cofnęli wstecz,
Imni szafani tam byli szafani,
O, tępe karcze, nie ślepy miernik !”

Korzystając dalej z wyposzynku, po akochonnych walcach potojcha -

iem do Zosi do Strzyżewic. Wszelkielemi niedużego majątku w tejże wal

sz panstwo Kazimierzostwo Kołaczkowscy, szani i dla każdego dostępnii in-

data.

Wieny, że w swoim czasie utworzona została także i „Inbelska re -

publika, do tarnoptzeskiej w skutkach swych podobniastieku. Kówie w

skutkach, można bowiem było oglądać te skutki w postaci samowoli nie -

okreszonych elementów.

Jak w wielu miastowodach, tak też i w Strzyżewicach szafan foli-

werzans, że szafan, która od przedawców swych nigdy krzywdy nie doznała,

pod wpływem demagogicznych hasel, wyizaszonych przez zwolenników twórców

tejtę „republiki”, raptem poczuła się panem położeni.

Bez żadnego zastanowienia, jakie niejako dla upożecznej, ale i dla

tej ocojanej sprawy mogł wyniknąć skutki w tak ważnych dla Ojczyzny oca-

szach, kiedy to należało wszystkie wytyżby stiy w uszojowej, produktywnej

pracy, szafawia się w coś, coemy w potocznej mowie „strajkiem” wykli

nazwać, z uszpacją nieograniczonej wiedzy rzędzenia.

Kucharke i służące pokojowe strzyżewickiego dworu zmuszono terrorem do opuszczenia służby, w samym zaś dworze stanął własny polowy i, przeistoczywszy się na wartownika, doglądał sumiennie, by ktokolwiek, broń Boże, drewek nie urąbał, wody nie przyniósł, stawy nie uwarzył, porządków nie robił, dzieci nie bawił. - „Niech sobie sama b u r ż u j k a robi”...

A dodać trzeba, że Kołaczkowscy mieli wówczas dwie małoletnie córki, z których starsza, ciężko chora na nogi, chodzić o własnych siłach nie mogła.

Za tego rodzaju „wierność” domagała się owa służba od chlebobawców podwyższenia ordynarii, - właśnie bardzo w porę, gdy zboże w polu z powodu strajku do cna zgniło ...

Nie zawadzi napomknąć, że strzyżowicka majątność Kołaczkowskich uległa podczas wojny zniszczeniu. Wszystkie zabudowania gospodarskie i obory, a wraz z nimi stado owiec strawił pożar. Mimo tych klęsk Kołaczkowscy poświęcili się pracy społecznej; jeden z lepszych budynków mieszkalnych odstąpili na pomieszczenie szkoły powszechnej, dla której rozwoju dziedziczka, jako przełożona dozoru szkolnego, nie szczędziła pracy i zdrowia, zyskując zasłużony szacunek ludności wsi i ogromną miłość dziatwy szkolnej. Przytoczone więc postępowanie służby folwarcznej jest czymś w istocie swej niepojętym.

Godzi się z tego miejsca zapytać, czy paniom-żonom i paniom-córkom twórców owej republiki lubelskiej przydzielono również podobną opiekunczą wartę, niedopuszczającą, by im ktokolwiek i w czymkolwiek pomagał ?...

Naprawdę piękna to ta okolica nad wartką Bystrzycą, pełna historycznych wspomnień, jakie w swych „Pamiętnikach” przekazał potomnym Kajetan Koźmian, radca stanu i senator w Królestwie Polskim od 1815 do 1829 r., ówczesny właściciel okolicznych włości. W pobliskiej wsi Bystrzycy nad rzeką tejże nazwy, w pięknym położeniu, stoi jeszcze stary dom, będący dawniej jego własnością. Ładne jest również położenie dworu w niedalekich Piotrowicach, ongiś głównej rezydencji tegoż pisarza, a już chyba najpiękniejszym jest prawy brzeg Bystrzycy od Kiełczewic do Piotrowic.

- Kucharkę i służącą pokojową strzyżewickiego dworu zamieszono też -
 torom do opuszczenia sianki, w samym zaś dworze stała wianki polowy
 i, przelatującą się na wierzchniku, doglądał sumiennie, by któraś -
 wisk, proch Boże, drzewek nie urządził, wody nie przyznał, strawy nie
 uwarzył, porządków nie robił, daleki nie bawił. - "Niemiecki sobie sama
 burżuazja robi".

A dobał trzeba, że Kosiński wyciągnął wózek z dwoma małymi dziećmi od-
 reżki, a których starza, ciężko chore na nogi, chodząc o własnych
 siłach nie mógł.
 Za tego rodzaju "wierzność" domagała się owa służba od chłobodawców
 podwyższenia ordynarii, - właśnie bardzo w porę, gdy szło w pole z po-
 wodn strażku do cna agnity ...

Nie zawadzi napomknąć, że strzyżewicki majątek Kosińskich
 ulegał podczas wojny znacznemu. Wszystkie zabudowania gospodarskie
 i obory, a wraz z nimi stado owiec strawił pożar. Mimo tych klęsk Ko-
 siński wyciągnął się z pracy spokojnie; jeden z lepszych budynków
 mieszkalnych oddał na pomieszczenie szkoły powszechnej, dla której
 rozwój dalszycy, jako przełożona osoba szkolnego, nie szczędził
 pracy i zdrowia, wykonując szereg innych i ogromną
 ilość dzieł szkolnych. Przytoczone więc postępowanie sianki folwar -
 czeń jest czymś w rodzaju swego niepojętym.

Godzi się z tego miejsca zapytać, czy panom-śonom i panom-śom-
 kom twórców owej republiki iubełskiej przydzielono również podobną o-
 piekunost warte, niedopuszczając, by im kłopotliwie i w ożywkowisk
 pomagał? ...

Naprawdę piękna to ta okolica nad warkę Bystrycę, pełna histo-
 rycznych wspomnień, jakie w swych "Pamiętnikach" przekazał potomnym
 Kajetan Kosiński, radca stanu i senator w Królestwie Polskim od 1815 do
 1839 r., ówczesny właściciel okolicznych wiości. W pobliskiej wsi By-
 strycy nad rzeką tejże nazwy, w pięknym położeniu, stoi jeszcze stary
 dom, będący dawniej jego wianością. Ładne jest również położenie dwu-
 ma w niedalekich Piotrowicach, ongi głównej siedziby tegoż piana,
 a już chyba najpiękniejszym jest przebieg Bystrycy od Kiszewic
 do Piotrowic.

W stronach tych lubiłem odbywać krótkie samotne wycieczki, które powrotowi zdrowia korzystnie sprzyjały. Na cmentarzu Bychawki odwiedziłem grób Koźmiana i jego żony; niestety, oba te groby w smutnym zastanieniu zaniedbania.

W uroczym zakątku Bychawy sterczą ciekawe ruiny dawnego zamku Stońskich, w którym chowała się owa, w „Pamiętnikach” Koźmiana szerzej opisana, sławna, rozrzutna i roztrzepana kasztelanka gostyńska, Ewa Gałęzowska, późniejsza staroscina sieradzka, Kossowska. Ktokolwiek z dalszych stron znajdzie się w Bychawie, radzę nie pominąć zwiedzenia wspomnianych ruin zamkowych, rękując, że nie pożałuje tego drobnego trudu. Dziś ruiny te z włością należą do niejakiego Budnego.

Gnany wspomnieniem lat młodości, chciałem odwiedzić w Bychawie owo „cudowne miejsce”, gdzie przed laty matka moja, ułożywszy mi w dołku głowę, ziemią ją przysypała, by mnie z głuchoty wyleczyć, - lecz z powodu zaszyłych w ciągu paru dziesiątek lat dużych zmian, miejsca tego nie odnalazłem.

W odległości dobrej mili od Strzyżewic w górę Bystrzycy leży Zakrzówek, gdzie przed trzydziestu kilku laty w cukrowni pracowałem. Po wziąłem zamiar i tę miejscowość odwiedzić, a zawsze do usług gotowy dziedzic strzyżewicki użyczył mi bezinteresownie podwozy. Więc przy dniu niedzielnym w towarzystwie Zosi oraz koleżanki jej, panny Heleny Grudzińskiej, pojechaliliśmy do Zakrzówka.

Okazały gmach fabryki mało co przez te kilkadziesiąt lat pod względem zewnętrznego wyglądu się zmienił, tylko sadzone za mej pamięci przy głównym trakcie drzewka rozrosły się w okazałe drzewa, podnosząc powab tego ustronia. Tu spotkałem robotnika, który od około czterdziestu lat służył w fabryce pełnił. Robotnik ten objawił gotowość oprowadzenia nas wewnątrz fabryki, ale zarządca pozwolenia odmówił. Ograniczyliśmy się przeto do zewnętrznego oglądnięcia fabryki, poczem udaliśmy się do miejscowego kościoła.

Na zewnętrznej stronie kościoła, gdzie wielki ołtarz, widnieje do dziś dnia napis, który w chłopięcych jeszcze latach odczytywać lubiłem i na dalsze życie zapamiętałem :

„Bóg widzi, czas ucieka,
Śmierć goni, wieczność czeka”.

W stronach tych ludziem odbywał krótkie samotne wyściski, które powrotowi zdrowia korzystnie przysłużyły. Na cmentarzu Bychawki odwiedziłem grób Kosińskiego i jego żony; nieestety, oca te groby w smutnym kształcie przed sobą.

W wiosce karkutku Bychawy sterczą ciekawe trziny dawnego kamienia Sto- inskich, w których chowała się owa, w "Pamiętnikach" Kosińskiego zaszere- pianie, siwne, rozrzucone i roztrzęsane kasztaniska Gosyńska, Bwa Ga- frowa, pódniejąca stercząca stercząca, Kosińska, Kosińska z dal- zych stron znajdują się w Bychawie, także nie pominięto zwiedzenia wspan- niących ruin zamkowych, rzecz jasna, że nie pozostało tego drobnego trudu. Dale- trziny te z wieścią należą do niejakiego Budnego.

Główny wspomnienie lat młodości, chociażem odwiedzić w Bychawie owo "wiosenne miasteczko", gdzie przed laty matka moja, niekiedy mi w dołku Gjo- we, ziemie ja przysyłała, by mnie z Gjochoły wywołać, - lecz z powodu kaszlowi w ciągu paru dniastek lat dłużej zmian, miasteczko tego nie od- naleziono.

W odległości dobrej mili od Strzyżewic w górę Bystrzycy leży Za- krowek, gdzie przed trzydziestu kilku laty w okrowni pracowałem. To- wsiem zamier i tę miasteczkę odwiedzić, a zawsze do uszyci gotowy dobiec strzyżewicki nęczył mi bezinteresownie podwoły. Więc przy dniu niedzielnym w towarzysztwie Kosińskim oraz Kosińskimi tej, panny Heleny Gjo- dzinickiej, pojechaliśmy do Zakrowka.

Okazały gmach fabryki małe co przez te kilkadziesiąt lat pod wzglę- dem zewnętrznej wygładzi się zmienił, tylko sadzone za meją pamięci przy- głównym trakcie drzewka rozrosły się w okazałe drzewa, podnosząc powab tego miejsca. Tu spotkałem robotnika, który od około czterdziestu lat służy w fabryce drewna. Robotnik ten opowiadał mi o sposobach oprowadzenia nas wewnątrz fabryki, ale zarządek pozwolenia odmówił. Ograniczyliśmy się przeto do zewnętrznego oglądnięcia fabryki, poszem udaliśmy się do miej- scowego kościoła. Na zewnętrznej stronie kościoła, gdzie wielki ołtarz, widnieje do- bnie data napis, który w okropnych żyzkach latach obczywał ludziom i na dalsze życie zapamiętaniem: "Bóg widzi, czas nożka, Śmiertę goti, wieczność czeka".

Hej ! „Czas ucieka, śmierć goni"... Ile to już czasu od mego ostatniego w tych tu stronach pobytu uciekło ! Iluż rówieśników, towarzyszy pracy we fabryce, a wreszcie braci i rodziców moich śmierć dogoniła !..

Od kościoła zwróciliśmy się na drogę, ku Majdanowi wiodącą, gdzie (przy drodze, ów niepokazny kurhanek,) odwiedziłem kurhanek, który mi dał impuls poznania dziejów ojczystych. Na tych tu polach dawniej pracowałem przy obróbce buraków cukrowych, a tuż w przyległym, na szczęście ocalałym, ładnym lasku, rad po znoju w chłodnym cieniu drzew odpoczywałem.

Tam znów dalej w szczerym polu rozłożył się odosobniony, bujnie zadrzewiony ogród. To cmentarz parafialny. Na tym to cmentarzu ongiś matka moja mogiłę dzieciny swej obfitymi łzami skrapiała ...

Dziwnie ckiwe budzą się w duszy wspomnienia i tęsknoty za tym, co przeszło i co już nigdy nie wróci. I raptem poczułem się osamotnionym sierotą, którą „śmierć goni".

Nawracając, skierowaliśmy się na drogę, przy której dawniej stały rzędem baraki, przeznaczone na mieszkania dla ludności robotniczej cukrowni. Dziś z budynków tych ani śladu, całą zaś tę przestrzeń zajęły ładne, starannie uprawne ogrody.

Niezbadane wyroki Boże ! Przed kilkadziesiąt laty tułając się z rodzicami w tych stronach w poszukiwaniu pracy i chleba, trza się było na każdym prawie kroku wykazywać paszportem przed moskiewskimi żandarmami, trza było tłumić w sobie cisnące się gwałtem na usta słowa, odnoszące się do przeszłości i dziejów tej ziemi, za wypowiedzenie których łatwo się można było znaleźć w turmie, - a dziś ... Dziś już jako wolny obywatel, na wolnej ojczystej ziemi chodzić mogę swobodnie ... O, bracia ! Pojmujecie i doceniacie wy to krótkie, a jednak pełne jakiejś nieokreślonej potęgi słowo : „Wolność" ?

Haj! "Gazetnik, smierd goni"... Ii to już czas od mego
ostatniego w tych stronach podrytu nożem i liuś rólwianików, to-
warzywów przy w fabryce, a wreszcie prac i robótów moich smierd

dogonia!

Ob kołosie zwrocił się na drogę, ku Majdanowi wiodeg, gdzie
przy drodze, ów niepokorny karmank, odwiedziłem karmank, który mi dał imnie poznania datjów ożyszczjch.
Na tych tu polach dawniej pracowalem przy ożdpe buraków cukrowych, a
tuż w przyległym, na szczyście ocalszym, ładnym lasku, rad po znaju
w chłodnym cieńku drzew odpoczywałem.

Tam znów dał w szczyście polu rozszjły się ożsobniowy, puñnie
szdrzewiony ogrod. To omenarz parafialny. Na tym to omentaru ongiś
matka moja mogła balićiną swęj ożlijm i zmi skrzypia...
Dziwnie okliwe budę się w duszy wspomnienia i łaskoty za tym,
co przaszio i co już nigdy nie wróci. I raptem poczułem się osamot -
nym smierd, która "smierd goni".

Nawracając, skierowaliśmy się na drogę, przy której dawniej sta-
ły rzędem barki, przeznaczone na mieszkanie dla ludności robotniczej
okrętowni. Dależ z budynków tych ani śladu, cała zaś tę przetrzała -
teży ładne, starannie uprzążne ogrody.

Niezobadana wyrosła bosa i przed kilkudziesięciu laty tużjaco się
z robotami w tych stronach w poszukiwaniu pracy i chleba, trza się
było na leżącym prawie kroku wykazywał pasportem przed moskiewskimi
szandarami, trza było tynnie w sobie cienie się gwałtem na usta sio-
wa, odnoszące się do przeszłości i datjów tej ziemi, na wypowiedze -
nie których łatwo się można było znaleźć w turmie, - a dała... Dała
już jako wojny opowiadał, na wojnę ożyszczj zmi chodząc mogę swo -
bodnie... O, pracia i Pojmujesz i doceniasie wy to krótkie, a jednak
paine jakiejś nieokreślonej pojęci sioło: "Wolność"?

ciwnie szanowanie się istoty skrzepowanej, bezwolnej, jask bieżącej, krzy-
kiem przedmiotnej rozpaczy VI.

Daremne próby.- Rezygnacja.- Najazd
- po coś więc jask bolszewików. - sobie kapłan narzucił
Trzechmiesięczny mój wypoczynek dobiegał końca. Nie czułem się
wprawdzie zupełnie zdrów, ale wobec narzekań sekretarza na moje zbyt
długo trwające „próżnowanie” postanowiłem już nie korzystać z dalszego
urlopu, jaki w razie przedłożenia nowego świadectwa lekarskiego spo-
dziawałem się od Wydziału Powiatowego uzyskać, byle sekretarzowi dalszej
irytacji oszczędzić.

A zresztą, któż to wie, może mój doktorek zbyt przesadną okazał nade-
mną troskliwość; może ten przebyty trzymiesięczny spoczynek wystarczył na
zupełne usunięcie choroby, którą szanowny mój szef traktował jako symula-
cję i mistyfikację ... Wróciłem więc do biura.

W pierwszych tygodniach wznowionej pracy czułem się stosunkowo rzeź-
ko, ale im dalej, tym bardziej pod nawałem roboty siły mię opuszczały ;
w krzyżach kamało, w głowie szum i chaos rósł, ręce drżały. Na domiar
złego szesnastoletnia córka Bronia coraz ciężiej na zdrowiu zapadać poczę-
ła, a w mieszkaniu na półbagnistym terenie stojącego, aczkolwiek niedawno
zbudowanego domu, czynił spustoszenie grzyb. Chcąc rozrost tego pasożyta
zlokalizować, musiałem nawiedzone nim podłogi i części ścian wyrębywać i
kipiącym wapnem zalewać.

Żebyż za cenę tej nadmiernej pracy w służbie, za cenę coraz bardziej
zanikających sił i szybko zużywanego zdrowia móc bodaj rodzinie byt znoś-
nym uczynić, przyszłość dzieciom zabezpieczyć, - ale gdzież tam ! Głód,
nędza, choroby smutne horoskopy przed oczy stawiały. Postanowiłem tedy
z tą niemożliwą do dalszego dąwiania dolą bezwolnego raba, co mię prawie
do utraty pamięci doprowadzała, raz skończyć.

Bo jeśli w księdze przeznaczeń sążone mi było bezustanne zmaganie
się z przeciwnościami losu, to niechże borykanie to odbywa się nie w krę-
pującym wolność ruchów jarzmie pariasa, nie wśród martwych ścian turmy,
lecz swobodnie na otwartym polu ; nie w kajucie tonącego okrętu, lecz na
powierzchni nawet wzburzonych fal morza. Gdyż walka taka, choćby nawet
nie wróżyła zwycięstwa, wytwarza odwagę, napełnia pierś mocą, - gdy prze-

Parlamentaryzm - Rozdział 1 - N a j a z a d

P o l a z e w i k ó w .

Trzechmiesiączny mój wycożnyk do biegaj kochaj. Nie czujem się
 wprowadzając zupełnie zdrow, ale wobec narzekaj sekretarza na moje zbył
 długo trwając "próbnym" postanowieniem już nie korzystaj z dalszego
 urlopu, jaki w razie przedłożenia nowego świadectwa lekarskiego spo-
 dalawiem się od Wydziału Powiatowego uzyskać, byle sekretarzowi dalszej
 trzyletniej oświadczył.

A zresztą, kłóć to wie, może mój doktor zbył przesadną okazaj nade-
 mną troskliwość; może ten przesyłany trzymiesięczny wycożnyk wystarczaj na
 zupełne uśmieszenie choroby, którą zazwyczaj mój zeszł traktował jako symula-
 cję i mistyfikację... Wtedy wzię do ręki.

W pierwszych tygodniach wznawionej pracy czujem się stosunkowo raż-
 ko, ale im dalej, tym bardziej pod nowym roboty siły mi opuszczaj;
 w krzyżach zamaj, w głowie szum i chaos rólaj, ręce drżaj. Na domiar
 tego szanowna córka Bronia coraz ciężej na zdrowiu zapadaj poży-
 ja, a w mieszkaniu na półpiętnym terenie stojącego, wszelkich niedawno
 zbudowanego domu, czujem zupełnie gryp. Choć choroba tego pasyżaj
 lokalizował, miałem nadzieję nim podległ i ciężaj ścian wyrywał i
 kipiecym wapnem zalwał.

Żeby za cenę tej nadmiernej pracy w szpitalu, za cenę coraz bardziej
 zanikających sił i szybko zużywanego zdrowia móc podaj rodzinie być znów-
 nym użycić, przyznać dalszemu zabezpieczyc, - ale gdzie tam! Gdzie,
 nędza, choroby smutne horoskopy przed oczy stawiaj. Postanowieniem ledy
 z tą niemocą do dalszego dążenia dość bezwolnego raba, no mię prawie
 do utraty pamięci doprowadzaj, raz skłonić.

Bo jeśli w kaieżej przesnaczej godzinie mi było bezustanne zmaganie
 się z przeciwnościami losu, to niechaj porzucenie to odbywa się nie w krę-
 pujeym wojnie ruchów jarzmie pariasa, nie wśród martwych ścian turny,
 lecz swobodnie na otwartym polu; nie w kajucie tonącego okrętu, lecz na
 powierzonej nawet wpruzonych fal morza. Gdy waika taka, choroby nawet
 nie wroćaj zwycięstwa, wywarza obawę, napędza pierś mocz, - gdy prze-

ciwnie szamotanie się istoty skrepowanej, bezwolnej jest bezsilnym krzykiem przedśmiertnej rozpacz.

I nietylko to ! Odjęty mi został zmysł słuchu, skarb życia wielki, - po cóż więc jeszcze na zmysł wzroku mam sobie kaptur narzucać ? Mieć ciągle przed oczyma przedmioty martwe, beztreściwe, a tylko przygodnie oglądać na twory przyrody - to nie egzystencja, lecz wegetacja i zanik życia.

Bo choćby i najwspanialsze dzieło geniuszu ludzkiego nosiło nazwę ósmego cudu świata, nigdy nie może iść w porównanie z najdrobniejszym nawet tworem Bożego ducha. Wszystko bowiem, co ludzkie, martwe jest i przemijające, lecz co z tchnienia Bożego wyszło, choćby najniklejsza roślinka, drga życiem, tchnie wonią, a lubo szron zimy ją zwarzy, to słońce wiosny odrodzi na nowo. Jest więc wieczne, niezniszczalne.

Stąd to dla umiającego wznieść się ponad poziom rzeczy codziennych dzieła ludzkiego świat ten jest najwspanialszym, ogromnym, naturalnym kościołem, w którym każdy twór natury, wprawiając nas w zachwyt podziwu nad niepojętą mądrością Stwórcy, znośniejszą czyni niedolę i zwraca myśl naszą ku Bogu, co już jest najdoskonalszą, ukojenie dla duszy niosącą modlitwą.

Zwróciłem się do miejscowego właściciela rozległych włości, hr. Zdzisława Tarnowskiego z prośbą, by mi z dóbr swych odstąpił splacheć ziemi, na którejbym samodzielnie gospodarzył, proponując mu w zamian na początek moją dzikowską realność, albo gotówkę, jakąbym ze sprzedaży tejże realności uzyskał. Lecz prośba moja nie odniosła pożądanego skutku, hrabia bowiem oświadczył, że ziemi, która od wieków jest w posiadaniu rodu Tarnowskich sprzedawać nie może ...

Nie wchodząc w to, czy ubytek kilku morgów wpłynąłby ujemnie na ogromny majątek hrabiego, zawsze jest to majątek jego i on jeden był w prawie nim rozporządzać. A ponieważ inną drogą kupić ziemi w rodzinnych stronach nie mogłem, zaniechałem więc dalszych bezskutecznych prób na terenie rodzinnego powiatu i oglądałem się za nią w dalszych stronach.

Może gdybym był jeszcze poczekał jakiś czas, dałoby się później i w Tarnobrzescim parę morgów kupić, już bowiem w tym względzie poczęły się

owinie szanowanie się i szacunek, bezwolnej jest bezsilnym krzy-
 kiem przedmiotowej rozprawy.
 I nie tylko to! Objęty mi został smutny, skarb życia wielki,
 - po ośm więc jeszcze na smutny wzrok mam sobie kapur narzucać? Mied
 ciągle przed oczyma przedmiotów marwe, beztreściwe, a tylko przygodnie
 podobać na twory przyrody - to nie egzystencja, lecz wegetacja i zanik
 życia.
 Bo choroby i najwspanialsze delfo geniuszu ludzkiego nosiło nazwę
 ówczesnego świata, nigdy nie może iść w porównanie z najdrobniejszym
 nawet tworem Bożego ducha. Wszystko powiem, co ludzkie, marwe jest i
 przemijające, lecz co a technika Bożego wyzicia, choroby najniebezpiecz-
 lina, drażni system, technicznie widać, a lubo szron zimy ją szrony, to słońce
 wiary odrodzi na nowo. Jest więc wieczne, niezmienniczne.
 Stąd to dla umiarkowanego wzniesło się ponad poziom rzeczy codziennych
 delfo ludzkiego świat ten jest najwspanialszym, ogromnym, naturalnym ko-
 ożem, w którym każdy twór natury, uprawiając nas w zachwyty podziwu nad
 niepojętą mądrością Stwórcy, kochającą nas czyni niebo i ziemia wół na-
 szę ku Bogu, co już jest najdoskonalszą, ukoniecznioną dla duszy nieśmier-
 litwą.
 Zwrócić się do miejscowego właściciela rozległych włości, hr.
 Zdzisław Tarnowski z prośbą, by mi a dobru swych oświadczył szlachet-
 niemi, na którejś samodzielnie gospodarzy, proponując mi w zamian na-
 poczetek mojej białkowskiej realności, albo gotówkę, jakbym nie sprzedasz tej-
 że realności uszyka. Lecz prośba moja nie odniosła pożądanego skutku,
 hrabia bowiem oświadczył, że ziemi, która od wieków jest w posiadaniu ro-
 du Tarnowskich sprzedawać nie może...
 Nie wchodzi w to, czy upytek kilku morgów wpłynęły ujawnie na
 ogromny majątek hrabiego, zawsze jest to majątek jego i on jeden był w
 prawie nim rozporządzać. A ponieważ inną drogą kupiłem ziemi w rodnym
 stronach nie mogłem, zaniechałem więc dalszych bezskutecznych prób na-
 terenie rodnym powiatu i ogładaniem się za nią w dalszych stronach.
 Może gdyby był jeszcze poczetek jakiś czasu, delfo się pódniat i
 w Tarnobrzaskim parę morgów kupiłem, już powiem w tym względzie poczęty się

objawiać pierwsze znaki. Oto Rachmiel Kanarek, żyd, pan na Skowierzynie, który swojego czasu tak łatwym sposobem nabył od bar. Horocha dobra wrzawskie, w obawie przed przymusowym wywłaszczeniem na rzecz reformy rolnej, którą rząd Moraczewskiego był zaprojektował, całe swe dobra w Tarnobrzeskim sprzedał ryczałtem znanemu przemysłowcowi browarnianemu, bar. Janowi Götzwowi z Okocima. Już sam fakt, że Götz dobra te kupił, nasyłał uzasadnione przypuszczenie, że nowonabywca bodaj część ziemi puści na parcelację, do czego później rzeczywiście przyszło.

Ale trudno było wówczas przewidzieć, kiedy do tej parcelacji przyjdzie i jaką wreszcie cenę za ziemię wyznaczą, a z drugiej strony rosnąca w domu wódza, choroba Broni i na domiar wszystkiego złego ogarniająca mnie fizyczny i duchowa niemoc, nie dopuszczały wahania.

Jeden z moich znajomych dawnych objął był właśnie stanowisko dyrektora spółki parcelacyjnej „Ziemia” z siedzibą w Zamościu. Był nim Maciej Stopyra z Brzozy Stadnickiej w Łancuckim. Do niego zatem zwróciłem się ze sprawą nabycia ziemi.

Stopyra przepowiadał mi świetną przyszłość i obiecywał wszelką pomoc w zagospodarowaniu się, skorobym ziemię kupił za pośrednictwem banku, w którym on dyrektorował.

Stopyrę znałem dawniej jako społecznego działacza, a jakkolwiek bezinteresownej pomocy odeń nie oczekiwałem, miałem do niego pełne zaufanie. Wystarawszy się o pieniądze, posłałem mu je na 12 morgów ziemi z będącego w on czas w parcelacji majątku Gdeszyn w powiecie hrubieszowskim, a z którego to majątku Stopyra dla siebie wydzielił 40 morgów, jak również bracia jego, szwagrowie i krewni po kilkanaście i po kilkadziesiąt morgów dla siebie ponabywali. Mieliśmy więc tworzyć tam zwartą gromadkę znajomych i poza spokojnym zajęciem na własnym zagonie społecznie pracować.

Ale niedługo sprawdzić się miało stare przysłowie, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi”. Ujawniło się bowiem, niestety już po niewczasie, że pan Maciej pracowałby wprawdzie z poświęceniem dla pospolitego dobra, ale tylko o tyle, o ile praca ta w pierwszym rzędzie jemu samemu poważne, materialne korzyści zapewni.

Tak powziąwszy stanowcze postanowienie zmiany stanowiska, wnios-

optawac piazare anki. Oto Rachmiele Kanarek, slyd, pan na Skowierzynie,
ktory swego czasu tak latwym sposobem nabyt od bar. Horocha dobra
wzawskie, w opawie przed przymsowym wywiazaniem na rzecz reformy
rolnej, ktora rzad Morawskiemu byl zaprojektowal, onie swe dobra w
Tarnobrzaskim sprzedal ryczajem znanemu przemyslowcowi prowadziszemu,
bar. Janowi Górzowi z Okocima. Jus sam fakt, ze Górz dobra te kupil, na-
swal usadzone przypuszczenie, ze nowonabywa bedal czesc ziem puel
na parcelacje, do czego podziala rzeczywiste przyzio.
Ale trudno bylo wdzas przedzialac, kiedy do tej parcelacji
przydzala i jaka wreszcie cene za ziemie wyznacza, a z drugiej strony
rozmas w domu rodzic, choroba Broni i na domiar wazyskiego ziego ogar -
niagos male fizyczny i duchoww niemoc, nie dopuszczaly wahanis.
Jeden z wloch znajomych dawnych opatow wiaznie stanowisko dy-
rektora wlozki wozelacyjnej „Zemla” z siedziba w Zamocciu. Byl nim Ma-
ciat Stopyra z Brzdy Stabielkiej w Zamocciu. Do niego sztem zwróciłem
sie za sprawa nabycia ziem.
Stopyra przepowiadai mi ewistne przyzio i odcisywal wazysk
pomoc w zagospodarowaniu sie, akorzym ziemie kupil za pośrednictwem
banku, w ktorym on dyktowal.
Stopyre sztem dawniej jako spolecznego daliszca, a jakkolwiek
bezinteresownej pomocy odem nie oczekiwalem, misiem do niego paine szu -
lanie. Wytarawaly sie o pieniadze, posiazem mu je na 18 morg ziem
z bed sztem w on czasie w parcelacji majatku Górzyn w powiecie hradie -
szawskim, a ktorego to majatku Stopyra dla siebie wydzielil 40 morg.
Jak rowniez pracia jego, szwegrowie i krowni po kilkanascie i po kilka-
dziesiat morgow dla siebie ponabywali. Mieliszy wiec tworzye tam zwiazek
szemadke znajomych i poza spokojnym sztem na wiszym sztem sztem
nie pracowac.
Ale niedlugo sprawdzil sie misie sztem przyzio, ze „chlop
sztem, a Pan Bog kuje nosi”. Ujawnilo sie bowiem, misielny jus po nie-
wzecie, ze pan Maciej pracowalby wprawdzie z powiecciem dla pospoli -
tego dobra, ale tylko o tyle, o ile pracia je w pierwszym rzadzie sztem sa-
memu powisne, materialnie korzysci sztemni.
Tak powiazaly sztemne postanowienie zmiany sztemowej, wnos-

łem do Wydziału Powiatowego prośbę o przeniesienie mnie w stały stan spoczynku, podając powody, które mnie do rezygnacji z posady skłoniły. Prośba moja została na jednym z posiedzeń wydziału przyjęta.

Na kilka miesięcy przed moją rezygnacją przyjęty został na stanowisko powiatowego instruktora rolniczego przy Towarzystwie Okręgowym Rolniczym, którego biuro mieściło się w tym samym gmachu tarnobrzeskiej Rady Powiatowej, - niejaki Jan Kaleta, ze Śląska Cieszyńskiego pochodzący. Poprzednio stanowisko to zajmował inż. Jan Masior, wytrawny, pełen energii ekonomista. Chociaż Masior miał wcale żadne pobory a pole działania wdzięczne, nieswojo czegoś tutaj mu było, skoro z tak korzystnej posady zrezygnował.

Nowy ów instruktor rolniczy niedługo po objęciu posady poczuł się na niej samotnym i poddał się tępej apatii. Dość często zachodził on do mojej kancelarii i tu - o ile czas mi pozwalał - starałem się go rozerwać. Pozatym odczuwając jego osamotnienie, sam w miarę możliwości zaglądałem do jego biura. Pewnego dnia w poufalej rozmowie zwierzył się mi, że życie na nowej posadzie staje się dlań nieznośne i, ponieważ nie ma na razie widoków otrzymania gdzieindziej posady, nosi się z zamiarem samobójstwa i na dowód pokazał mi list **pożegnalny** do rodziny oraz wydobyl z kufereka nabity rewolwer większego kalibru, a demonstrując nim, jak gdyby rzeczywiście chciał sobie głowę kulą roztrzaskać, dawał mi jednocześnie do zrozumienia, że będzie to „lekka śmierć”

Obserwując niesamowity błysk jego oczu i widząc, że nie są to zwyczajne żarty, jałem mu perswadować i wykazywać absurdalną niewłaściwość takiego zamiaru. - Popełnić samobójstwo, tłumaczyłem mu, to byle dureń potrafi, ale dźwigać na sobie ciężar niepowodzeń życiowych i pod brzemieniem tym nie ugiąć się, nie upaść - to dopiero sztuka.

Tymi i podobnymi perswazjami dał się nakoniec Kaleta przekonać i chcąc mi dać dowód, że o samobójstwie myśleć już nie będzie, list ów pożegnalny na drobne cząsteczki w moich oczach potargał. Ale mnie to nie wystarczyło, więc jałem go dalej namawiać, by mi swój rewolwer sprzedał, na co on wszakże przystać nie chciał, tłumacząc się, że broń ta stanowi cenną dla niego pamiątkę.

iem do Wydziału Powiatowego prosię o przeniesienie mnie w stary stan
 spoczynku, podając powody, które mnie do rozmyślenia z powodu skrajnie
 Proba moja została na jednym z posiedzeń Wydziału przyjęta.
 Na kilka miesięcy przed moją rozmyśleną przyjętą została na sta-
 nowisko Powiatowego Inspektora Technicznego przy Towarzystwie Odrodzo-
 wym Roiniczym, którego biuro mieściło się w tym samym gmachu Jarnobrze-
 skiej Rady Powiatowej, - mieszkał Jan Kuleta, ze Śląska Cieszyńskiego
 pochodzący. Poprzednio stanowisko to zajmował inż. Jan Hektor, wytw-
 ny, pełen energii ekonomista. Chociaż Hektor miał wiele fadnie pobory
 a pole działania wąskie, niemożność czasu tutaj mu było, skoro z tak
 korzystnej posady zrezygnował.
 Nowy ów inspektor techniczny niedługo po objęciu posady poznał
 się na niego samotnym i podał się tej tej epatii. Dość często zachodził
 on do mojej kancelarii i tu - o ile czas mi pozwalał - starałem się
 go rozgadać. Pozatym odzwyczajając jego osamotnienie, sam w miarę moż-
 ności zaglądałem do jego biura. Pewnego dnia w powziętej rozmowie zwi-
 rzył się mi, że życie na nowej posadzie stało się dlań nieznośne i,
 ponieważ nie ma na razie widoków otrzymania dodatkowej posady, musi
 się z zamiarem samobójstwa i na dowód pokazać mi list pożegnaw-
 rodziły oraz wydobyl z kufelka nabity rewolwer większego kalibru, a
 demonstrując nim, jak gdyby trząszywście chciał sobie głowę kula roz-
 trząść, dawał mi jednocześnie do zrozumienia, że będzie to „lekkie
 samobójstwo”.
 Opasując niesłownie bityk tego czasu i widząc, że nie są to
 zwykłe żarty, takim mu parawadłem i wykazywałem absurdalną niewia-
 domość takiego zamiaru. - Poprzez samobójstwo, tymczasem mu, to
 było durne potrafi, nie dawał na sobie ciężar niepowodzeń życiowych
 i pod przemianem tym nie ugięł się, nie upadł - to dopiero sztuka.
 Tym i podobnymi przeważałem dał się nakoniec Kuleta przekonać
 i choć mi dał dowód, że o samobójstwie myślał już nie będzie, list
 ów pożegnawny na drobne cząsteczki w moich oczach potarzał. Ale mnie
 to nie wystarczyło, więc takim go dalej namawiał, by mi swój rewol-
 wer sprzedał, na co on wreszcie przystał nie chciwi, tłumacząc się,
 że przed tą sprawą cenna dla niego pamiętkę.

49

Przed samym odejściem ze służby, dwanaście lat trwającej, a które nastąpiło 3 czy 4 czerwca 1920 r., ostrzegłem lustratora, Piotra Kra-sonia, jako też sekretarza, by uważali na Kaletę, ale odpowiedzią na moje obawy było niedowierzanie i obojętne ruszenie ramion.

Skoro w parę dni później, wstąpiwszy do wydziału, odwiedziłem Kaletę, tak się mną pocziwiec ucieszył, że zerwawszy się z miejsca i objąwszy mnie w ramiona, począł ścisnąć, aż mi tchu brakło. A kiedy odeń odchodziłem, bardzo prosił, żebym go jak najczęściej odwiedzał. Gdy jednak przez parę dni doń nie zaglądałem, pewnego ranka zastano Kaletę w jego biurze, leżącego na podłodze w kałuży krwi, z przestrzeloną na wylot czaszką i z rewolwerem kurczowo zaciśniętym w dłoni.

Zamiar przeprowadzenia się na nowe gospodarstwo do Gdeszyna uległ nieoczekiwanej przeszkodzie. Ku Warszawie parły bolszewickie hordy, które rozlały się były już w Hrubieszowszczyźnie i Zamojszczyźnie. Nie było więc innej rady jak czekać, aż zawierucha minie.

Było to w sierpniu 1920 r. Nie mając nic pilnego do roboty, wybrałem się pewnego dnia z Zosią za Wisłę do Winiar, do starego znajomego Michała Smoły, którego młodszy brat Jan piastował był już godność posła do sejmu ustawodawczego.

Pocziwy Michał był również bardzo strapiony bolszewickim naporem. Ale kiedy jedni gnani bladym strachem uciekali w Poznańskie, drudzy zaś dręczeni niepokojem, cicho siedzieli w domu, - Michał Smoła mimo że nie był pod broń powołany, mimo że brak mu palca u ręki, a w domu otaczała go gromadka drobnych dzieci, - wrywał się ku Warszawie, by tam stanąć w szeregach walczących o całość Ojczyzny. I tylko szloch, lament i rozpacz opierającej się jego szlachetnym porywom żony, trzymały go w domu.

Czy po pożegnaniu się z nim i wyjeździe naszym z Winiar poszedł Michał za wołaniem Ojczyzny, czy też przemogły lamenty żony, tego już nie wiem. Ale jeżeli większość naszych chłopów tak czuć i myśleć będzie, jak Michał Smoła, żadna wraża siła Polski nie zmoże.

Mieszczący szkołę budynek w Strzyżewicach stał nisko przy samych łąkach, przez środek których płynęła rzeka, to też powietrze wokół było wilgotne, malaryczne, co na słabe płuca Zosi szkodliwie wpływało. Postara-

19

Przed samym odejściem ze szkoły, dwa dni przed, a które
 nastąpiło 3 czy 4 czerwca 1920 r., ostrzeżeniem Instytutu, Piotra Kras-
 sonia, jako też sekretarza, by uważali na Kafkę, nie odpowiedział na
 moje opawy było niedowierzanie i obojętne przesłanie ramion.
 Skoro w parę dni później, wstąpiwszy do wydziału, odwiedziłem Ka-
 fkę, tak się mna poczuwało niezwykły, że zerwałam się z miejsca i ob-
 jąwszy mnie w ramiona, począł ścisnąć, aż mi technicznie. A kiedy ode-
 odchodziłem, bardzo prosił, żebym go jak najczęściej odwiedzał. Gdy jed-
 nak przez parę dni doń nie zaglądałem, pewnego dnia zastano Kafkę w
 jego biurze, leżącego na podłodze w kątach krzwy, a przesłoniętego na wy-
 lot czarzą i z rewolwerem kurtkowo zakłócającym w dłoni.

Zamiar przeprowadzenia się na nowe gospodarstwo do Górzycznicy
 nieoczekiwanie przeszkodził. W Warszawie parę dni poświadczył, które
 rozłoży się były już w najbliższym czasie i zamieszkał. Nie było
 więc innej rady jak czekać, aż zwierzchni minie.

Było to w sierpniu 1920 r. Nie mając nic bliższego do roboty, wypr-
 zem się pewnego dnia z Łoską do Winiar, do starego sąsiadka
 Michała Smoły, którego wiodący brat Jan piastował był już godność pośia-
 do sądu zastawczego.

Początki Michał był również bardzo strójny polszczyźnianym naporem.
 Ale kiedy jedni gnamy blady strachem uciekali w Poznanię, drugi zaś
 dręczył niepokojem, ośmieszaniem w domu, - Michał Smoła mimo że nie
 był pod tym powojny, mimo że brak mu pała i ręki, a w domu otaczała
 go gromadka drobnych dzieci, - wyrwał się ku Warszawie, by tam stać
 w szeregu walczących o całość Ojczyzny. I tylko żal, lament i roz-
 pacz opierającej się jego szlachetnym porwom żony, trzymają go w domu.

Gdy po pożegnaniu się z nim i wyjeździe naszym z Winiar poszedł
 Michał za woźnicą Ojczyzny, czy też przemocą lamentu żony, tego już nie
 wiem. Ale jeżeli większość naszych chłopów tak caud i wyjeżdżał, jak
 Michał Smoła, żadna wraza nie Polak nie może.

Mieszkoży szkołę budynku w Strzyżewicach stał nieco przy samych
 ścianach, przez środek których płynęła rzeka, to też powietrze wokół było
 wilgotne, malarzowe, co na ścianie przez dość szkodliwie wpływało. Postara-

ła się więc o przeniesienie na taką samą posadę do Gdeszyna, gdzie byliśmy razem. Nową tę posadę objęła Zosia dopiero w październiku po zupełnym rozbiciu i wyparciu z granic Rzeczypospolitej bolszewików, zabrawszy z sobą siostrę Julię. Reszta nas ze względu na chorą Bronię, której późna, jesienna pora mogłaby w dalekiej i uciążliwej drodze zaszkodzić, pozostała w Dzikowie, skąd w najbliższą wiosnę postanowiliśmy wyjechać.

komisarz plebiscytowy w Bytomiu, w biurze tego wydziału, mieszka-
cym się w hotelu „Schlesischer Hof” przy ul. Dworcowej pracowało nas
trzech t.j. wspomniany K. Wojnar, prof. Kazimierz Sosnowski z Krakowa
i ja.

Ponieważ Górny Śląsk, jak wiemy, przed wiekami odwrwany został
od państwa niemieckiego, jako kraj mało urodzajny, i dopiero po odkryciu
skarbów w Ionie jego ziemi doszedł być w XIX w. do rozkwitu jednego z
najbogatszych ośrodków przemysłowych w tej części Europy, a niemiecka
dość głęboko zapuściła tam korzenie, łatwo zrozumiałym, że powstał tam
szariat plebiscytowy, na czele którego stał pewen Wojciech Karczmarski,
trudno miał zadanie, a propagandę na rzecz polski smarkony był przede-
wszystkiem, posługując się gazetami, broszurami, ulotkami i wszelakimi dru-
kami także w niemieckim języku.

Polscy ludność ośrodków fabrycznych jakkolwiek ojczystym językiem
drukowanymi słabo na ogół władała i posługiwała się po niemiecku druko-
wanymi gazetami, praca zorganizowana w związkach robotniczych, świad-
omość narodową posiadała dużą, gdy natomiast ludność wiejska, rolnicza,
idąc, jak zwykle, latem, chociaż posługiwała się wyłącznie polskim ję-
zykiem, świadomość tę miała znacznie mniejszą, a z polskością łączył ją
tylko kościół i język. Tym się też tłumaczy fakt, że najbardziej prze-
mysłowe ośrodki na Polskę granicznie się wypowiedziały, gdy natomiast
duża część polskiej wsi została po stronie niemieckiej.

Sukces polski w górnośląskim plebiscycie byłby większy, gdyby
sejm warszawski nie był opóźnił uchwalenia konstytucji, w czym jednak
niechęć przeszkodził wróg wewnętrzny. Także dopuszczenie do głosowania
po stronie niemieckiej t. zw. emigrantów - co było jednym wielkim, poli-
tycznym szwindlem - bardzo ujemnie dla polskiej strony wpłynęło. Rów

VII.

N a G ó r n y m S ł ą s k u .

Nie chcąc daremnym czekaniem do wiosny czasu marnować, postarałem się o przyjęcie mnie do pracy w akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku, w czym dopomógł mi znany literat i narodowy działacz, Kasper Wojnar, będący wówczas na stanowisku szefa wydziału wydawniczego przy polskim komisariacie plebiscytowym w Bytomiu. W biurze tego wydziału, mieszczącym się w hotelu „Schlesischer Hof” przy ul. Dworcowej pracowało nas trzech t.j. wspomniany K. Wojnar, prof. Kazimierz Sosnowski z Krakowa i ja.

Ponieważ Górny Śląsk, jak wiemy, przed wiekami oderwany został od pnia macierzystego, jako kraj mało urodzajny, i dopiero po odkryciu skarbów w łonie jego ziemi doszedł był w XIX w. do rozkwitu jednego z najbogatszych ośrodków przemysłowych w tej części Europy, a niemczyzna dość głęboko zapuściła tam korzenie, łatwo zrozumiemy, że polski komisarjat plebiscytowy, na czele którego stał poseł Wojciech Korfanty, trudne miał zadanie, a propagandę na rzecz Polski zmuszony był prowadzić, posługując się gazetami, broszurami, ulotkami i wszelakimi drukami także w niemieckim języku.

Polska ludność ośrodków fabrycznych jakkolwiek ojczystym językiem drukowanym słabo na ogół władała i posługiwała się po niemiecku drukowanymi gazetami, przecieź zorganizowana w związkach robotniczych, świadomość narodową posiadała dużą, gdy natomiast ludność wiejska, rolnicza, idąca, jak zwykle, luzem, chociaż posługiwała się wyłącznie polskim językiem, świadomość tę miała znacznie mniejszą, a z polskością łączył ją tylko kościół i język. Tym się też tłumaczy fakt, że najbardziej przemysłowe ośrodki za Polską gremialnie się wypowiedziały, gdy natomiast dużo czysto polskich wsi zostało po stronie niemieckiej.

Sukces Polski w górnośląskim plebiscycie byłby większy, gdyby sejm warszawski nie był opóźnił uchwalenia konstytucji, w czym jednak zaciekle przeszkadzał wróg wewnętrzny. Także dopuszczenie do głosowania po stronie niemieckiej t. zw. emigrantów - co było jednym wielkim, politycznym szwindlem - bardzo ujemnie dla polskiej strony wpłynęło. Rów -

VII.

W a g o n y m a S i g a k u .

Nie chcąc daremny oczekiwać do wiadomych czasów, postanowiłem się o przyjęcie wnieść do pracy w której pisać będę na Górnym Śląsku, w czym dopomógł mi znany literat i narodowy działacz, Kasper Wojnar, będący wówczas na stanowisku szefa wydawnictwa wydawnictwa przy polskim komisarzacie pociągów w Bytomiu. W dniu tym też wydział, mieszczący się w hotelu „Schlesischer Hof” przy ul. Dworcowej przocowało nas trzech t.j. wspomniany K. Wojnar, prof. Kazimierz Sosnowski z Krakowa i ja.

Ponieważ Górny Śląsk, jak wiemy, przed wiekami odzwierciedlał od polskiej kultury, jako kraj mało urodzajny, i dopiero po odkryciu żelaza w żyznej jego części doszedł do XIX w. do rozkwitu jednego z najbogatszych ośrodków przemysłowych w tej części Europy, a niemożliwe było śledzić zapuścić tam korzenie, łatwo zrozumieć, że polski komisarz pociągów, na czele którego stał poseł Wojciech Korciański, trudne miał zadanie, a propagandę na rzecz polski amazoński był prowadzić, posługując się gazetami, prokurami, ulotkami i wszelakimi innymi środkami w niemieckim języku.

Polaka ludność ośrodków fabrycznych jakkolwiek ożywiający językiem drukowanym stało na ogół widać i posługiwano się po niemiecku drukiem węgry gazetami, przeszedł zorganizowana w związkach robotniczych, światowa narodowa postać dusz, gdy natomiast ludność wiejska, rolnicza, ideał, jak zwykle, luzem, chociaż posługiwano się wyłącznie polskim językiem, świadomość że ma się znaczenie mniejsze, a z polskością łącząc tylko kościół i język. Tym się też tłumaczy fakt, że najbardziej przez mysłowe ośrodki na Polskę przemianę się wypowiedziały, gdy natomiast dużo czytano polskich wiat zostało po stronie niemieckiej.

Europejski polski w górnośląskim pociągach byłby większy, gdyby sejm warszawski nie był opóźniony uchwalenia konstytucji, w czym jednak wszelkie przeszkody wrogie wewnętrzne. Także dopuszczenie do głoszenia po stronie niemieckiej t. zw. emigrantów - co było jednym wielkim, polskim zwycięstwem - bardzo ułatwiło dla polskiej strony zwycięstwo. Rów -

niez niemiecki kler rzymsko-katolicki dużo dokazywał. Wprawdzie wrocławski biskup, kardynał Bertram, zakazał był katolickiemu duchowieństwu brania udziału w agitacji plebiscytowej, był to jednak zwykły manewr polityczny, byle polskich księży skrepować, bo niemieckim - wśród których szczególną zaciekleścią wyróżniał się X. Ulitzka, - wszystko było wolno.

Przez cały czas pobytu w Bytomiu mieszkałem u pewnej górniczej rodziny przy ul. Tarnogórskiej. Górnik ów czytywał tylko w niemieckim języku drukowane gazety, po polsku bowiem wcale czytać nie umiał. Ale jaka za to polska była w nim dusza! W zwycięstwo polskiej sprawy wierzył bez zastrzeżeń, a w domu w wolnych od pracy chwilach ciągle wyśpiewywał „Jeszcze Polska nie zginęła”, aż radość brała. Nazwisko owego górnika o brzmieniu niemieckim wyszło mi, niestety, z pamięci.

Nie mogę też nie wspomnieć o drugim, bliżej poznanym górniku z Zabrze, którą to miejscowość Niemcy na Hindenburg przechrzcili. Górnik ten zwał się Florian Klose. Mimo niemieckiego nazwiska był Klose wżem najidealniejszym Polaka. Przy każdej sposobności pobytu w Bytomiu zaglądał do naszego biura już to by się dowiedzieć o postępie propagandy, którą gorąco się interesował, już też by udzielić pewnych aktualnych wiadomości. Klose jest abstynentem; nie pije żadnych trunków, ani też nie pali tytoniu.

Zaproszony przez Klosego pojechałem pewnej niedzieli w towarzystwie pani Wojnarowej - która również podczas plebiscytu wśród wiejskich kobiet górnośląskich dla sprawy Polski pracowała - do Zabrze na zebranie abstynentów.

Kilkunastu polskich górników i hutników składało się na to zebranie, któremu przewodniczył Klose. Żal doprawdy było patrzeć na przedwcześnie postarzałych hutników, z popalonymi, żółtymi, zmarszczkami poranymi twarzami, a zarazem budziła się cześć dla ich wytrwałej, ofiarnej pracy. Jak zauważyłem, to zebrani z wyjątkiem Klosego albo wcale pisać po polsku nie umieli, albo też pisali bardzo słabo. Sekretarz tegoż zebrania, wciągając do protokołu odbytego zgromadzenia początek odśpiewanej przez zebranych pieśni:

„Ileż nieszczęść niesie przeklęta gorzała,
Zagubę dla duszy, chorobę dla ciała” -

nieś niemiecki kier rzymarsko-katolicki dno dokazywał. Wprawdzie wro-
 ofawski biskup, kardynał Bertram, zakazał był katolickiemu duchowien-
 stwu prania udziału w agitacji plebiscytowej, był to jednak zwykły
 manewr polityczny, byle polskich katolików skrzepować, do niemieckim
 wódtw których szczególną zadaniem było wywołanie się X. Uliksa, -wzys-
 tko było wojno, -
 Przez cały czas pobytu w Bytomiu mieszkałem u pewnej rodzinie
 rodajny przy ul. Tarnogórskiej. Górnik ów czytywał tylko w niemieckim
 języku drukowane gazety, po polsku bowiem wcale czytać nie umiał. Ale
 jakaś za to polska była w nim dusza i w zwycięstwo polskiej sprawy wie-
 rzył bez zastrzeżeń, a w domu w wolnych od pracy chwilach ciągle wy-
 śpiewywał „Jeszcze Polska nie zginęła”, aż radość brzoła. Nazwisko owe-
 go górnika o przemianach niemieckim wyraził mi, nieścisły, a pamięć.
 Nie mogę też nie wspomnieć o drugim, bliżej poznanym górniku z
 Zabrze, który to mieszcowość Niemcy na Hindenburg przeszedł. Górnik
 ten zwał się Florian Klasse. Mimo niemieckiego nazwiska był Klasse wzo-
 nem najbardziej polskiego Polaka. Przy każdej sposobności pobytu w Bytomiu
 zagadki do naszego domu już to by się dowiedzieć o postępie propagan-
 dy, która gorąco się interesował, już też by udzielił pewnych aktual-
 nych wiadomości. Klasse jest abajmentem i nie pije żadnych trunków, ani
 też nie pali tytoniu.
 Zaproszony przez Klassego pojechałem pewnej niedzieli w towarzy-
 stwie pani Woźniarowej - która również podczas plebiscytu wódtw wzięła
 kobiet górnolubskich dla sprawy Polaki pracowała - do Zabrze na zebranie
 abajmentów.
 Kilkunastu polskich górników i hutników składało się na to ze-
 branie, któremu przewodniczył Klasse. Już doprawdy było patrzyć na przed-
 wzięcie postarzących hutników, z popalonymi, różnymi, amaryszkami po-
 otrzymi twarzami, a zarazem budzić się część dla ich wytrwałej, ożir-
 nej pracy. Tak zauważyłem, że zebrani z wyjątkiem Klassego albo wcale
 pisał po polsku nie umieli, albo też pisał bardzo słabo. Sekretarz ze-
 brania, wzięty do protokołu obdługiego zgrupowania poczętek
 obdługawej przez zebranych pisał: „Lis niezależnie przeliza gorzka,
 Zaczęła dla duszy, choroba dla ciała” -

wpisywał pomalutku sylabę po sylabie, co chwila do książki, pieśń tę zawierającej, zaglądając.

Boże, jakaż to rogata dusza w tych naszych górnośląskich robotnikach siedzi, skoro mimo wszelkich, w środkach nieprzebierających metod, Niemcy w ciągu długich stuleci wypaczyć jej nie zdołali!

Po zamknięciu zebrania zaprosił nas Kloze do swego mieszkania. Tam poznałem kilku rosłych jak ojciec synów Klozego i dorodną córkę oraz żonę jego, poważną i miłą matronę. Wszyscy ogromnie radzi z naszych odwiedzin, przywitali się z nami tunczym obyczajem przez podanie lewej ręki. Niema tam zwyczaju całowania kobiety w rękę prawdopodobnie ze względów higienicznych.

W domu Klozego czystość, ład, porządek, aż oczy się radują. Na ścianach oprócz obrazów świętych, wizerunki sławnych Polaków. Zauważyłem również sporo gazet i książek polskich.

Nie wiem, co się dziś dzieje z tym naszym pocziwym ludem robotniczym, w szczególności z Bytomią i Zabrzem, które to ośrodki przy Niemcach pozostały. Obowiązek narodowy nakazuje nam utrzymywać ścisłą łączność z braćmi górnośląskimi, którzy wierności Ojczyźnie święcie dochowali, a nawet, gdy Polska zrzuciła z siebie jarzmo niewoli, w walkach powstańczych z Niemcami wierność tę krwią przypieczętowali.

Z pobytu mego na Górnym Śląsku nie mam zresztą nic szczególnego do opowiedzenia. Pięknie tam, bo pięknie, ład i porządek wzorowy, praca wre mrówcza, ale pod tunczym bladym niebem, zasnutym unoszącymi się wiecznie z lasu kominów fabrycznych dymami, nie bardzo swojo mi było. To też skoro obaj z Wojnarem wyjechaliśmy kiedyś z Bytomia na odległą wieś, już sam widok szarych pól czy szpilkowego lasu jakąś rzeźkością ^{awat} napędził duszę, napotkana zaś tak rzadka w tychże stronach biała chatka z szarą słomianą strzechą wprawiała mnie w jakiś radosny zachwyty, jak gdybym z dalekiej wędrówki do stron rodzinnych wracał. Dziwnie do prawdy na wyobraźnię człowieka działa widok przedmiotu, z jakim się od dziecka żyło.

I nic dziwnego! Boć i ptak wyzwoliwszy się z ciasnej klatki na wolność, wśród pól i lasów radość swą śpiewem objawia. To też po takiej wycieczce raźniej brała mnie ochota do odezwania się na temat mającego nastąpić głosowania, jak na przykład :

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

...to the ...

Na kwiecie: Dziewczynie górnośląskiej.

Z nadwiślańskiej strony starodawną śpiewką
 Zwracam się do ciebie, górnośląska dziewczko,
 Żeby ci kochanej powiedzieć dziewczynie :
 Stój twardo przy Polce w tej ważnej godzinie,
 Kiedy nienawistnych nieprzyjaciół siła
 Przeciw twej Ojczyźnie groty wymierzyła.
 Zbierz w sobie, dziewczyno, wszystkie ducha siły,
 Jeżeli ci związek Śląska z Polską miły,
 I czuwaj, by wszystkie sióstr i braci głosy
 Z macierzą związały kraju swego losy.
 A skoro - posłuchaj, dziewczyno kochana ! -
 Święta nasza sprawa zostanie wygrana
 I świat się na oścież Śląskowi otworzy,
 Wywiode cię, dziewczę, ku świetlanej zorzy,
 Powiodę cię, dziewczę, w polski kraj uroczy,
 Niechby się cieszyły twe nadobne oczy.

Do Krakusowego powiodę cię grodu,
 Tej skarbnicy dziejów polskiego narodu ;
 Tam ci, ustrojonej we wzorzyste wstęgi,
 Pokażę pomniki Piastowskiej potęgi,
 Otworzę ci księgę starej naszej sławy.
 Z Krakowa powiozę Wisłą do Warszawy,
 Kupię ci naszyjnik z pereł i rubinów.
 W Toruniu sznur złotych sprawię ci bursztynów.
 Z Torunia powiozę do starego Gdańska,
 Chusteczką warkocze przystroję ci z pańska.
 Z Gdańska wypłyniemy ku polskiemu morzu
 Płasać po bezkresnym swobodnie przestworzu.
 Będę cię hołubił, dziewczyno kochana,
 Przy morza poszumie ... Dana moja, dana !

Powiozę cię, dziewczę, w pola pełne krasy,
 W Białowieskiej puszczy wprowadzę cię lasy.
 Powiozę cię, dziewczę, pozłocistym cugiem

Powiesz o, dawasz, postulatym ciałem
 W Białowieżskiej puszczy wprowadzę cię lasy.
 Powiesz o, dawasz, w pola pełne krasy,
 Trzy morza poznała... Dana moja, dana!
 Będę cię hołubił, dawasz kochana,
 Tęskno po bezkarnym swobodnie przestworu,
 Z Gdańska wypłyniesz ku polskiemu morzu
 Głuszczyk warkocze przystoję ci z pana.
 Z Torunia powiesz do starego Gdańska,
 W Torunia śnieg kielich sprawy ci burzyszyńców.
 Kupię ci maszynik z perel i rubinów,
 Z Krakowa powiesz Wład do Warszawy,
 Otworzę ci księgę starej naszej sławy.
 Pokażę pomniki Piaszowskiej potęgi,
 Tam ci, wstrząsnętej we wierzchołkach węgły,
 Ten ci, wstrząsnętej w wierzchołkach węgły,
 Ten ci, wstrząsnętej w wierzchołkach węgły,
 Do Krakusowego powiesz cię gronu,
 Ktośby się cieszył we nadobne coby.
 Powiesz o, dawasz, w polski kraj przycy,
 Powiesz o, dawasz, ku światłom przycy,
 I świat się na oświecił światłom przycy,
 Święte wiesz sprawą kochana i -
 A skoro - postulatym, dawasz kochana i -
 Z macierzą związały kraj swój jego lasy.
 I ozwał, by wierzchołki oświecił i przycy przycy
 I oświecił ci światłom przycy z Polską wierzchołki.
 Złotych w sobie, dawasz, wszystkie dusza przycy,
 Przesław twój oświecił cię wierzchołki.
 Kiedyś wstrząsnętej wierzchołki przycy przycy
 Będę twarzą przycy przycy w tej wierzchołki przycy,
 Aby ci kochanej powiesz dawasz przycy przycy,
 Zwracam się do ciebie, dawasz, dawasz przycy przycy,
 Z wierzchołkami przycy przycy przycy przycy

Na kwieciszze łąki nad szemrzącym Bugiem.

Powiozę cię, dziewczę, na uroczę pola

Pszenicy i żyta rodnego Podola.

Obwiozę cię, dziewczę, drogami bitemi

Po wszystkich dzielnicach polskiej naszej ziemi.

I poznasz, dziewczyno, naszych Kujawiaków,

Mazurów, górali, żwawych Krakowiaków.

Ugoszczą cię oni, serdeczni, otwarci

Chlebem polskiej roli, miodem polskich barci,

Poznasz ich pobożność i wierne kochanie

I usłyszysz skoczne wiejskich skrzypiec granie,

Wiejskich skrzypiec granie, tak miłe, tak własne,

Ze rad cię obejmę i – w podkówki trzasnę !

Wprowadzę cię, dziewczę, w przeźrocyste świty

Na najwyższe Tatrów niebosiężne szczyty ;

Na najwyższe szczyty, skąd będziesz widziała,

Jak wielka jest Polska, bogata, wspaniała !

Pilnuj więc, dziewczyno, by w dzień głosowania

Dzielnie się wywiązał lud śląski z zadania,

Bo tylko z macierzą złączony Śląsk miły

Mieć będzie swobodę, dobrobyt i siły !

Podczas długiego siedzenia w kancelarii cniło mi się niepomier -
nie, to też z całym narodem oczekiwałem z utęsknieniem dnia rozstrzyg -
nięcia tej plebiscytowej walki.

Hej, zawitaj dniu radosny,

dniu ty utęskniony !

Zadzwońcie nam na to święto

wszystkie w Polsce dzwony !

Zadzwońże nam ty Zygmuncie

na wawelskiej wieży !

Zaspiewajcie nam siostrzyce

z braćmi od macierzy!

A Ty, Matko i Królowo

nasza z Jasnej Góry,

Pobłogosław śląską ziemię,

syny jej i córę !

Na parę tygodni przed głosowaniem, które odbyło się w dniu 20 mar -
ca 1921 r., ofiarowano mi zajęcie w redakcji bytomskiego „Przewodnika
Wiejskiego” w charakterze pomocnika redaktora, którym był poseł Gabriel
Dubiel, ażeby po rozwiązaniu komisariatu nie został bez zajęcia. I

Na kwiaty łęki nad szarym Białym.

Powiesz się, dawasz, na króse pola

Paxentyc i żyta rodząco Podola.

Opieszę się, dawasz, drogami bitymi

Po wazystkich dzielnicach polskiej naszej ziemi.

I poznasz, dawasz, naszych Kujawiaków,

Mazurów, Górali, śwawych Krakowiaków.

Ugocznę się oni, serdeczni, otwarci

Chlebem polskiej roli, miodem polskich pszczoł,

Poznasz ich pogodność i wierne kochanie

I najszersze skożone wiejskich skrzyplac granie,

Wiejskich skrzyplac granie, tak mife, tak wiane,

Ze rad się obejmę i - w podkowi trzasa!

Wprowadzę się, dawasz, w przestoczyste świty

Na najwęższe szlaki nieboskie szczyty!

Na najwęższe szczyty, skąd pędzisz widniała,

Tak wielka jest Polska, bogata, wspaniała!

Płynął więc, dawasz, by wdał się głoszenia

Dalejnie się wywierał lud ślaski z kagania,

Po tylko z miedzią szlachy ślask mity

Mied pędził swobodę, dobropyt i siły!

Podczas drugiego etażenia w kancelarii onko mi się niepomier -

nie, to też a cały narodem oszukiwaniem a utęsknieniem dnia rozstrzyg -

niecia tej pibliczowej walki.

Hej, zwiędł dniu radony,

dnia ty utęskniony!

Zadawanie nam na to święto

wszystkie w Polsce dawony!

Zadawanie nam ty żywności

na wawelskiej wieży!

Zapiewajcie nam ślaskożycie

z brania od miedziary!

A ty, Matko i Królów

nasz a Jannej Góry,

Pobiegasz ślaskożycie,

szczyt i cory!

Na paru tygodni przed głoszeniem, które odbyło się w dniu 30 mar-

ca 1921 r., ostarowano mi zajęcie w redakcji bytomskiego "Przewodnika

Wiejskiego" w charakterze pomocnika redaktora, którym był poseł Gabriel

Dzieli, aabym po rozwiązaniu komisariatu nie został bez zajęcia. I

skłonny byłem posadę tę objąć, lecz nie czując się zdrów i ciągle niepokojony myślą o chorej córce i o reszcie dzieci, co wcale utrudniało by mi swobodę umysłowej pracy, — zaraz na drugi dzień po dokonanych głosowaniu, w towarzystwie pp. Wojnarów i prof. Sosnowskiego, zebrawszy bagaże, udaliśmy się na pobliski dworzec, by najbliższym pociągiem ruszyć w drogę.

droży, na Roswadów - Lublin - Rejowice - Zawadę pojechałem do Zamościa, a stąd do niedalekiej już stacji Konichy, skąd pieszo 6 km do Gdeszyna.

Tu trza było przedewszystkim zabrać się do uprawy i obsiewu pola. Ale trudności były wielkie. Nie miałem ani konia, ani też niezbędnych narzędzi gospodarskich, ani też wreszcie ziarna do siewu. O wynajem koni jako też kupno nasienia niełatwo było, cała bowiem wieś uległa podczas wojny zupełnemu spalaniu i obrabowaniu z inwentarza. Ocalała jedynie cerkiewka oraz duży murewany spichlerz folwarczny.

Ludność więc cierpiała nędzę, smuszona z powodu braku mieszkań dusić się w skłębionych naprędce na gruzach popalonych sudyb prowizorycznych chatynkach albo też w ziemiankach. Przecież przy pomocy Bożej pole jakoby obróbiłem i obsiałem.

Największą troskę na nowym gospodarstwie sprawiał zupełny brak budynków gospodarskich oraz odpowiedniego mieszkania. Stopyra bowiem, jakkolwiek zapewniał, że budynki, „o jakich tylko zamarzę”, będą miały być jeczni i tanie, gdyż „materiał mamy swój” — zawiódł wszelkie oczekiwania.

Każdy osadnik w Gdeszynie oprócz ornej ziemi i łaki nabył także odpowiednią do zakupionej roli działkę lasu z drzewostanem budulcowym. Niebety, los ten został przez sprzedawcę zakwestionowany, który to fakt Stopyra od początku też przede mną. To też skoro po sprowadzeniu się do Gdeszyna chciałem drzewo ze swego lasu na budowę zwiesić, sprzedawca pod groźbą skargi sądowej i kary „za naruszenie cudzej własności” wywodził drzewo wabronił i las sanknął. Zakaz ten dotyczył wszystkich nabywców.

Majątek Gdeszyn obazaru około 1000 morgów, dziedzictwo Horodyskich z Mołodiatycz, uległ był podczas wielkiej wojny — jak zresztą większość majątków na wschodnich polsiach Polski — całkowitemu zniszczeniu. Ziemianstwo znalazło się więc w ciężkim położeniu, nie mogąc popalonych i

szkodliwy wpływ posiada te objawy, lecz nie uważa się za szkodliwy i dlatego
 niepokojony wcale o chorą skórę i o rzęsy dalsze, co więcej u-
 trudniało by mi swobodę naukową pracy, - zaraz na drugi dzień
 po dokonaniu głosowaniu, w towarzystwie pp. Wojnarów i prof. Sos-
 nowskiego, zabrawszy bagaż, udaliśmy się na pobliską dworzec, by
 najbliższymi pościgiem trzasnąć w drogę.

[The following text is extremely faint and largely illegible due to bleed-through from the reverse side of the page. It appears to be a continuation of a narrative or report.]

z wszelkiego inwentarza jako też z siarna ogłoszonych folwarków odmu -
VIII.

Na nową siedzibę. - Szlachetne dusze.
- Śmierć Broni.

Po przenocowaniu w Krakowie u starego przyjaciela Bartłomieja Brody w dalszą ruszyłem drogę. Na stacji w Tarnobrzegu dowiedziałem się, że rodzina moja już z tych stron wyjechała, wobec czego nie przerywając podróży, na Rozwadów - Lublin - Rejowiec - Zawadę pojechałem do Zamościa, a stąd do niedalekiej już stacji Koniuchy, skąd pieszo 6 km do Gdeszyna.

Tu trza było przede wszystkim zabrać się do uprawy i obsiewu pola. Ale trudności były wielkie. Nie miałem ani konia, ani też niezbędnych narzędzi gospodarskich, ani też wreszcie ziarna do siewu. O wynajem koni jako też kupno nasienia niezłatwo było, cała bowiem wieś uległa podczas wojny zupełnemu spaleniu i obrabowaniu z inwentarza. Ocalała jedynie cerkiewka oraz duży murowany spichlerz folwarczny.

Ludność więc cierpiała nędzę, zmuszona z powodu braku mieszkań dusić się w skleconych naprędce na gruzach popalonych sadyb prowizorycznych chatynkach albo też w ziemiankach. Przecież przy pomocy Bożej pole jakoś obrobiłem i obsiałem.

Największą troskę na nowym gospodarstwie sprawiał zupełny brak budynków gospodarczych oraz odpowiedniego mieszkania. Stopyra bowiem, jakkolwiek zapewniał, że budynki, „o jakich tylko zamarzę”, będę miał bardzo tanio, gdyż „materiał mamy swój” - zawiódł wszelkie oczekiwania.

Każdy osadnik w Gdeszynie oprócz ornej ziemi i łąki nabył także odpowiednią do zakupionej roli działkę lasu z drzewostanem budulcowym. Niestety, las ten został przez sprzedawcę zakwestionowany, który to fakt Stopyra od początku taił przede mną. To też skoro po sprowadzeniu się do Gdeszyna chciałem drzewo ze swego lasu na budowę zwieść, sprzedawca pod groźbą skargi sądowej i kryminału „za naruszenie cudzej własności” wywodził drzewa wzbronił i las zamknął. Zakaz ten dotyczył wszystkich nabywców.

Majątek Gdeszyn obszaru około 1000 morgów, dziedzictwo Horodyskich z Mołodiatycz, uległ był podczas wielkiej wojny - jak zresztą większość majątków na wschodnich połaciach Polski - całkowitemu zniszczeniu. Ziemianstwo znalazło się więc w ciężkim położeniu, nie mogąc popalonych i

W nową siedzibę - Szkoła nr 1.
- Smierć Broni.

Po przesiedleniu w Krakowie u starożytności Bartłomieja Bro-
dy w dalszą naszą drogę. Na stacji w Tarnobrzegu dowiedzieliśmy się, że
rodzina moja już z tych stron wyjechała, wobec czego nie przerywając po-
dróżki, na Rozwadów - Lublin - Rejowiec - Zawadę pojechałem do Zamostka,
a stąd do niedalekiej już stacji Koniechów, skąd pieszko 6 km do Gószynia.

Tu też było przedwzrostkiem zaprzęgnięte do uprawy i obsiewu pola.
Ale trudności były wielkie. Nie miałem ani konia, ani też niezbędnych na-
rzędzi gospodarskich, ani też wreszcie ziarna do siewu. O wynajęcie koni
jako też kupno nasienia nie było mowy, co było powodem, że nie udało mi się
wojny zupełnie spaleniu i obrabowaniu z inwentarzem. Ocalała jedynie cer-
kiewka oraz duży murywany episkopat folwarczny.

Indywidualnie więc cierpieć nie było, zmuszona z powodu braku mieszkań du-
żo się w składowych napędach na gruzach popalonych sadyb prowizorycz-
nych chatkach albo też w ziemiankach. Przesiedli przy pomocy Bożej po-
pomocy, jakoby obrócić i obsiewem.

Największą troską na nowym gospodarstwie sprawiał zupełnie braku pu-
dłówek gospodarskich oraz odpowiedniego mieszkania. Stopyr powiem, jak-
kolwiek zapomniałem, że budynki, „o takich tylko zmarzę”, będą miały ba-
żenno tania, gdyż „materiał mamy swój” - zawiódł wszelkie oczekiwania.

Każdy osadnik w Gószynie oprócz orniej ziemi i łąki nabył także
odpowiednią do zakupu roli działkę lasu z drzewostanem budulcowym.
Niestety, las ten został przez sprzedawcę zakwestionowany, który to fakt
Stopyra od początku tej przędzy miał. To też skoro po przeprowadzeniu się do
Gószyna chciałem drzewo ze swego lasu na budowę zwiędzić, sprzedawca pod-

groźbę skargi sądowej i kryminalną „za naruszenie cudzej własności” wywó-
dził drzewo wprost i las zamknął. Także ten dotyczył wszystkich napływów.

Majątek Gószyn oszacowano około 1000 morgów, dziedzictwo Horodyskich
z Polodajów, nie był podczas wielkiej wojny - jak kreść większość
majątków na wschodnich polach Polski - całkowitemu zniszczeniu. Nie -
miałstwo znalazło się więc w ciężkim położeniu, nie mogąc popalonych i

z wszelkiego inwentarza jako też z ziarna ogołoconych folwarków odmu -
dować i zagospodarować. Stąd to ziemianie ci zmuszeni byli część ziemi
sprzedać, ku czemu w dodatku pchała ich groźba wywłaszczenia odłogiem
leżącej ziemi na rzecz reformy rolnej, jak niemniej bliskość i niepew-
ność granicy z Rosją, zakreślonej wówczas po linię Bugu.

Ale skoro po pogromie bolszewików pod Warszawą granica Polski po-
sunięta została het na wschód ; dalej, skoro ciż właściciele wielkich
obszarów ziemi po bliższym rozpatrzeniu się w chaosie położenia, w ja-
kim znajdowała się wówczas odradzająca się Polska, przyszli do przeko-
nania, że może uda się reformie rolnej kark skrócić, a w najgorszym ra-
zie stępić jej ostrze, - poczęli widno żałować swego pośpiechu i wielu
z nich usiłowało wyrzucić nowonabywców z prawnie nabytych gruntów. Tą
drogą poszli również Horodyscy, próbując bodaj las nowonabywcom odebrać.
W kupnie-sprzedaży majątku pośredniczyła wspomniana już spółka par-
celacyjna „Ziemia” i ona cenę za ziemię wyznaczała oraz pieniądze od
nowonabywców przyjmowała, - było więc jej moralnym obowiązkiem dopilno-
wać, by parcelanci nie ulegli pokrzywdzeniu. Tymczasem miast tego umyła
po piżacku rękę, zwalając perfidnie całą winę na dziedzica, któremu -
obłowiwszy się porządnie na spekulacji parcelacyjnej - drogi zastępować
nie śmiała, zostawiając osadników własnemu losowi.

A osadnicy gdeszyńscy, pochodzący z różnych stron Polski : od Lub-
lina, Łancuta, Lwowa, Nowego Sącza i t.d., złożony do rąk spółki pie-
niądze, uzyskane ze sprzedaży w rodzinnych stronach gospodarstw, i nie
mogąc z powodu zamknięcia im lasu przystąpić do stawiania koniecznych
zabudowań, w większości zmuszeni byli na podobieństwo dzikich zwierząt
zamieszkiwać z drobnymi dziećmi oraz z bydłami - w wykopanych w ziemi
norach.

Na mieszkańców wsi Gdeszyn składa się ludność mieszana, prawosław-
na i rzymsko-katolicka. Lud tu poczciwy, pobożny, pracowity, w trudzie
zahartowany. Przed r. 1905 było tu załedwie kilka rodzin rzym.-kato-
lickiego wyznania i dopiero po owym pamiętnym ukazie tolerancyjnym przecią-
gnięci niegdyś gwałtem na prawosławie unicy, masowo zaczęli wracać do
wiary ojców. Pana Starosty z uprzejmą i gorącą prośbą o łaskawe zaję-
cie się jego losem i spowodowanie, aby tak w zakresie pomocy rolnej

z wszelkiego inwentarza jako też z innych ogłoszonych foliówków odmi-
 bowe i zagospodarowac. Stąd to ziemie ci kruszeni były częśc ziem
 sprzedac, ku czemu w dodatku pchala ich grozba wywiazania odogien
 jezosc ziem na rzecz reformy rolnej, jak najmniej bliskosc i niepew-
 nosc granicy z Rosja, przekreślonę wówczas po linie Bugu.

Ala skoro po porzuceniu polowiskow pod Warszawę granice Polaki po-
 sunieta zostala het na wschod; dalej, skoro się wiazcila wsielkich
 opozarow ziem po bliższym rozpatrzeniu się w okresie pokojenia, w ja-
 kim znajdowala się wówczas obradzajaca się Polska, przyszli do przeko-
 nania, że może uda się reformie rolnej kark skrocic, a w najgorszym ra-
 kie stepic tej ostatecznej - poczeli widno szawac swego pospiechu i wielu
 z nich ustlowalo wyzaliczic nowonabywcow z prawnie nabytych ziemow. To
 groza posali również Horodyscy, próbujac podaj las nowonabywcom odebrać.
 W kupnie-sprzedazy majatku porobniczya wspomnianego już spóla prz-
 colacyjna „Ziemia” i ona cenę za ziemie wyznaczala oraz pieniadze od
 nowonabywcow przyjmowala, - bylo wiecej jej moralnym obowiązkiem dopilno-
 wac, by parcelanci nie nialgi porzywadenia, Tymczasem niast tego umyla
 po pisaku rzec, zwalajac perfidnie cais winę na dziedzica, któremu -
 oflowiwszy się porzadnie na spekulacji parcelacyjnej - drogi zasadowac
 nie smiala, zostawiajac osadnikow wiadomym losowi.

A osadnicy edeszyncy, pochodzacy z różnych stron Polaki: od Lub-
 lina, Zamocna, Lwowa, Nowego Sazka i t.d., zlozywazy do ręk spóki pie-
 niadze, uzyskana ze sprzedazy w rozbiniych stronach gospodarstw, i nie
 mogce z powodu zamknietcia im lasu przystapic do stawiania koniecznych
 zabudowen, w wiekszosc kruszeni byli na podobienstwo dzikich zwierzat
 zamieszkiwac z drobnymi dziedzami oraz z bydlatami - w wykopenych w ziemi
 norach.

Na mieszkanow wal edeszy wchodzi się ludność mieszana, prawoslaw-
 na i rzymsko-katolicka. Lud tu posciwly, poborny, pracowity, w trudzie
 zabrawany. Przed r. 1905 bylo tu zaludnie kilka rodzin rzym.-katolic -
 kiego wyznania i dopiero po owym pamietnym nieszczęsliwym przelic-
 niest niedyś gwałtem na prawoslawie ułoci, masowo zaczęli wtrocac do
 wsiw ojedw.

/ i nabycia inventarza /, jak w zakresie pomocy dla osadników t.j. po -
 Jest to wieś dość ładna i schludna, gęsto zabudowana, w zieleni
 budowania domku mieszkalnego i budynków gospodarskich, wreszcie przez
 bujnych sadów tonąca. Szczególny ma ona urok na wiosnę, kiedy sady
 pomoc doranna - było mu okazane wszystko, co jest możliwe i danych wa -
 rozkwitną, oraz w jesieni, gdy barw purpurowych liście drzew nabiorą.

Strony te wszakże dręczył obmierzły, po zaborney pozostały wrzód -
 mianowicie koniokrądzwo. Bywały okresy, że nie było tygodnia, w któ-
 wiedzich wniosków do tego należały, potrójnie przyniesły mu pomoc w jego
 rym by na terenie hrubieszowskiego powiatu kilku koni nie skradziono;
 cieżkim położeniu.

wykrycie zaś złoczyńców należało do bardzo rzadkich wyjątków. To też
 Na skutek powyższego zlecenia szlacheckiego ministra, szony wyraża-
 wydział powiatowy sejmiku hrubieszowskiego nawoływał gospodarzy za
 ta postarał się o przydzielenie mi parę koni z uprzejmym pozwoleniem, dla
 pośrednictwem organu swego „Przegląd Hrubieszowski”, by stajnie swe na
 kwintali peluski jako karmy dla koni, wreszcie jednego kwintala żył-
 żelazne sztaby na całą szerokość drzwi zamykali, ostrzegając, że ina -
 na chleb - wszystko na spłatę dogodnych ratami, prawda, konie były li -
 czej wszystkie konie w powiecie wykradzione być mogą.

Stali mieszkańcy Gdeszyna, lubo przez wojnę zupełnie zniszczeni,
 stała lepszych pod tym nie było.
 w przeciwieństwie do nowo osiadłej na rozparcelowanym tamże majątku
 i tu nie mogą powstrzymać się od świątecznych rozmyślań. Dobre woj-
 ludności byli o tyle w korzystniejszym położeniu, że zaopatrzeni zo -
 życie - to nieprzerwane pasmo utrapień i trosk o jutrzejsze dni, o małe
 stali przez rząd w materiał na odbudowę spalonych osiedli, gdy nato -
 zazwyczaj, że jestem „z natury skłonny do bezradności” - choć wątpię, czy
 miast kolonistów pozostawieni byli własnemu losowi.

W początku maja 1921 r. przyniosła mi poczta list od nieznanego
 Jakie inuzej pojaz miłe posłał Jan Sobka oraz minister dr. Józef Raczyński,
 mi osobiście posła na sejm ustawodawczy, Jana Sobka z Handzlówki w Zań-
 ski, wój moja dole odeszli i zrozumieć.
 cuckim. Wyrażając zdziwienie, że zamilkłem, namawiał mnie Sobka i za-
 Starosta Walenty Hłyń, bardzo szony dla każdego diazwyknie przy-
 chęcał, bym w imię dobra ojczystej sprawy pisywał do gazet ludowych,
 stepny człowiek, wolny od tego bałaganu biur krótkowzrostu, jaki ku utra-
 jak to czynikiem czasu wojny, dowodząc, że w obecnej dobie rozbujałej
 pienia obywateli i wielkiej szkodzi państwu, jak dusząca smora, opano -
 prywaty i ogólnego zaniku uczuć szlacheckich praca taka jest obywatel-
 wał nasze państwowe jako też autonomiczne urzędy, cieszył się ogromną
 skim nakazem, z pod którego wyłamywać się nie wolno.

A skoro w odpowiedzi wyjaśniłem Sobkowi, że trudne warunki byto-
 wówczas na „przymusowym urlopie”, a to dzięki nieprzebiegającej w arca -
 wania, w szczególności ciężka choroba córki, nie pozwalają jąc się mi
 kach zawiści partyjnej i wkrótce ustąpić musiał z zajmowanego stanowia -
 pióra, odpisał mi krótko, bym nie upadał na duchu.

o/
 Jakż nie długo zawitał do mnie hrubieszowski starosta, Walenty
 Raczyńskiego tylko częściowy odnosiły skutek.
 Hłyń, i okazał mi wystosowane do niego pismo ówczesnego ministra rol -
 nictwa, dra Józefa Raczyńskiego. W piśmie tym, na skutek wstawiennictwa
 cudo dobrego do zawładnięcia. On to, powiadomiony o usiłowaniach dzie -
 posła Sobka oraz dwu jego kolegów, Jana Babicza i Adama Krężla, p. mi-
 dalców Heredyckich odebrania nam lasu, ujął w swo ręce tę sprawę i skie-
 nister prosił starostę za mną tymi słowy: „.....jeżeli się mu nie do -
 rował ja na tory powyższego dla osadników rozstrzygnięcia. Niestety, był
 pomoże, to zginie nietylko on, ale i jego rodzina. Zwracam się przeto
 to już okres galopującej dewaluacji marki polskiej, to też wartość go -
 do Szanownego Pana Starosty z uprzejmą i gorącą prośbą o łaskawe zaję-
 tówki, jaką kolonisci zachowali na koszty stawiania budynków, spadła do
 cie się jego losem i spowodowanie, aby tak w zakresie pomocy rolnej
 zara.

Jest to wieś dość ładna i zielona, gęsto zabudowana, w zielonej
 otulinie sadów i ogrodu. Szczęśliwy na one dni, kiedy przy
 rozkazy, oraz w jesieni, gdy barw paprotkowych liście brzoza nadają
 - strony te waznie grezyj obmiery, po zabory pozostały wród
 mianowicie kontroldatwo. Bywały okresy, że nie było tygodnia, w któ-
 tym by na terenie hrubieszowskiego powiatu kilku kont nie strzabono;
 wykrycie zaś szlachynów należało do bardzo rzadkich wyjątków. To też
 wydziel powiatowy sejmiku hrubieszowskiego nowożywej gospodarzy za
 porządkiem organu swego "Przebieg Hrubieszowski", by stajnie swe na
 - żelazne szafy na całej szerokość drzwi z wykali, ostrzegając, że ins-
 - czas wszystkie konie w powiecie wykradzione być mogą.
 Stali mieszkańcy ubieszyn, lubo przez wojnę zupełnie zniszczeni,
 w przeciwnieństwie do nowo osiadłej na rozparczelowanym tamże majątku
 - ludności byli o tyle w karzątniejszym położeniu, że zapatrzeni sa-
 - stali przez rząd w materiał na odbudowę spalonych osiadli, gdy najo-
 - miały kolonizacji pozostałi byli w szanem losowi.
 W początku maja 1931 r. przyjechał mi pozna list od niemanego
 mi osiadłce pozna na sejm ustawodawczy, Jana Sobka z Handziwki w Jan-
 onkim. Wyrażając zdziwienie, że zamiłkiem, nawiązał mi Sobek i sa-
 - chował, tym w imię dobrej styczności sprawy piszał do gazet ludowych,
 - jak to czytelnik czasu wojny, dowodząc, że w obecnej dobie rozpatującej
 - prywaty i ogólnego zaniku uczuć szlachetnych przez takie jest opytanej-
 - jakim nakazem, a pod którego wymuszanie się nie wolno.
 A skoro w odpowiedzi wyjaśnieniem Sobkowi, że trudne warunki było-
 - wania, w szczególności ciężka choroba córki, nie dowalała już się mi
 - pióro, odpiś mi krótko, tym nie upadeł na duchu.
 - Takie nie długo zawiła do mnie hrubieszowski starosta, Władysław
 - Hryn, i okazał mi wystosowane do niego pismo ówczesnego ministra roln-
 - nictwa, dra Józefa Raczyńskiego. W piśmie tym, na skutek wstawnictwa
 - poza Sobka oraz dwu jego kolegów, Jana Babiana i Adama Krzysia, p. mi-
 - niester prosił starostę za mną tymi słowy: "...Jesteśli się mi nie do-
 - pomoże, to zginię nie tylko on, ale i jego rodzina. Zwrocam się przeto
 - do Szanownego Pana Starosty z uprzejmą i gorącą prośbą o łaskawe zaję-
 - cie się jego losem i spowodowanie, aby tak w zakresie pomocy rolnej

/ i nabycia inwentarza /, jak w zakresie pomocy dla osadników t.j. po - budowania domku mieszkalnego i budynków gospodarczych, wreszcie przez pomoc doraźną - było mu okazane wszystko, co jest możliwe w danych wa - runkach. Będę Panu Staroście bardzo wdzięczny, jeśli tą drogą Pan Sta - rosta bądź we własnym zakresie działania, bądź przez postawienie odpo - wiednich wniosków do kogo należy, potrafi przynieść mu pomoc w jego ciężkim położeniu".

Na skutek powyższego zlecenia szlachetnego ministra zacny staros - ta postarał się o przydzielenie mi pary koni z uprzężą i wozem, dwu kwintali peluszek jako karmy dla koni, wreszcie jednego kwintala żyta na chleb - wszystko na spłatę dogodnymi ratami. Prawda, konie były li - che, stare, wynędzniałe, jednak na owe czasy wprost nieocenione, a zre - szta lepszych pod ręką nie było.

I tu nie mogę powstrzymać się od smutnych rozmyślań. Całe moje życie - to nieprzerwane pasmo utrapień i trosk o jutro: Mówiono o mnie zazwyczaj, że jestem „z natury skłonny do narzekania” - choć wątpię, czy był człowiek w moim położeniu, z taką rezygnacją los swój znoszący. Jakże inaczej pojął mnie poseł Jan Sobek oraz minister dr. Józef Raczyń - ski. Oni moją dolę odczuli i zrozumieli.

Starosta Walenty Hryn, bardzo zacny i dla każdego niezwykle przy - stępny człowiek, wolny od tego bałaganu biurokratycznego, jaki ku utra - pieniu obywateli i wielkiej szkodzie państwa, jak dusząca z mora, opano - wał nasze państwowe jako też autonomiczne urzędy, cieszył się ogromną sympatią ludności powiatu hrubieszowskiego. Ale, niestety! Był on już wówczas na „przymusowym urlopie”, a to dzięki nieprzebierającej w środ - kach zawiści partyjnej i wkrótce ustąpić musiał z zajmowanego stanowis - ka. Wobec tego interwencja posła Sobka jako też orędownictwo ministra Raczyńskiego tylko częściowy odniosły skutek.

Ministrowi Dr. Józefowi Raczyńskiemu koloniści gdeszyczni mają dużo dobrego do zawdzięczenia. On to, powiadomiony o usiłowaniach dzie - dziców Horodyskich odebrania nam lasu, ujął w swe rękę tę sprawę i skie - rował ją na tory pomyślnego dla osadników rozstrzygnięcia. Niestety, był to już okres galopującej dewaluacji marki polskiej, to też wartość go - tówki, jaką koloniści zachowali na kosztą stawiania budynków, spadła do zera.

\ i nabyła inwentarz \, jak w zakresie pomocy dla osadników t.j. po
 budowania domu mieszkalnego i budynków gospodarskich, wreszcie przez
 pomoc doradczą - było mu okazane wszystko, co jest możliwe w danych wa-
 runkach. Będę Pana Starostę bardzo wdzięczny, jeśli ta droga Pan Sta-
 rosta będzie we własnym zakresie dalszania, bądź przez postawienie odpo-
 wiednich wniosków do kogo należy, potrafi przynieść mu pomoc w jego
 oświeceniu.

Na skutek powyższego nieocenia szlachetnego ministra szary staros-
 ta postarał się o przydziałenie mi parę koni z wprzącą i wozem, dwu
 kwatera polnych jako karmy dla koni, wreszcie jednego kwatera żyta
 na chleb - wszystko na epizod pogodnymi ratami. Prawda, konie były li-
 che, stare, wynędzniałe, jednak na owe czasy wprost nieocenione, a stro-
 szał leżących pod ręką nie było.

I tu nie mogę powstrzymać się od smutnych rozważań. Cóż moje
 życie - to nieprzerwana praca i troska o jutro; mówiono o mnie
 mówiąc, że jestem "z natury skłonny do nerwów" - choć wątpię, czy
 byłbyś człowiek w moim położeniu, a także rozważając los swój znoszący.
 Także innej potęgi miałem poseł Jan Sobka oraz minister dr. Józef Raczyń-
 ski. Oni mogli być dobie obok i straszyli.

Starosta Walenty Hryn, bardzo szony i dla każdego niezwykle przy-
 stępny człowiek, wojny od tego państwa demokratycznego, jaki ku nra-
 pieniu obywateli i wielkiej szkodzi państwa, jak dusząca smora, opano-
 wał nasze państwo jako też autonomizacja urzędy, cięższy się ogromna
 sympatia i ludność powiatu hucwosowskiego. Ale, niestety! Był on już
 wówczas na "przymusowym urlopie", a to datki nieprzebiegającej w środ-
 kach zawziętej partyni i wróżce ustąpić musi z szlacheckiego stanowia-
 ka. Wobec tego interweniując poseł Sobka jako też odpowiedzialność ministra
 Raczyńskiego tylko częściowy odnosił skutek.

Ministrowi Dr. Józefowi Raczyńskiemu kolonizacji gdańskiej ma-
 jąc do niego do zadziwienia. On to, powiadomiony o ustrojeniu dzie-
 ładów hucwoskich odebrał nam łaskę, ujął w swe ręce tę sprawę i kie-
 rował ją na ten sposób dla osadników rozstrzygnięcia. Niestety, był
 to już okres galopującej dewaluacji marki polskiej, to też wartość go-
 tówki, jako kolonizacji zachowała na kasie stawiania budynków, spadła do
 zera.

Stan zdrowia Broni stale się pogarszał, wreszcie w Wielką Sobotę 15 kwietnia 1922 r. ta pełna ochoty do życia dziewczyna w dziewiętnastej wiosnie odeszła nas w zaświaty. Na drugi dzień t.j. w W. Niedzielę pojechałem do Grabowca kupić trumnę. Przypadek chciał, że pieniądze zgubiłem, a stolarz katolik mimo solennego zapewnienia, że na drugi dzień odeszł mi pieniądze, nie chciał trumny wydać, wobec czego z niczem wróciłem do domu, gdzie dopiero usłudźni sąsiedzi pieniądze mi pożyczili. Trzeba więc było drugi raz do oddalonego 9 km Grabowca jechać.

W Poniedziałek Wielkanocny przy licznych udziale ludności obojga wyznań odprowadziliśmy Bronię na cmentarz, świeżo założony przy niedawno utworzonej w Gdeszynie rzym.-katolickiej parafii, a pierwszy grób, jaki na tymże cmentarzu wykopano - to grób mojej Broni.

W najpiękniejszej wiosnie życia bezlitosną ręką śmierci wydartą zboleżym rodzicom i łkającemu rodzeństwu, spoczęła sieroco pod dębowym krzyżykiem w szczerym polu, gdzie latem prócz poszumy bujnych zbóż i trelów polnego ptactwa, a zimą jęku mroźnych wichrów, nic ciszy nie mać.

Młoda inwiarka na wędlnych prac niwie
 Stęgała śmiało
 I snop swój białki wiazała cierpliwie
 Przez sobą całą.
 Choć nikt zachęty nie cwał się słowem,
 Nie dał pomocy,
 Trwała tak, stojąc na polu jałowym
 Z świtą do nocy,
 I tylko czasem pobledła smutona
 Z mokra powieka,
 Wnosiła swoje mdlejące ramiona
 W przestrzeń daleką.

Do dozoru szkolnego gminy Młodiatycze, w skład której wchodzi także wieś Gdeszyn, wszedł był swego czasu wspomniany już na innym miejscu Maciej Stopyra w charakterze następcy przewodniczącego. Na jednym z posiedzeń tegoż dozoru postanowiono budowę szkoły w Gdeszynie i wyasygnaty Stopyrze asygnatę na przygotowanie na ten cel materiału budowlanego, slescono mu zajęcie się zwanką. Ale Stopyra asygnatę schował do kieszeni.

Stan zdrowia Broni stał się pogorszał, wreszcie w Wielk. Sob-
- 15 kwietnia 1932 r. ta pełna ochoty do życia dziewczyna w dale
wstała w pełni zdrowa. Na drugi dzień t.j. w W.
Niedzięłę poinformowałem do Grabowa kupił trumnę. Przekopyłem jej, że
pieniężnie zapłaciłem, a stolarz katolik mimo solemnego zapewnienia,
że na drugi dzień odeślą mi pieniądze, nie chciał trumnę wydać, wo-
- pac czego z niezem wrócić do domu, gdzie chłopcy usiłowali spać
pieniędzy mi pożyczyci. Trzyna więc była tym do oddanego
im Grabowa jechać.

W Poniedziałek Wielkanocny przy naszym udziału ludności opo-
- za wyznam odprawialiśmy Bronię na omenata, święto zakońcy przy
niedawno utworzonej w Grabowie rym-katolickiej parafii, a pierw-
- szej grób, jaki na tymże omenata wykopano - to grób mojej Broni.
- W najbliższej wiosnie życia bezlitosną ręką śmierci wy-
- darła zubożony robotnik i kłajęczemu roznosił, spoczył siarce
pod dębem krzyżkiem w szczytym polu, gdzie latem przed porannym
pułkowym kłóć i trójców polnego psactwa, a zimą tąm mroźnych wichrów,
nie ciszy nie ma.

[The following text is extremely faint and difficult to read. It appears to be the main body of a letter or document, but the content is largely illegible due to fading and blurring.]

szoni, by po kilku miesiącach wrócić ją dozorowi ...

Tymczasem wkrągające na IX. wymitywniejszym wymogom higieny warunki

w Dola nauczycielki. - Doktor Litwino-
wicz. - Dur. - Książki i książki. - Praw-
dziwy przyjaciel.

Nauczanie dzieci w szkole gdeszynskiej prowadziła Zosia sama jed-
na. Frekwencja dziatwy dochodziła setki. Prócz zwykłej, programowej na-
ki uczyła Zosia ponadto dziewczęta szycia i haftów.

Za salę szkolną służyła wynajęta we wsi prosta, niemożliwie ciasna
izdebka, w której biedna ta nauczycielka w kurzu i zaduchu przebywać
musiała zwykle siedem godzin dziennie.

Z żalem i niepokojem patrząc na wątłą tę dziewczynę, przedkładałem
jej, by dbając więcej o swe zdrowie, zmniejszyła ilość spędzanych w szko-
le godzin. Daremnie. Tłumaczyła, że w skróconym czasie nie dałaby rady
wszystkiemu, a dalej, że byłoby to wykroczeniem przeciw obowiązkom.

Zdumiewająca zaiste energia wspierała tę słabą ciałem, ale duchem
mocną istotę, skoro poza obowiązkami szkolnymi znalazła czas na urzą-
dzenie przedstawień amatorskich i organizowanie chórów śpiewackich,
w czym po żmudnej pracy w szkole znajdowała rozrywkę i zarazem wewnętr-
ne zadowolenie, iż mogła zapadłą tę wieś ożywić duchem cywilizacji.

O takiej to pracownicy wyraża się Konopnicka w utworze „Z wiejskiej
szkółki” następującymi słowy :

Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Staneła śmiało
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie
Przez dobę całą.
Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak, stojąc na polu jałowym
Z świtu do nocy.
I tylko czasem poblądła znużona
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką.

Do dozoru szkolnego gminy Mołodiatycze, w skład której wchodzi tak-
że wieś Gdeszyn, wszedł był swego czasu wspomniany już na innym miej-
scu Maciej Stopyra w charakterze zastępcy przewodniczącego. Na jednym
z posiedzeń tegoż dozoru postanowiono budowę szkoły w Gdeszynie i wrę-
czywszy Stopyrze asygnatę na przygotowany na ten cel materiał budowla-
ny, zlecono mu zajęcie się zwózką. Ale Stopyra asygnatę schował do kie-

Dola naukowców i - Doktor Litwin -
wios. - Dnr. - Książka i Książki. - Praw -
daiwy przyjaźni.

Nauzanie daleci w szkole gdezyhkiej prowadzila zosa sama jed -
na. Przewenota daisy godobzila szki. Prdoz zwykiet, programowej na -
ki uczyia zosa ponadto dalewzeta szkola i hafow.
za sale szkolne silyia wynajeta we wal prosta, niemozliwie cianna
ladzka, w ktorej biedna ta naukowczelka w kurzu i zadachu przeplywad
musiala zwykile siedem godzin dalemnie.

Z szlam i niepokojem patrzac na wata te dalewzynie, przedkialam
tet, by dajete wiecet o swe zdrowie, zmniejszila ilosc spdzanych w szko -
le godzin. Darownie. Tymczasem, ze w skroconym czasie nie daisy rady
wazytkiemu, a dajet, ze pilyby to wykrosceniem przesiew opowiazkom.
Zdmiewajaca kalite energia wapietia te siale ciadem, ale duhem
moga istote, skoro poza opowiazkami szkolnymi analizala czas na uraz -
zenie przedstawien amatorskich i organizowanie chodow epiewackich,
w czym po szudnet pracy w szkole znajdywala rozrywke i zarzek wewnetrz -
ne sadowienie, iz mogla zapadla te wied ozywd duhem cywilizacji.

O takiej to pracownicy wyzala sie Konopnioka w utworze "Z wietzkiej
szkolki" nastepujacymi slowy :

Mieda szwielka na wapietnych prac niwie
Stangia szwielo
I snop swet ciarki wiazala ciarpilwie
Przez dode cisa.
Chod nikt zasety nie owal sie siewem,
Nie dal pomocy,
Trwala tak, stojac na polu jelowym
Z switu do nocy.
I tylko czasem popledzia szwielona
Z morka powleka,
Wznosila swoje mliete ramiona
W przestren daleka.

Do gorotu szkolnego gwiny Molodistycze, w sklad ktorej wchodzil tak -
ze wied Gdezya, wazedi byl swego czasu wapietniany juz na innym miet -
su Maciej Stopyta w charakterze nastepcy przewodniczacego. Na jednym
z posiedzen tegoz gorotu postanowiono budowe szkolny w Gdezyunie i wre -
czywazy Stopytze saznate na przygotowany na ten cel material budowa -
ny, nieono mu katecie sie zwzeka. Ale Stopyta saznate schowal do kie -

szeni, by po kilku miesiącach zwrócić ją dozorowi ... na jej prośbę

Tymczasem urągające najprymitywniejszym wymogom higieny warunki w ciasnej, wilgotnej i dusznej izbie szkolnej oraz przeciążenie pracą obowiązkową na zdrowie Zosi poczęły zgubnie wywierać skutki. Zapadła na chorobę krtani. Głos jej ochrypł, a wypowiedzenie każdego słowa sprawiało jej ból w gardle. Udała się więc do Hrubieszowa, gdzie lekarz powiatowy dr. Skrobiszewski wystawił jej świadectwo lekarskie, zalecające dwutygodniowy wypoczynek. Ale zastępca inspektora szkolnego, Jagoszuwski, urlop ten zredukował do czterech dni ...

Niebawem spostrzegła Zosia, że choroba jej czyni szybkie postępy, czemu należałoby natychmiast przeciwdziałać, - a wiedząc z doświadczenia, że uwiadomianie inspektoratu szkolnego i oczekiwanie stamtąd wątpliwej odpowiedzi zabrałoby dużo czasu, gdy pomoc lekarska w podobnym wypadku najmniejszej nie dopuszcza zwłoki, pojechała do Zamościa, a stąd na skutek zlecenia lekarza, który stan jej choroby zbadał, prosto do Lublina. W Lublinie lekarz specjalista po zbadaniu chorej nakazał jej zaprzestanie pracy przynajmniej przez dwa miesiące i stosowanie przez ten czas przepisanej kuracji.

Wystosowała więc do Inspektoratu podanie i załączony doń świadectwo lekarza lubelskiego, oznajmiła, że z powodu choroby zmuszona jest zaprzestać pracy w szkole, prosząc zarazem o udzielenie dwumiesięcznego urlopu.

W odpowiedzi na tę prośbę otrzymała z inspektoratu ostrą naganą, że bez pozwolenia jeździła do Lublina, oraz zawiadomienie, iż za samowolne przerwanie nauczania wdrożone przeciw niej zostaje dochodzenie dyscyplinarne, wreszcie rozkaz natychmiastowego podjęcia przerwanej pracy w szkole i nakoniec pouczenie, że dla nich / t.j. dla hrubieszowskiego inspektoratu szkolnego / „miarodajnym jest tylko świadectwo lekarza powiatowego”.

Tak potraktowana przez swą bezpośrednią władzę szkolną, w obawie represyj i możliwej utraty posady w umiłowanym całą duszą zawodzie, wróciła biedaczka do szkoły, gdzie już - nie mogąc głośniej mówić - posługiwała się wobec dzieci gestykulacją ...

Ale mnie jako ojca tak bezprzykładne postąpienie inspektora

... wozach je dozorowi ...

Tymczasem następuje najprzynajmniej wymogom bieżącej sytuacji

w ciasnej, wilgotnej i dusznej izbie szkolnej oraz przesiedlenia pra-

ca opowiadając na zdrowie Nośi położył ręce wykładając książki. Zapad-

ła na chorego krzani. Głos tej ochrypły, a wypowiedzenie każdego słowa

sprawiało jej ból w gardle. Udała się więc do Hirszszowa, gdzie ja-

karz powiatowy dr. Skrobiszewski wysłał jej świadectwo lekarskie,

załączając dwutygodniowy wypoczynek. Ale zastępcę inspektora szkolne-

go, Jagozewski, wrzop ten zredukował do czterech dni ...

Nieważne sprzecznym Nośi, że choroba tej czynniki postępy,

czemu należało natychmiast przeciwdziałać, - a wiedząc z doświadcze-

nia, że wiadomości inspektora szkolnego i oczekiwania stamtąd wst-

pliwiej odpowiedział zaprzyjacieł dając czas, gdy pomoc lekarska w podobnym

wypadku najniebezpieczniej nie dopuszcza zwłoki, pojechała do Zamósia, a

zgodnie na skutek zlecenia lekarza, który stan tej choroby zbadał, przeto

do Lublina. W Lublinie lekarz specjalista po zbadaniu chorej nakazał

jej zaprzestanie pracy przynajmniej przez dwa miesiące i stosowanie

przez ten czas przepisanego kuracji.

Wystosowała więc do inspektora podanie i zażyczywszy sobie wis-

teczne lekarza lubelskiego, oznajmiła, że z powodu choroby zamieszka-

- jest zaprzestad pracy w szkole, prosząc zarazem o udzielenie dwumie-

sięczonego urlopu.

W odpowiedzi na tę prośbę otrzymała z inspektora ostrą nagana,

że bez pozwolenia jedzie do Lublina, oraz zawiadomienie, iż za samo-

wolne przetrwanie nuncjuszki wdrożone przeciw niej zostały dochodzenie

dyplomatyczne, wrzeszcząc rozkaz natychmiastowego podjęcia przezwanej

pracy w szkole i nakazując powrót, że dla nich \ t.j. dla hirszszow-

skiego inspektora szkolnego \ „niezgodnym jest tylko świadectwo le-

karz powiatowego”.

Tak potraktowana przez swą bezpośrednią władzę szkolną, w obs-

- wie reprezenty i możliwej utraty posady umiłowanym całą duszą zawodziła,

- wrócić biedaczka do szkoły, gdzie już - nie mogąc głosić mowy -

postąpiła się wobec datywy gestykulacja ...

Ala wie jak oja tak bezprzekładne postępowanie inspektora

szkolnego do głębi poruszyło. Z odpowiedzi, danej córce na jej prośbę o urlop, przebijało coś w guście złej woli. Bo i jakże? Powiedziano wyraźnie, że „że dla nas miarodajne jest tylko świadectwo lekarza powiatowego”, a z drugiej strony świadectwo to świadomie ignoruje się, jak w przytoczonym powyżej fakcie zredukowania przepisanego przez powiatowego lekarza dwutygodniowego urlopu do czterech dni! Napisałem więc do inspektora, Wilhelma Gregera, i usprawiedliwszy córkę, prosiłem go, by zapowiedziane represje „dyscyplinarne” jako niesprawiedliwe cofnął.

Jako odpowiedź otrzymałem od tegoż inspektora gęsto wykrzyknikami naszpikowany list, w którym między innymi wyliczając, ile to sił nauczycielskich jemu podlega, pisze: „Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby tak każdy postępował, jak Pańska córka”.

Doprawdy - „co by się działo”?... Co by się działo, gdyby w sumiennym spełnianiu swych obowiązków, stargawszy zdrowie wśród czterech ścian, przesyconych stęchlizną, kurzem i wyziewami dziatwy nory szkolnej, nauczycielstwo groźbą represyj zniewolone było wyteżać te resztki zmarnowanych sił, jak w tym wypadku moja córka? ...

Oto, panie inspektorze, działyby się niezawodnie to, że kolumny nekrologów na szpaltach „Głosu Nauczycielskiego” powiększyłyby się bodaj czy nie stokrotnie!

Skoro więc tylko świadectwo lekarza powiatowego było dla hrubieszowskiego inspektoratu szkolnego „miarodajne”, nie miała nieszczęśliwa nauczycielka innego wyjścia, jak odbywać i to podczas najniebezpieczniejszej, dżdżystej pory roku nieskończone męczące podróże do Hrubieszowa do badań lekarskich; podróże, które jeżeli dla zdrowego człowieka są nużące, to dla chorego już wprost zabójcze. A ówczesny lekarz powiatowy, dr. Skrobiszewski, widząc przed sobą wybladłą, dygoczącą i ledwie trzymającą się na nogach nauczycielkę, wystawił jej świadectwo bez żadnego badania, li tylko na podstawie okazanego mu zaświadczenia, które inspektor potraktował był jako nonsens. I dopiero świadectwo to okazało się „miarodajne” i uświęconej formułce biurokratycznej stało się zadość.

Pozalutku poczęła się Zosia wyrażać z przykrej choroby, która ze

szkoleń do Głębi Poruszyła. Z odpowiedzi, danoj sobie na tej prośbie
o urlop, przeczytało coś w gruncie złej woli. Po i jakie? Powiedziano
wystąpienie, że do dnia naszego w i a r o b a jest tylko świadectwo
lekarskie powiatowe", a z drugiej strony świadectwo to świadczyło iż
normuje się. Jak w przytoczonym powyżej fakcie zredukowania przepisów
nego przez powiatowego lekarza dwutygodniowego urlopu do czterech dni
Napisać więc do inspektora, Wilhelm Grögera, i naprzewidziwszy od-
kę, prosiem go, by zapowiedziane przepisy, "dyscyplinarnie" jako niepra-
widliwe cofnął.

Jako odpowiedź otrzymałem od tego inspektora bardzo wyrażymi-
kami niezadowolony list, w którym między innymi wyliczał, ile to się
nauczycielskich tam podlega, pisze: "Proszę sobie wyobrazić, copy
się dalej, gdyż tak każdy postępuje, jak Pańska córka".
Doprawdy - "copy się dalej"?... Copy się dalej, gdyż w su-
biernym spełnianiu swych obowiązków, starasz się zdrowie wśród naszych
żołnierzy, przesyłanych do wojny, kursem i wykładami dać im zdrowie
nie, nauczycielskie przepisy, antywolne być wyjątkiem ze reszty
zmarowianych się, jak w tym wypadku moja córka? ...

Oto, Panie inspektorze, dając się niezgodnie to, że kolunaj
niedokończonych na egzaminach "Głowa Nauczycielskiego" powiększyły się do-
daj czy nie stokrójnie!
Skoro więc tylko świadectwo lekarza powiatowego było dla niego
piaszewskiego inspektora szkolnego, "nie miał niczego", nie miał niczego
świadczenia nauczycielskiego innego wyjątku, jak obywatel i to podczas najnie-
zdrowszej, dążącej do roku nieskończonych próżności do Hrubie-
szowa do badań lekarskich; podobać, które jeżeli dla zdrowego czło-
wieka są nudne, to dla chorego już wprost zabójcze. A ówczesny lekarz
powiatowy, dr. Skrobieszewski, widząc przed sobą wybladłą, dychawczą i
jednie trzęsącą się na nogach nauczycielkę, wystał z tej świadectwo
bez żadnego badania, i tylko na podstawie okazanego mu świadectwa
którego inspektor potraktował był jako nonensum. I dopięto świadectwo to
okazywało się, "mierzalną" i uwiłconej formie dystrybucyjnej stało
się zabobem.

...

Istnieją w Polsce towarzystwa opieki nad zwierzętami, nakładające nieraz surowe nawet kary na osobników dopuszczających się dręczenia tych niemych stworzeń, nadto wyszła ustawa, biorąca w ochronę wszelkie zwierzęta i ptactwo. I słusznie! Boć i te stworzenia Boże mają czucie i nie na męki dał im Stwórca istnienie na ziemi. A czy chorą nauczycielką jest czemś gorszym od zwierzęcia?

Okazałe sanatorium nauczycielskie w Zakopanem może uwzględnić tylko znikomy procent zgłoszeń suchotników. A reszta? Ta reszta, i to przeważnie w młodym wieku, wymiera.

Nareszcie po wielu zachodach przyznano Zosi dłuższy, ale bezpłatny urlop dla poratowania nikłego już zdrowia. Jako zastępcę na czas swej bezczynności w szkole poleciła inspektorowi Władysławowi Ignatowskiemu, co też inspektor uwzględnił.

Ow Ignatowski wstąpił był z chwilą wybuchu wojny do legionów. Po skończonej kampanii przyjechał do Gdeszyna, dokąd rodzice jego na zakupioną z rozparcelowanego folwarku 14-morgową działkę z pod Rzeszowa się przesiedlili. Tu poznał Zosię, oświadczył się i został przyjęty. Jako trzyklasista gimnazjalny nie mógł się wykazać niezbędnymi w nauczycielskim zawodzie kwalifikacjami, więc Zosia zadała sobie trud pogłębienia jego szczupłej, a niezbędnej w tym zawodzie wiedzy. I pomimo że w udzielaniu mu lekcyj posługiwała się tylko piśmem i gestykulacją, mówić bowiem nie mogła, a zresztą mówienia lekarz jej zabronił, dokazała tego, że po jakimś czasie mógł Ignatowski przy poparciu już wspomnianego, b. starosty hrubieszowskiego W. Hłynia, w tym czasie profesora w gimnazjum żeńskim zamojskim, zdać wspaniały egzamin w Zamościu i na tej podstawie dostać prowizoryczną posadę nauczyciela. W dniu 9 maja 1923 r. odbył się ich ślub.

Dopiero teraz mogła się Zosia poddać spokojnie kuracji. Co miesiąc jeździła na tydzień do Lwowa, gdzie lekarz-specjalista chorób gardła, dr. Orest Litwinowicz, prawdziwie po samarytańsku nią się zaopiekował. Zaczny ten człowiek, ^(dowiedziałwszy się) że Zosia ma urlop bezpłatny, nie chciał brać od niej należnego honorarium, mówiąc, że zapłatę uiszczy pacjentka, skoro do całkowitego zdrowia i zarobkowania wróci. I szło to jakoś.

Pomalutku poczęła się Zosia wygrzebywać z przykłej choroby, która ze

Ważniejszą w Polsce, faworyzującą opiekę nad zwierzętami, nakłada-
 -jąc niekiedy nawet karę na osobników dopuszczających się przese-
 -nia tych niemych stworzeń, nadto wyznacza ustawą, bliższą w ochronie
 wszelkie zwierzęta i ptactwo. I słusznie! Boć i to stworzenia Boże
 mają prawo i nie są wzięte im stworzenia istnienia na ziemi. A czy obo-
 -jętne zwierzęta jest cenniejszym od zwierzęcia?

Okazuje sanatorium naukowców w Zakopanem może uważać się
 -tylko za jeden z wielu przykładów. A reszta? To reszta, i to
 -przeważnie w młodym wieku, wymiera.
 -Naszycie po wielu zachodach przyznano Zosi diabeł, ale bez-
 -prawy urlop dla poratowania nikiego już zdrowia. Jako następcę na
 -zasiłku bezczynności w szkole polecił inspektorowi Władysławowi Igna-
 -towskiemu, co też inspektor uwzględnił.

On Ignatowski wstąpił był z chwilą wybuchu wojny do Legionów.
 -Po ekonomicznej kampanii przyjechał do Górszyna, dokąd rodzice jego na-
 -zakupione a rozparcelowane folwarku 14-morgową działkę a pod Rzeszo-
 -wem się przedstawił. Tu poznał Zosie, oświadczył się i został przyję-
 -ty. Jako trykwiasta gimnazjalny nie mógł się wykazać potrzebny
 -w naukowców zaważać kwalifikacjami, więc Zosia kładła się do
 -pojęcia jego zasypał, a niezbędny w tym zawodzie wiedzą. I po-
 -mimo że w kształceniu mu lekcy postępowania się tylko piłem i gestykul-
 -ację, mówił powiem nie mógł, a zresztą mówienia lekarz tej zabronił,
 -dokazał tego, że po jakim czasie mógł Ignatowski przy pomocy
 -wspomnianego, p. starosty hrabiowskiego W. Hrynia, w tym czasie
 -profesora w gimnazjum ścisłym zamojskim, zdał wspaniały egzamin w Zamo-
 -ciu i na tej podstawie dostał przewidziane posadę naukowca. W dniu
 -9 maja 1923 r. odbył się ten ślub.

Dopiero teraz mógł się Zosia poddać spokojnie kuracji. Co mie-
 -nie jedźcie na tydzień do Lwowa, gdzie lekarz-specjalista chorób
 -Gardis, dr. Orest Litwinowicz, prowadził po samarytańsku się się 25-
 -optykował. Zany ten człowiek ^(chwilowo się) że Zosia na urlop bezprawy, nie chciał
 -brać od niej należnego honorarium, mówiąc, że zapłatę niżej pacjentka,
 -skoro do całkowitego zdrowia i zarobkowania wróci. I szło to jakos.
 -Pomiatkiem poszedł się Zosia wytrzeźwiał a przykrej choroby, która ze

zwykłej dolegliwości krtani przeszła już była w gruźlicę gardła.

W pięć miesięcy po zaślubinach Zosi u mego sąsiada M. Stopyry chłopak służący umarł na dur brzuszny. Matka zmarłego musiała widocznie pracować szmaty w przepływającym moją łakę strumieniu, w którym i z mego domu bieliznę prano, albowiem wkrótce potem syn mój zapadł na tę chorobę. Ledwieśmy go odwieźli do szpitala w Hrubieszowie, a już ta sama choroba objawiła się u najmłodszej córki Marii. Więc i z nią do szpitala!

Drogą kołową Hrubieszów oddalony jest od Gdeszyna blisko 20 km. Jaki zaś wilgotną jesienią i wczesną wiosną drogi hrubieszowskie obraz przedstawiają, pojmie tylko ten, kto w tych porach roku drogi te przebywał. Dobrze jeszcze, gdy droga nieofosowana biegnie wśród pól, bo można na pola zboczyć, ale tam gdzie wzdłuż drogi ciągną się głębsze rowy, których przekroczyć się nie da, trzeba być prawdziwym mistrzem w powożeniu, by wóz od wywrócenia w napełnionych rzadkim błotem dołach ustrzec, a konie już nie od połamania nóg, lecz od utopienia uchronić.

Dzięki troskliwym zabiegom lekarzy z dyrektorem szpitala dr. Dubiszewskim na czele, dzieci moje szczęśliwie ciężką tę chorobę przetrwały i po trzech tygodniach mogłem je ze szpitala odebrać.

Ale już po paru dniach syn, wstrząsany dreszczami, zmuszony był położyć się do łóżka; gorączka wzmogła się, a ciało upstrzyży drobne, zaledwie dostrzegalne plamki.

I znowu jazda z nim do Hrubieszowa tymi samymi przepastnymi drogami. Gorącość od chorego bije jak z pieca; deszczyk mży, a on usiłuje wyzwolić się z ochraniających go przed zimnem pierzyn... Wywołane gorączką pragnienie dręczy go, to też słabym głosem przynagla: „Prędzej jechać, prędzej!” Więc na bardziej możliwych do przebycia odcinkach drogi podcinany obryzgane błotem i buchające parą szkapy; wóz niemiłosiernie podskakuje, przechyla się, to znów zapada w pełne mazistego błota doły, aż biedny chłopiec prosi: „Pomału, pomału!” Nareszcie po wielu fizycznych i duchowych udrękach szczęśliwie przywieźliśmy Stasia do szpitala, gdzie konsylium lekarzy sprawdziło u niego dur wysypkowy.

Tu wypada wyjaśnić przyczynę, z powodu której Staś popadł w dru-

zwykłej dolegliwości krztani przeszedł już była w grunty gardła.
 W pięć miesięcy po zaszczepieniu żoni - jego sześcioletni M. Stopyry
 choroba zniknęła umarł na dnu brzusnym. Matka zmarłego musiała widzieć
 nie przed zniknięciem w przypływkach moją jaką straszenie, w którym i z
 jego domu dzielnie prano, albowiem wrócić potem syn mój zapadł na tę
 chorobę. Jedliśmy go odwiedzić do szpitala w Hrubieszowie, a już za sa-
 ma choroba objawiła się w najmłodszym córki Marii. Wice i z nią do
 szpitala i
 drogę kołową Hrubieszów oddalony jest od Gószynia blisko 30 km.
 Jaką rolę wzięła choroba i wczesną wiadomą drogą Hrubieszowskie opas
 przedstawiają, pojmie tylko ten, kto w tych porach roku drogi te prze-
 bywał. Dobrze jeszcze, gdy droga nieoficjalna biegnie wzdłuż doliny, po mo-
 żna na pola zobaczyć, ale tam gdzie wzdłuż drogi ciągną się gęszczone ro-
 wy, których przekroczyć się nie da, trzeba być prawdziwym mistrzem w po-
 wożeniu, by wód od wywrócenia w napełnionych rzadkim błotem dołach u-
 strzec, a konie już nie od pozamania nóg, lecz od utopienia uchronić.
 Dzięki troskliwym opiekom lekarzy z dyrektorium szpitala dr. Dr-
 bieszowskim na czole, daliśmy moją szczeniową opiekę tej chorobie prze-
 trwały i po trzech tygodniach mogłem je ze szpitala odebrać.
 Ale już po paru dniach syn, wstrząśnięty dręszkami, zmuszony był
 powrócić się do idła; gorączka wzmożła się, a ciała upatrzyły drobne,
 zaledwie dostrzegalne plamki.
 I znów żąda z nim do Hrubieszowa tymi samymi przedstawicielami
 programi. Gorączka od chorego bije jak z pieca; deszcz wód, a on usi-
 jące wywołuje się z ochrypniętym głosem przed szklanym płaszczem... Wywołano
 gorączka pragnienie drogi go, to też słyżnym głosem przemawia: "Przed
 lechad, przedzi!" Wice na parady możliwości do przepicia obciachach
 drogi podobny opryskane błotem i buchające parą szkapę; wód niemio-
 słownie podskakują, przeskoczyła się, to znów zapada w pełne wazleto go-
 ta doły, aż bledy chłopiec prosi: "Pomóż, pomóż!" Narzucił po-
 wiele rękawców i duchowych udękach szczeniowie przywilejowy stała
 do szpitala, gdzie konnyim lekarzy sprawdził u niego dno wysypkowi.
 Tu wypada wytężyć przyczynę, a powodem której będą popadł w dnu-

gą, jeszcze cięższą od poprzedniej chorobę, tym niebezpieczniejszą, że co dopiero opuściwszy szpital, bardzo był wyniszczony. Córka, jako lżej chora parę dni wcześniej szpital opuściła. W przeddzień zaś odebrania Stasia po pierwszej jego chorobie wprowadzono do tej samej sali wieśniaczkę, podejrzaną o dur plamisty. Lekkomyślna służąca szpitalna, nie poddawszy poprzednio chorej przepisanej kąpieli, przeniosła z niej na Stasia wszy, a skutki tego zaniedbania nie dały długo na siebie czekać.

Trawiony wysoką gorączką podczas długiej choroby i zmuszony do zachowania ścisłej diety, jako jednego z głównych w chorobie tej warunków, wysechł Staś na istnego kościotrupa, ale chorobę przetrzymał. Dyrektor szpitala, dowiedziawszy się później, że chory całkowicie wyzdrowiał, dziwił się odpornej naturze chłopaka, przypisując wyzdrowienie jego cudowi.

W ostatni dzień maja 1924 r. powiła Zosia córeczkę Danusię. Co za radość ogarnęła młodą tę matkę, z jak bezgraniczną, macierzyńską czułością do swej dziecińy przyłgnęła - wysłowić trudno. I zdawało się, że samo istnienie tej małej istoty zdrowie chorej matce przywraca. Niestety i zmuszona jeździć do lekarza do Lwowa, nie mogła być ciągle przy dziecku, które popadło w chorobę silnej, długotrwałej biegunki i w czwartym miesiącu zmarło.

W końcu grudnia 1924 r., czy w początku stycznia 1925 r. - nie pomnę dobrze kiedy - Zosia z płaczem wróciła ze Lwowa, dokąd do lekarza przed paroma dniami była pojechała. Oto serce zacnego doktora Litwinowicza bić przestało. Nie zastała go już. Spoczął przedwcześnie w mogile, zmożony chroniczną chorobą nerkową. Inny lekarz, do którego Zosia po zgonie ś.p. Litwinowicza w celach dalszej kuracji jeździć była zmuszona, zastosował wobec niej odmienną metodę leczenia, czym tak dodatnimi wynikami wieńczone dzieło poprzednika zniweczył.

Najdotkliwsi dla duszy mej udrękami były choroby dzieci i śmierć Broni. Bo gdyby nie to, byłoby mi mimo wielu braków całkiem znosić życie i wyjechać na emigrację do Grabowca. Ale w obronie wiary stanęło kilkadziesiąt kobiet katolickich z Pawłem Szmitem, wśród owych martwych ścian biura, gdzie pozbawiony swobody ruchu, zmuszony ślepczeć długimi godzinami dzień po dniu nad jałowymi urzędowymi

...tenże cięższe od poprzedniej choroby, tym niebezpieczniejsze, że
 co dopiero opuszczały szpital, bardzo był wyniszczony. Górka, jako iść
 chorego parę dni wcześniej szpital opuścił. W przeddzień zaś odebrania
 - Stała po pierwsze tego choroby wprowadzono do tej samej sali wieś
 niaszkę, podjętą o dur plamisty. Lekkożylna siwosza szpitalna, nie
 poddawany poprzednio chorej przepisaną kapieli, przeniosła z niej na
 Stała wazy, a skutki tego zaniedbania nie były długo na siebie czekać.
 Trwały wysoce gorączka podczas drugiej choroby i zmuszony do
 zachowania ścisłej diety, jako jednego z głównych w chorobie tej warun-
 - ków, wyszedł stan na istnego kochotrupa, ale chorobę przetrzymał. Dy-
 rektor szpitala, dowiedziawszy się później, że chorej całkowicie wyzdoro-
 - wiał, dał się odparzyć naturalne chłopa, przypisując wyzdrowienie
 tego cudowi.

W ostatni dzień maja 1924 r. powiła Zosia córce Danusia. Co za
 radość ogarnęła młodą matkę, z jak bezgraniczną, materską czułością
 się do swej dalsziny przywiązała - wysłowić trudno. I zdawało się, że za-
 - mo istnienie tej malutkiej istoty zdrowie chorej matce przywraca. Nies-
 - tej i zmuszona iść do lekarza do lwowa, nie mogła być ciągle przy
 dalszku, które popadło w chorobę śmiertelną, dającą w sobie i w czar-
 tym miejscu zmarło.

W końcu grudnia 1924 r., czy w początku stycznia 1925 r. - nie
 pomnę dobrze kiedy - Zosia z piacem wróciła ze lwowa, dokąd do lekarza
 przed paroma dniami była pojechała. Oto serce znowu doktora Litwina
 - wiesz się przestało. Nie zastąpił go już. Spoczął przedwcześnie w mogile,
 znowu choroba choroba choroba choroba.

Inny lekarz, do którego Zosia po zgonie s.p. Litwina w całości
 dalszej kuracji iść do lwowa, zastawiała wobec niej obywatelską
 - metodę leczenia, czym tak dobitnymi wynikami wiano dane było poprzedni-
 - ku zniweczył.

Najdotkliwszymi dla duży mię naderkami były choroby dalsze i
 - śmierć Broni. Bo gdyby nie to, byłoby mi mimo wielu braków ciekaw znos-
 nie. Miałem tu wojny ruch i świat był przed oczyma otwarty. Nie tak jak
 - wóreb owych martwych ścian białych, gdzie pospawiony swobody ruch, znu-
 - zony śpiąc dźwiękami godnymi daty na dźwięki urzędowymi

komunąkami w martwej głuszy, doznawałem wrażenia, jakiego doznaje skazaniec, żywcem zamurowany w grobie, co na mój stan duchowy fatalnie wpływało.

Okolica stron tych wcale ładna, „jasna”. Lasów stosunkowo dość; pola żyzne, urodzajne. Wioski przeważnie zachowały swój dawny, sielski charakter, a niektóre, jak n. p. Korytyna, wśród zielonych lasów ukryta, - wprost śliczne.

Drobni rolnicy, dzięki wiekopomnemu dziełu X. Stanisława Staszica - mają się tu oddawna dość dobrze i umiejętnie gospodarzą.

Przy drogach pełno krzyżów, widomych znaków głębokiej wiary ludu. Kto z dalszych stron Polski pierwszy raz znajdzie się w tych stronach, mimowoli zapyta za Teofilem Lenartowiczem: „Czemu tyle krzyży stanęło przy drogach?” A każdy niemal z tych krzyżów ma swoje odrębne dzieje na tle prześladowania Unii. W pobliżu mego osiedla stoi duży, ładny, jeszcze jak nowy, dębowy krzyż, a historia jego dość ciekawa. Którego roku został postawiony, dziś już nie wiem. Ufundowali go katolicy, co prawosławnemu duchownemu bardzo się nie podobało, zaczęli wkrótce po wkopaniu krzyża przyszedł ze swymi owieczkami i poświęcił go według prawosławnego rytuału. Ale to jeszcze bardziej nie podobało się fundatorom. Wykopali więc ten krzyż, oheblowali go z prawosłanego pokostu, ładnie pomalowali i znów go postawili, a ksiądz katolicki dokonał poświęcenia. I ten to krzyż do dziś stoi.

O krzyżu zaś, stojącym w lesie gdeszyskim z prawej strony drogi, do Grabowca prowadzącej, jedną ze świątliwych gdeszyskich właścianek, Katarzyna Krawczukowa, opowiedziała mi również ciekawą historię, którą w streszczeniu przytaczam.

W r. 1898 katolicy gdeszyscy wyciosany pokryjomu w sąsiedniej wsi Bronisławce ciężki, dębowy krzyż nocą do lasu przywieźli i przy drodze postawili. Uwiadomiony o tym miejscowy paroch chciał ten krzyż poświęcić i na rzecz prawosławia zagarnąć, czemu wszakże dla pewnych, łatwo zrozumiałych względów, sprzeciwiła się policja, zarządzając natomiast wykopanie krzyża i wywiezienie go na cmentarz do Grabowca. Ale w obronie godła wiary stanęło kilkadziesiąt kobiet katolickich z Pawłem Szmitem, bratem opowiadającej na czele. W trakcie tego między kobietami a policją

komunizacji w marnej guszy, doznawiam wrzescia, jakiego doznaja nie-
 zaniec, zyciem zamurowany w grobie, co na moj stan duchowy fatalnie
 wplywa.

Okoice stron tych wcale fajna, "jasna". Lasow stozunkowo dosc ;
 pola siane, urodzajne. Wioski przetrzanie zachowaly swoj dawny, stielki
 charakter, a niektore, jak n. p. Korzyzna, wioda stielonych lasow ukry-
 ta, - wprost sliczne.

Drobni rolnicy, daleki wiekopomnemu dzieju X. Stanislaw Staszica
 - maja sie tu od dawna dosc dobrze i usietnie gospodarza.

Przy drogach paino krzyzow, widownych znakow gipokryty wierz indy.
 Kto z dalszych stron Polaki pierwazy raz znaliz sie w tych stronach,
 mowili zapyta za Teofilom Lemartowiczem : "Czemu tyje krzyzy stanoje
 przy drogach ?" A kazdy niemal z tych krzyzow na swoje odrpne dajete
 na tie przesladowania Unit. W polniu mego ostedie stoi duzy, fajny,
 jaszczak jak nowy, dopywy krzyz, a historia jego dosc ciekawa. Ktorego
 roku zostal postawiony, dala juz nie wiem. Ufundowali go katolicy, co
 prawoslawnemu duchownemu bardzo sie nie podobalo, zeszlym wiodce po wie-
 panu krzyz przyszedl ze swymi owieczkami i powiedzil co wedlug prawo-
 slawnego tytuliu. Ale to jaszczak bardziej nie podobalo sie fundatorom.
 Wykopali wiec ten krzyz, omdlowali go z prawoslawnego pokostu, jednie
 pomalowali i znow go postawili, a kazda katolicka dokonaj poswiecenia.
 I ten to krzyz do dnia stoi.

O krzyzu nase, stojacym w lesie gieszynskim z prawej strony drogi,
 do Grabowce prowadzacej, jedna ze swiatlych gieszynskich wiodczanek, Ka-
 taryna Krwoszkowa, opowiedziala mi rowniez ciekaw historie, ktora
 w strzeszeniu przytoczam.

W r. 1898 katolicy gieszynscy wycieczny pokrzyjom w szednial wai
 Bronislawe ciarki, dopywy krzyz nosz do lasu przywiezli i przy drodze
 postawili. Uwiadomiony o tym wiejscowy paroch chotal ten krzyz powie-
 cid i na rzecz prawoslawia zabrac, czemu wazakie dla pewnych, stwo
 stozumialych wzgladow, sprzeciwliz sie policja, zaradzajac natomiaz
 wykopanie krzyza i wywiezienie go na omentarz do Grabowce. Ale w obronie
 godis wierz stanoje kilkadziesiat kopiec katolickich z Pawiem Szmitem,
 prztem opowiedzajec na czole. W trakcie tego miedzy kopaczami a policja

69

przyszło do bójki, podczas której jedna z kobiet otrzymała cięcie szablą, Szmitowi zaś, jako głównemu przewodcy, zarzuciła policja powróż na szyję, lecz kobiety rzuciły się mu na pomoc i z więzów uwolniły.

Niedługo wszakże pewnego mglistego poranka Moskale cichaczem krzyż wykopali i do Grabowca na cmentarz wywieźli. Ale uparne kobiety gdeszyńskie pewnej nocy udały się na cmentarz, krzyż wykopały, na przodku wozu umieściły, z wielkim trudem bocznymi drogami do lasu z powrotem przywlokły i na swoim miejscu postawiły.

Kiedy przed kilkudziesięciu laty opuszczałem Chełmszczyznę, ziemię zroszoną obficie łzami i krwią prześladowanych unitów, nie przypuszczałem nawet, by mnie kiedykolwiek los znów w te strony przerzucił. Wówczas byłem młody, pełny nadziei, ale niewolnik we własnej Ojczyźnie; dziś, jakkolwiek pod brzemieniem lat, pełnych zawodu i trudu, pochylony, lecz ze spełnionymi nadziejami, które od najwcześniejszej młodości żywiłem, mogę zawołać ze sędziwym Symeonem: „Puść służbę Twego, Panie, w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie”.

Gdeszyn jest wioską zapadłą; powiatowe miasto dość daleko, a Grabowiec, gdzie w ostatnim czasie urząd pocztowy utworzono, - to licha osada. Mogło się mi tu czasem przykrzyć, ale na szczęście zawsze o mnie pamiętający X. Józef Janiszewski nadsyłał mi od czasu do czasu spore paczki książek tak, że zawsze w wolnej chwili miałem się czym rozerwać.

Z tej ofiary zacnego księdza korzystała również miejscowa ludność tak wsi jako też kolonii. Zgłoszeń o pożyczenie „czegoś do czytania” miałem tyle, że każda przystępna dla wiejskiego czytelnika książka wędrowała z rąk do rąk. Jak zaś wzruszające zamięłowanie do czytania było między tymi poczciwymi ludźmi, świadczy następujący szczegół: Biedny stolarz ze wsi nazwiskiem Trochimowicz, Rusin prawosławny, posiadający za cały majątek nędzną ziemiankę, w której z rodziną mieszkał, sam czytać wcale nie umiejący, pożyczał ode mnie książki, które mu syn wyrostek w domu odczytywał. Po przeczytaniu, a raczej po wysłuchaniu przeczytania, odnosił mi książkę z podziękowaniem i prosił o drugą. Nie mógł się dość nachwalić książki p. t. „Zły czar” Jamy Łady. Jeżeli więc czytelnictwo to umoralniający wpływ na ludność wywierało, główna zasługa przypada X. Józefowi Janiszewskiemu.

prawy do bójk, podczas której jedna z kobiet strzymała się zabić, Baniowi zaś, jako głównemu przewodcy, zarzucała polską powódź na szyję, lecz kobiety rzuciły się na pomoc i z więzów uwolniły.

Niedługo wazakże pewnego wstającego poranka Moskale odczasem krzysz wykopali i do Grabowa na cmentarz wywieźli. Ale uporne kobiety gęszyn - jakie pewnej nocy ułazy się na cmentarz, krzysz wykopały, na przedku wozu umieszcily, z wiatkiem trudem poczynni drożami do lasu z powrotem przywróciły i na swoim miejscu postawiły.

Kiedy przed kilkunastu laty opuszczałem Chelmiszczynę, ziemie przesone oficie lasu i krwisz przesiedlowanych miotów, nie przypuszczam nawet, by mnie kiedykolwiek los znów w te strony przetruszył. Wówczas byłem młody, pełny nadziei, ale niewolnik we własnej Ojczyźnie; dziś, jakkol - wiek pod przemianami lat, pełnych zawodu i trudu, pochylony, lecz ze spier - nionymi nadziejami, które od najwczesniejszych miodoci żywieni, mogą zawo - iac ze sądzonym Symeonem: "Piac sinę Twego, Panie, w pokoju, gdyż oczy moje oglądaly spawienia".

Gęszyn jest wioską zapadłą; powiatowe miasto dość daleko, a Gra - powiec, gdzie w ostatnim czasie urząd pocztowy utworzono, - to licha osada. Mogło się mi tu czasem przykrzyć, ale na szczęście zawsze o mnie pamiętają cy X. Józef Janiszewski nadzyszał mi od czasu do czasu sporo paczek książek tak, że zawsze w wolnej chwili miałem się czym rozzerwać.

Z tej ofiary szanownego księdza korzystała również miastowa ludność tak wai jako też kolonia. Rozszerzen o pożyczanie "czegoś do czytania" mia - jem tyle, że każda przystępna dla wiejskiego czytelnika książka wędrowała z ręk do ręk. Jak zaś wzrastające zamiłowanie do czytania było między ty - mi początkami ludami, świadczą następujący szczegóły: Niedługo stołarz ze wsi nawiązkim Trochimowicz, Rusin prawosławny, posiadający ze sobą mają - tek nędzną ziemiankę, w której z rodzinną mieszkał, sam czytał wcale nie umiający, pożyczali ode mnie książki, które mu syn wyroster w domu odczy - tywał. Po przeczytaniu, a raczej po wyświechaniu przeczytania, odnosił mi książkę z podziękowaniem i prosił o drugą. Nie mógł się dość nachwalid książki p. t. "Ziy czar" Jana Łady. Jeżeli więc ożywczość to umorzania - niący wpływ na ludność wywierali, główna zasługa przypada X. Józefowi Janiszewskiemu.

Prawda, że wiele tych książek bezpowrotnie mi u ludzi zginęło. Ale trudno. Każda ofiara na cel dobry poniesiona zwraca się kiedyś stokrotnym plonem.

Okres powojenny był bardzo ciężki, szczególnie dla zniszczonego rolnika. Ale ja, nawiedzony tyloma nieszczęściami w rodzinie, egzystencję miałem bardziej niż kto inny niewesołą. Brak gotówki dotkliwie odczuć się dawał, jak zwykle na świeżo zakładanym gospodarstwie. I byłbym sobie nie dał tak łatwo rady, gdyby nie bezinteresowna usłużność jednego z moich starych przyjaciół. Jest nim Bartłomiej Broda, rodem z położonej między widłami Wisły i Sanu wsi Wrzawy. Od chłopięcych lat zmuszony on był ciężko pracować jako bezdomny i bezrolny najmity. Złatwiej więc odczuwał niedolę drugich. Będąc wyrostkiem, zarabkował na folwarku, później chodził na flis, a skoro flisy upadły, przyjął służbę gospodarszą rolnego, u Feliksa Gutowskiego w Nadbrzeziu, gdzie przesłużył 17 lat. Nie pije on żadnych trunków, nie pali tytoniu. Grosz każdy oszczędzał, wszystkiego sobie odmawiał prawie do skąpstwa.

Dobiegając czterdziestki, miał już uciukaną sumkę półczwarta tysiąca koron, złożoną na książeczkę w tarnobrzesckiej powiatowej kasie oszczędności. W r. 1915 dostał posadę woźnego przy Studium Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tu dalej oszczędzał, ile mógł, wiedząc samotne życie spartanina. Wreszcie spadła na niego klęska. Szalejąca inflacja spowodowała spadek krwawych jego oszczędności - prawie do zera. Mimo tej straty nie zmienił trybu życia, oszczędzał po dawnemu, a skromne te oszczędności nadsyłał mi co pewien czas tytułem pożyczki. Tak więc dzięki uczynności kochanego Bartka dokonałem jako tako budowę domu, postawiłem stodołę.

Prawda, że wiele tych książek bezpowrotnie mi u ludzi zginęło.

Ale trudno. Każda ofiara na oświatę ponosiła zwraca się kiedyś

stojącym pionem.

Okres powojenny był bardzo ciężki, szczególnie dla niezamożnego

rolnika. Ale ja, nawiedzony tyfem nieszczęśliwie w rodzinie, egzyster-

cję miałem przetrwać nie jako inny niewesoły. Brak gotówki dotkliwie od-

czuć się dawał, jak zwykle na wieść zakładanym gospodarstwie. I gdyby

sobie nie dał tak łatwo rady, gdyby nie bezinteresowna uciążliwość jedne-

go z moich starszych przyjaciół. Jest nim Bartłomiej Broda, rodem z pogo-

łonej wieśniacy widziałem w Warszawie. Od chłopięcych lat znu-

żony on był ciężko pracować jako bezdomny i bezrolny najemca. Zawsze

więc odczuwał niedolę drugich. Będąc wyrocznikiem, zarabkował na folwarku,

poświęcając chodząc na rękę, a skoro rękę upadła, przyszedł znowu gospodar-

stwa rolnego, a Feliks Gutowskiemu w Nadbrzeziu, gdzie przeżył 17

lat. Nie pije on żadnych trunków, nie pali tytoniu. Groźną każdą oszczęd-

ność, wszystkie swoje odzwalał prawie do skąpstwa.

Dobiegał do ostrejszych, miał już ułożoną sumkę pożyczki

tytułu Koron, złożoną na książeczkę w tarnobrzaskiej powiatowej kasie

oszczędności. W r. 1918 dostał posadę wójtowską przy Studium Rolniczym

Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tu dawał oszczędzać, nie mógł,

wiedząc ułomne życie aparytarnie. Wreszcie spadła na niego klęska. Sz-

łaćca inflacja spowodowała spadek krwawych jego oszczędności - prawie

do zera. Mimo tej straty nie zmienił trybu życia, oszczędzał do dawnemu,

a skromne te oszczędności nadawał mi co pewien czas tytułem pożyczki.

Tak więc dzięki uszywności Kochanego Bartka dokonałem jako tako bud-

owę domu, postawiłem stodołę, a później sklepik, nie dając sobie

żadnych przyjemności, które mi się zdarzały w domu

moim, to przetrzymałem, a teraz po wojnie przetrzymam, chociaż

nie mam już w domu ani grosza. Nie mogę się dłużej

trzymać. W r. 1921, jak już wspominałem, dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1922 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1923 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1924 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1925 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1926 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1927 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1928 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1929 dostałem

z tytułu pożyczki 1000 zł. W r. 1930 dostałem

71
X.

Zmiana siedziby. - Na wielkopolskiej
ziemi. - Coś tam o źródełku.

"Oj, nie tak się trzyma
Własny cień człowieka,
Jako smutek tego,
Co przed nim ucieka !..
Chodziłem za plugiem,
Chodziłem za broną,
A wszędy poniosłem
Duszę zasmuconą".

Powyższe słowa poetki, tak trafnie określające dolę chłopca, śmiało
mogę do siebie stosować. Zawsze i wszędzie, gdzie się tylko ruszyłem, "po-
niosłem duszę zasmuconą", - przecież - wyrażając się słowami Laskowskiego

... "smutki trzymając pod strażą,
szedłem przez życie z usmiechniętą twarzą",

i nikt, kto przywykł sądzić człowieka li tylko z jego powierzchowności, ni-
gdy nie odgadł, co się w mej duszy działo, a działo się w niej zgoła nie
wesoło.

Zauważyłem powoli, że także najmłodsza córka niedomaga i choć pytana
odpowiadała stale, że nic jej nie brakuje, ale ojcowskie serce oszukać się
nie dało. Więc długa choroba i wreszcie śmierć Broni, potem groźna, choć
szczęśliwie przetrwana choroba duru tych dwojga najmłodszych, nakoniec źle
wróżące niedomaganie Zosi, - czyżby wszystko to jeszcze nie dopełniało
miary ?

By móc zapobiec grożącym nieszczęściom, trzeba być w dużo, w bardzo
dużo korzystniejszych warunkach materialnych, inaczej bowiem - jak się wy-
raził w piśmie do starosty Hłynia minister Raczyński - zginie rodzina. To
też poseł Sobek, wcale nie proszony, ale umiejący wniknąć w duszę ludzką,
starał się w Głównym Urzędzie Ziemi o przydzielenie mi 10 mórg ziemi
w Gdeszynie; lecz w tej miejscowości ziemi do dyspozycji rząd już nie miał.

Więc w czerwcu 1923 r. wniosłem na ręce posła St. Rymara prośbę do
sejmu o przydzielenie mi na dogodnych warunkach odpowiedniego kawałka zie-
mi z któregoś majątku państwowego. Tę moją prośbę - jak podały komunikaty
dziennikarskie - poparli wszyscy członkowie komisji rolnej bez różnicy
stronnictw, a ówczesny kierownik Głównego Urzędu Ziemi / na ministerst

12
X.
Zmiana siedziby, - Na wielkopolskiej
siedz. - Coś tam o śródeku.

"Oj, nie tak się trzymaj
Wzany cien człowiek,
Jako smutek jego,
Co przed nim nieśmiałość...
Głębokim za piętrem,
Głębokim za piętrem,
A weseły poniosłem
Przez szumowanie".

Konopnicki.

Powiesz słowa psutki, jak trznie okradające dole chłopca, śmiejąc
może do siebie słowem. Nawaz i wazdzisz, gdzie się tylko trzymasz, "po-
nieśmiesz duszę szumowanie", - przyciesz - wyrządzając się słowami Laszkowskiego
... "smutki trzymają pod strażą,
szedłem przez życie z namiętną twarzą".
i nikt, kto przywykł szacie człowieka i tylko z tego powierzonności, ni-
edy nie ogadzi, co się w mej duszy dzieje, a dzieje się w niej zgła nie
wesoło.

Zauważysz powoli, że także najniebezpieczniej niebezpieczny i choć pytasz
odpowiadając stale, że nie tak nie praktycznie, ale odpowiedź serce oszukuje się
nie dafu. Właśnie dlatego choroba i wreszcie śmierć Broni, potem Grozna, choć
zaczęliście przetrwać choroba durnych dwóch najniebezpieczniej, natomiast nie
władzę niedomaganie Zosi, - czyżby wszystko to jeszcze nie dopełniało
miary?

Być może zupełnie groźnym niebezpieczeństwem, trzeba być w dafu, w bardzo
duże korzystniejszej warunkach materialnych, inaczej bowiem - jak się wy-
raził w piśmie do starosty Hymna minister Rezyński - zginię rozbicie. To
też poseł Gódek, wcale nie przemyślany, ale umiarkowany, widać w dafu ludzka,
staraj się w Głównym Urzędzie Gminnym z Niemkiem o przydziałenie mi 10 morgi ziemi
W Gószynie, lecz w tej miejscowości ziemi do dyspozycji rząd już nie miał.

Właśnie w czerwcu 1923 r. wniosłem na ręce posła St. Rymera prośbę do
sejmu o przydziałenie mi na dogodnych warunkach odpowiedniego kawałka zie-
mi z któregoś majątku państwowego. Te moje prośbę - jak podały komunikaty
dziennikarskie - poparli wszyscy członkowie komisji rolnej bez różnicy
stronnictwa, a ówczesny kierownik Głównego Urzędu Gminnego / na minister

two reforma rolnych później przemianowanego / przyrzekł ją przychylnie załatwić.

Na tym miejscu nie mogę pominąć drobnego, a jednak wiele mówiącego szczegółu. Oto treść rzeczzonego komunikatu była tak osobliwa, iż zdawać się mogło, że rząd przydzielił mi g r a t i s jakiś folwark. I rzeczywiście takie musiało być unięmanie czytających, skoro od wielu znajomych, nawet z Ameryki, otrzymałem gratulacje „z powodu podarowania przez rząd folwarku”... O, ironio!

Na skutek rzeczzonej prośby ministerstwo reform rolnych pismem z d. 10 lipca 1923 r. Nr. 3470/P.O. przyznało mi 15-hektarów „z zastrzeżeniem, iż z chwilą przydzielenia mi działki ziemi posiadanej w Gdeszynie kolonię odsprzedam małorolnym lub bezrolnym”. Zastrzeżenie zresztą zbyteczne, gdyż czyto na uruchomienie nowego gospodarstwa, czy wreszcie na ratowanie chorych dzieci ziemię w Gdeszynie musiałbym sprzedać.

Faktyczny przydział nastąpił dopiero późną jesienią 1924 r. we wsi Karwin ziemi Proszowskiej. Do uprawy nietkniętego pługiem od ostatnich żniw pola można było przystąpić dopiero z wiosną następnego roku, albo wtem dzierżawca, powołując się na przysługujące mu prawa dzierżawne do końca grudnia 1924 r., orać zabronił.

W międzyczasie dowiedziałem się, że owa przyznana mi działka projektowana była przedtem do rozdziału między sześciu miejscowych gospodarzy celem uzupełnienia ich karłowatych gospodarstw, oraz że pozostały po rozparcelowanym majątku Karwin 15-hektarowy ośrodek jest w całości do sprzedania. Nie chcąc przeto owym gospodarzom dać powodu do narzekania, iż z mej przyczyny przydział ich ominął, wniosłem do ministerstwa reform rolnych podanie o przydział tegoż ośrodka.

Tymczasem znalazłszy kupca na gdeszynską kolonię, pobrałem odeń zaliczkę, której część przesłałem do państwowego banku rolnego tytułem zadatku na przyznaną mi działkę w Karwinie, za pozostałą zaś resztę w styczniu 1925 r. wyprawiłem córkę Marię na kurację do Zakopanego.

Podanie moje o przydział ośrodka zostało przychylnie załatwione i zaraz t.j. przy końcu kwietnia 1925 r. na wezwanie powiatowego urzędu ziemskiego w Miechowie przyjechałem do Karwina, by natychmiast mimo spóźnionej pory zająć się uprawą leżącej w całości odłogiem ziemi.

Ośrodek ów - to pożalowania godna ruina. Sporą przestrzeń zajmo-

zwoleńca rolnych podmiotów przemianowanego / przywrócić je przychylnie
zaświadc.

Na tym miejscu nie mogę pominać drobnego, a jednak wiele mówią-
cego szczegółu. Oto treść rozporządzenia Komunikatu było tak osobliwa, iż
zabawa się mogła, że rząd przywrócił mi 3 r a t i a jakiś folwark. I
zrozumiałe takie musiało być wniwianie czytających, skoro od wielu
znajomych, nawet z Ameryki, otrzymałem gratulacje " z powodu podaw-
nia przez rząd folwarku" ... O, ironio!

Na skutek zwołanej próby ministerstwo reform rolnych pismem z d.
10 lipca 1923 r. Nr. 4470/P.O. przyznało mi 15-hektarów " z zastrzeżeniem -
niem, iż z chwilą przywrócenia mi działki ziemi posiadanej w Górzynie
kolonie odebranych majątkom lub bezrolnym". Zastrzeżenie kreuje zby-
teczne, gdyż czyż na urzeczomienie nowego gospodarstwa, czy wręcz na
ratowanie chorzyh dzieci ziemi w Górzynie musiały być sprzedane.

Faktyczny przywrócenie nastąpił dopiero późną jesienią 1924 r. we wsi
Karwin ziem Przemyskiej. Do uprawy niekniętego piątkiem od ostatnich
dni pola można było przystąpić dopiero z wiosną następnego roku, albo
wtem datowano, powołując się na przysięgające mu prawa dziedziczne do
konca grudnia 1924 r., oraz zapomniał.

W międzyczasie dowiedziałem się, że owa przyznana mi działka pro-
jektowana była przedtem do rozdania między część miejscowych gospodar-
zy celom uzupełnienia ich karłowatych gospodarstw, oraz że pozostały po
rozparcelowanym majątku Karwin 15-hektarowy ośrodek jest w całości do
sprzedania. Nie chcąc przezto owym gospodarzom dać powodu do narzekania, iż
z mej przywrócony przywrócić ich ominię, wniosłem do ministerstwa reform
rolnych podanie o przywrócenie tegoż ośrodka.

Tymczasem znalazłszy kupca na górzynską kolonię, poprzem oden
zaliczkę, której część przesłałem do państwowego banku rolnego tytułem
zadatku na przyznana mi działkę w Karwinie, za pozostałą zaś resztę
w styczniu 1925 r. wypłaciłem córce Marię na kursję do Zakopanego.

Podanie moje o przywrócenie ośrodka zostało przychylnie załatwione
i zaraz t.j. przy końcu kwietnia 1925 r. na wezwanie powiatowego urzędu
ziemskiego w Mielchowie przyjechałem do Karwin, by najwyhmiasz mimo
zgodzonej przywrócić się uprawę lasów w całości odległym ziemi.
Ośrodek ów - to poleżowania godna trzina. Spór przeszedł zażmo-

wały doły oraz lekką warstwą przykryte rumowiska już to po zburzonych już też po spalonych zabudowaniach gospodarczych, jak zwykle na wielkich, nie mających stałego gospodarza, folwarkach. Ogród dość duży, ale nie ogrodzony, zaniedbany, zdziczały, całkowicie zarosły bezużytecznymi krzakami i odrosłami; drzewa owocowe na pół obumarłe, wypróchniałe, chore. Były w ośrodku tym dawniej stawy rybne, ale z powodu zaniedbania od szeregu lat, zamieniły się w bezużyteczne mokradła. Najgorzej wszakże przedstawiały się budynki - rudery.

Na nowej tej posiadłości gospodarzyłem na razie sam; rodzina została w Gdeszynie aż do uregulowania stosunków, co wymagało więcej czasu.

W drugiej połowie maja przyjechała do mnie na stażę Zosia. Mąż jej, któremu ona oddała najlepszą swej duszy część, pracując z poświęceniem mimo dolegającej niemocy nad pogłębieniem jego edukacji, w stosunkowo krótkim czasie okazał się duchowym karłem. Bo nie tylko że odmówił jej środków na dalsze leczenie, ale nawet na zwykłe utrzymanie, narażając ją nadto postępowaniem swym na rozstrój nerwów i chorobę serca.

W niedługim czasie po przybyciu Zosi przyjechała z Zakopanego Marysia ze znacznym polepszeniem zdrowia; a kiedy nieco później przyjechała także na stażę żona, wyprawiłem Zosię za poradą lekarzy do Szczawnicy, gdzie do późnej przebywała jesieni.

Na tym miejscu wspomnieć wypada bodaj pokrótce o dalszych losach gdeszyńskiej szkoły powszechnej.

Skoro z powodu choroby Zosi stanowisko nauczyciela objął zastępczo Ignatowski, przydzielił mu inspektor siłę pomocniczą w osobie młodego nauczyciela, niejakiego Nowaka. Nowy ten nauczyciel wszelako nie długo bawił w Gdeszynie, bowiem Maciej Stopyra postarał się u inspektora o przeniesienie go gdzieś indziej, by na jego miejscu umieścić - swoją żonę. Po wyjeździe Zosi z Gdeszyna przeniesiono również Ignatowskiego, a miejsce po nim objął brat żony Stopyry, St. Sadowski, b. posiadacz blisko 40 morgów ziemi z rozparcelowanego w Gdeszynie majątku. Wreszcie Stopyra „wypolitykował” dla tejże szkoły jeszcze trzecią siłę, tym razem kierowniczą, w osobie - własnej!

Tak mając gwarancję pewnego oparcia, zabrał się pan Maciej energicznie do stawiania budynku na pomieszczenie szkoły. Pomimo że szkoła

gdeszyńska na własne doskonałe place, postawił Stopyra ten budynek na swoim placu i ze swego materiału z iście amerykańskim pośpiechem - w ciągu kilku tygodni. Pensje nauczycielskie dobre, bo dobre, ale i czynsz z budynku też nie zły.

W drugiej połowie stycznia 1926 r. zaproszony przez X. Janiszewskiego wyjechałem do niego, do Grębanina we Wielkopolsce, dokąd powrócił z Bukowiny. Przyjął mnie i ugościł nadzwyczaj serdecznie, starając się mi we wszystkim dogadzać; baczył nawet, by mi nie brakło papierosów, bez których ja obejść się nie umiem, a których on jako abstynent nie tylko nie pali, ale nawet palenie tytoniu jako szkodliwy nałóg zawzięcie potępia...

Mimo środka zimy panowało wówczas prawie że wiosenne ciepło. Zainicjowałem więc mój czcigodny gospodarz wycieczkę do Poznania, chciał bowiem, ażebym - jako pierwszy raz na ziemi wielkopolskiej goszczący - z wycieczki tej odniósł większą duchową korzyść. Z Poznania mieliśmy się udać do Gniezna, a stąd w stronę, gdzie

Lśni siną taflą Gopła krynica,
A nad nią jedno z najstarszych miast,
Pierwotnych Polan sławna Kruświca,
Kędy nasz praszczur kołodziej Piast
W dzień ów postrzyżyn syna, wesoly,
W niskich swych progach gościł anioły

lecz z powodu nieprzewidzianych przeszkód Kruświcy z wielkim moim żalem nie mogliśmy zwiedzić.

Zaraz po przyjeździe do Poznania zawiódł mnie X. Józef do swego brata, lekarza Dr. Stanisława Janiszewskiego. Tu, mimo że byłem zupełnie obcy, przyjęty zostałem i ugoszczony po staropolsku. Przenocowawszy u pp. Dr. Janiszewskich, rankiem dnia następnego pojechaliśmy do Gniezna.

Niewysłowionego doznałem uczucia, oparłszy pierwszy raz w życiu stopę na tej kolebce polskiego narodu. Wszak Gniezno, Kruświca i Kraków to miasta, które pierwsze przed innymi polskimi miastami uczyłem się jako siedmioletni chłopak nazywać i pamiętać.

Pierwsze kroki skierowaliśmy ku katedrze, lecz z powodu dokonanej w niej niedawno kradzieży zastaliśmy ją zamkniętą. Więc to tu, na tym wzgórzu, ów przedhistoryczny Lech, znalazłszy gniazdo białych orłów, rzekł do towarzyszków: „Gnieźdźmy się tu!” - i założył około 550 r. osadę,

Głównym zadaniem było wybudowanie placu, postawienie stopnia i budynku na
 swoim placu i ze swego materiału i łatwie amerykańskim sposobem
 w ciągu kilku tygodni. Ponadto namierzano także dobre, do dobre, ale i
 czynne z budynku też nie było.

W drugiej połowie stycznia 1923 r. zaproszony przez K. Janaszew-
 skiego wyjechałem do niego, do Grabanina we Wielkopolsce, dokąd powrócił
 z Bukowiny. Przyjeżdżał mi i ugodził nadawczych serdecznie, starając się
 mi we wszystkim dogadać; począł nawet, by mi nie brakło papierosów,
 bez których ja obijać się nie umiem, a których on jako szarym nie był.
 Kości pałi, ale nawet palenie tytoniu jako szkodliwy naóg uważało
 popija...

Mimo środków zimy panowało wówczas prawie że wiosenne ciepło.
 Zainicjowałem więc mój czeladny gospodarz wyjechał do Poznania, chociaż
 bowiem, sądziłem - jako pierwszy raz na ziemi wielkopolskiej goszczący -
 z wyjątkiem tej odnośnej wspaniałej duchowej korzyści. Z Poznania mieliśmy
 się udać do Gniezna, a stąd w stronę, gdzie

Ient sine talis Gopis Krynicia,
 A nad nie jedno z najstarszych miast,
 Pierwotnych Polaków iżawa Krawiec,
 Kiedy nasz przaszcz Kozłowski Plasz
 W dzień ów postąpił w głąb, wesoły,
 W niskich swych progach Gosił anioły -

Iac z powodu nieprzewidzianych przeszkód Krawiec z wielkim moim żalem
 nie mogliśmy zwiedzić.

Zaraz po przyjeździe do Poznania zawiadziłem wie X. Józef do swego
 go brata, lekarza Dr. Stanisława Janaszewskiego, Tw, mimo że byłem zupełnie
 nie opody, przyjeżdżał z nami i ugodzony po staropolsku, przeszedłszy
 u pp. Dr. Janaszewskich, rankiem dnia następnego pojechaliśmy do Gniezna.
 Niezadowolonego doznaniem uczucia, oparłszy pierwszy raz w życiu
 stopę na tej kolebce polskiego narodu. Wszak Gniezno, Krawiec i Kraków
 to miasta, które pierwsze przed innymi polskimi miastami uziły się ja-
 ko siedmiocentni chłopak narządo i pamięć.

Pierwszą proki skierowaliśmy ku katedrze, lecz z powodu dokona-
 nej w niej niedawno kradzieży zastaliśmy ją zamkniętą. Więc to tu, na
 tym wzgórku, ów przedhistoryczny Lech, zmalowany gniazdo ptaków orla,
 rzeki do czołgarzów: „Gnieźdzą się tu” - i zaszyli około 380 r. osadę.

nazwawszy ją Gnieznem. Tu - jak podają stare kroniki - stała dawniej świątynia pogańska bogini Niji, a Mieczysław I po przyjęciu chrztu św. w r. 965 wystawił na miejscu tym kościół katedralny. Tu pochowano zwłoki Dąbrowki. W tej katedrze spoczywa ciało św. Wojciecha. Tu, do grobu tegoż apostoła r. 1000 pielgrzymował cesarz niemiecki Otton III, a tak był przyjęciem i bogactwem Bolesława Chrobrego olśniony, że włożył mu na głowę koronę królewską.

Cała nasza przeszłość dziejowa stanęła jak żywa przed wyobraźnią moją, gdy w skupieniu ducha poglądałem na te czcigodne mury okazałej świątyni, a uczucia te potęgowało przeświadczenie, że nareszcie po półtorawiekowej niewoli znowu zjednoczona Polska oddycha swobodą.

Wieczorem byliśmy z powrotem w Poznaniu i przenocowawszy u doktora Janiszewskich, na drugi dzień wybraliśmy się na zwiedzenie osobliwości nieznanego mi dotychczas miasta. X. Janiszewski był w roli cicerona. Ale ktoby tam w krótkim czasie wszystko obejrzał! Tylko katedrze mogłem się bliżej i dłużej przypatrzeć.

W katedrze tej najbardziej podobała się mi kaplica, królewską zwaną, w której znajduje się grobowiec z prochami Mieczysława I i Bolesława Chrobrego oraz bronzowe pomniki tychże królów, rzecz chyba najpiękniejsza w całej katedrze. Mieczysław poważny dzierży krzyż na znak, że to za jego panowania naród polski przyjął chrześcijaństwo. Bolesław, cały w zbroję zakuty, o rysach twarzy, znamionujących nieugiętą wolę, lewą ręką wsparty w bok, prawą wsparł na mieczu. Co za siła i dostojność biją z tej postaci! Jakąż powagę zaklął w te bronzy artysta! Patrzyłbyś, człeczku, na pomniki te i patrzył i nie mógłbyś się do woli napatrzeć.

Wiele godnych zwiedzenia osobliwości, jak biblioteka Raczyńskich, ratusz, zamek wilhelmowski i t.d. zastaliśmy ze względu na krótkie dni zimowe - zamknięte i musieliśmy się zadowolić zewnętrznym ich obejrzeniem. Zwiedziliśmy natomiast bliżej wystawę obrazów, oranżerię w ogrodzie botanicznym i ogród zoologiczny, jedyny w Polsce, okazały i pod każdym względem ciekawy zwierzyniec.

W trzecim dniu wycieczki, pożegnawszy się z zacnymi pp. Dr. Janiszewskimi i podziękowawszy im za gościnne przyjęcie, pokrzepiony tu na duchu doznanyimi wrażeniami, wyruszyłem z X. Józefem w powrotną drogę.

nasawany ja Galszem. Tu - jak podaję stare kroniki - stała dawniej
 świętynia pogańska bogini Nitti, a Mieszysław I po przyjęciu chrztu św.
 w r. 966 wystawił na miejscu tym kościół katedralny. Tu pochowano zwło-
 ki Dąbrówki. W tej katedrze spoczęła ciało św. Wojciecha. Tu, do grobu
 tegoż apostoła r. 1000 plebiscypował cesarz niemiecki Otton III, a tak
 był przyjętem i pogrzebem Bolesława Chrobrego ofiarowany, że wiszący na
 na głowę koronę królewską.

Cała nasza przeszłość dziejowa stanęła jak żywa przed wyobraźnią
 moją, gdy w skupieniu ducha przeglądałem na to czołowe mury okazałej
 świątyni, a uczucia te potęgowały przedświadczenie, że narazicie po pod-
 jarwiskowej niewoli znów zjednoczona Polska odgrywa swobodę.
 Wieczorem byliśmy z powrotem w Poznaniu i przenocowaliśmy u dokto-
 rstwa Janiszewskich, na drugi dzień wyruszyliśmy się na zwiedzenie ośro-
 dka niemieckiego miasteczka X. Janiszewki był w roli ośro-
 dka. Ale kiedy tam w krótkim czasie wszystko obejrzałem i tylko katedrę
 mogłem się bliżej i dłużej przypatrzeć.

W katedrze tej najbardziej podobała się mi kaplica, królewską
 zwaną, w której znajdują się grobowiec z prochami Mieszysława I i Boles-
 ława Chrobrego oraz brązowe pomniki tyższe królów, rzecz chyba naj-
 piękniejsza w całej katedrze. Mieszysław poważył dać krzyż na znak,
 że to na jego panowanie narodził się chrześcijaństwo. Bolesław,
 cały w szpota aszury, o rżach twarzy, znamionujących nieugiętą wolę,
 lewą ręką wpatrzył w bok, prawą wparł na miecz. Co za siła i dostojność
 była z tej postaci! Także powagę miał w te brzozy artysta i Patryk-
 był, czemu, na pomniki te i patrzył i nie mógłby się do woli napiętnować.

Wielce godnych zwiedzenia osobliwości, jak biblioteka Raczyńskich,
 ratusz, zamek wilhelmski i t. d. zastaliśmy ze względu na krótkie dni
 zimowe - zamknięte i wszelkiemu się zachowaliśmy zwrócić ich obejrze-
 niem. Zwiedzieliśmy natomiast bliżej wystawę obrazów, ornamentalną w ogólnie
 potężnym i ogólnie estetycznym, jedynym w Polsce, okazją i pod każdym
 względem ciekawą zwiedzającym.
 W trzech dni wycieczki, poświęcając się z naszymi pp. Dr. J. -
 niszewskimi i podziękowaliśmy im za gościnne przyjęcie, pokrzepiony tuż na
 duchu domowymi wrażeniami, wyruszyłem z X. Józefem w powrotną drogę.

76

Wysiedliśmy na stacji Gądk, skąd potem pojechaliśmy do Kórnik. Tu zwiedziliśmy ów wspaniały zamek, przekazany wraz z przyległościami przez ostatniego właściciela, Władysława hr. Zamoyskiego, na własność Rzeczypospolitej Polskiej.

Jest to godna zwiedzenia osobliwość. Sam zamek, zbudowany podobno w XV w., przebudowany w ubiegłym stuleciu, otoczony dokoła głęboką, wodą napełnioną fosą, sprawiałby wrażenie dawnej, mniejszych rozmiarów twierdzy, gdyby nie jego lekka, wdzięczna struktura. Do zamku przylega śliczny i duży, jakkolwiek niezbyt starannie utrzymany park. Tuż obok zamku i parku, szosą zaledwie oddzieloną, srebrzy się gładka tafla podłużnego jeziora, w którego wodach przeciwnego brzegu przegładają się drzewa lasu. Widok naprawdę piękny.

W zamku mieści się bogate muzeum i spora biblioteka, zawierająca cenne rękopisy i stare druki. Na dokładne obejrzenie wszystkiego mieliśmy, niestety, zbyt krótki czas, z prawdziwym przeto żalem wracaliśmy na kolej.

W Grębaninie, wsi położonej pod Kępem, kościół jest drewniany, zbudowany w XVII w. Jest to jeden z tych dawnych kościołów, jakie już coraz rzadziej spotykamy, otoczony wieńcem starych lip i wiązów, schludnie utrzymany, miłe sprawia wrażenie. Tuż przy kościele ładna, murowana plebania, powstała w r. 1925 dzięki staraniom X. Janiszewskiego. Starą, drewnianą plebanie przeistoczył ten niestrudzony, dbający o oświatę swych parafian kapłan, na dom ludowy, w którym odbywają się zebrania, odczyty i przedstawienia amatorskie. Nieco zaś w bok od plebanii, na sztucznie usypanej wysepce, w samym środku zarybionej sadzawki wzniosł pomnik ku pamięci 85 poległych podczas wielkiej wojny parafian. Czytelnictwo ludowe w Grębaninie ładnie się rozwija. Czasopism rozmaitej treści prenumerują włościanie grębaninscy w ilości coś około 800 egzemplarzy, w tym samego „Przewodnika Katolickiego” z Poznania 270 egzemplarzy. Okazała cyfra !

Budynek szkolny w tejże wsi - jak wogóle większość szkół w b. za - borze pruskim - również godny jest uwagi. Sale przestronne, suche i jasne z dużą ilością sporych okien, ze specjalnymi wentylatorami do przewietrzania, - w porównaniu ze szkołami po wsiach w reszcie Polski, szczególnie w b. Kongresówce, gdzie po dziś dzień większość szkół mieści się w obskurnych, urągających najprymitywniejszym wymogom higieny norach, -

Wystawiliśmy na stołach 600, przed autem pojechał do Kórnik. Tu
zwiedziliśmy ów wspaniały zamek, przekazany wraz z przysięgami przez
ostatniego właściciela, Władysława hr. Łączyńskiego, na własność Rzeczy-
pospolitej Polskiej.

Test to godna zwiedzania oświadczył. Sam zamek, zbudowany podobno
w XV w., przebudowany w ubiegłym stuleciu, otoczony dookoła głęboką, wodą
napojoną fosą, sprawiałby wrażenie dawnej, mistycznej budowli twier-
dzy, gdyby nie jego łagodne, wdzięczne kształty. Do zamku przylega śliczny
i duży, jakkolwiek nie byłby starannie utrzymany park. Tuż obok zamku i par-
ku, a więc za ogrodem, stoi się świątynia, której świątynia podług tego-
ż, w którego wodach przeciwnego czasu przegadają się drzewa lasu. Wi-
dok naprawdę piękny.

W zamku mieści się bogate muzeum i spora biblioteka, zawierająca con-
nie rzadki i stare druki. Na doświadczenie opóźnienie wspaniałego miłośnika,
niezbyt, zbyt krótki czas, a prawdziwym przeto świątynią wrociliśmy na kolej.

W Grębaninie, wsi położonej pod Kępem, kościół jest drewniany, zbu-
dowany w XVII w. Jest to jeden z tych dawnych kościołów, jakie już coraz
rzadziej spotykamy, otoczony wiechem starych lip i wiązów, schładnie u-
trzymany, widać sprawia wrażenie. Tuż przy kościele ładna, murowana pleba-
nia, powstała w r. 1825 dzięki staraniom X. Janiszewskiego. Staro, daw-
niane plebanie przeliczają ten niestwierdzone, dający o świadectwo swych pa-
rten kapłan, na dom ludowy, w którym odbywała się sejmowina, odbyły i
przedstawienia amatorskie. Niesco zaś w bok od plebanii, na szczytnie uży-
wanej wyspce, w samym środku rozciągniętej sadzawki wznosił pomnik ku pa-
mięci 83 poległych podczas wielkiej wojny polskiej. Głębokość i szerokość
w Grębaninie ładnie się rozciąga. Grębanin rozciągał trzeci przymiarz
władanie Grębaninowy w ilości coś około 800 egzemplarzy, w tym samego
„Przewodnika Katolickiego” a Pomnika 270 egzemplarzy. Okazała cyfra!

Budynki szkolny w tejże wsi - jak wogóle większość szkół w p. sa -
bornej parafii - również godny jest uwagi. Sala przesłonna, sucha i jas-
na z dużą ilością sypich okien, ze specjalnymi wentylatorami do przewie-
trzenia, - w porównaniu ze szkołami po wsiach w reszcie polski, szczególnie-
nie w p. Kongresowce, gdzie po dziś dzień większość szkół mieści się
w opakowanych, niezgodnych najprymitywniejszym wymogom higieny porach,

śmiało nazwać można ostatnim wyrazem postępu w tej dziedzinie.

Kierownik tejże szkoły, Jan Wolanin, z powiatu niżańskiego w Małopolsce pochodzący, bardzo zadowolony z obecnej posady, opowiadał mi, że nauczyciele ludowi na wielkopolskiej ziemi dosięgają późnego wieku. Wierzę zupełnie, a nawet przekonany jestem, że dziatwa wychodzi z takiej szkoły z większym zasobem wiedzy i ze sprężystszą elastycznością członków, skoro na czyściutko utrzymanym placu szkolnym znajdują się urządzenia do gimnastyki. Biedne natomiast nauczycielstwo w b. Kongresówce, zmuszone przebywać w ciasnych, zatęchłych, wilgotnych, zimnych i kurzu pełnych lokalach, już w młodych latach traci zdrowie i często gęsto mrze na suchoty.

Do podniesienia gospodarstw i dobrobytu włóścian wielkopolskich przyczyniają się niemało starannie utrzymane bite drogi. Po takiej gładkiej drodze jedna para średnich koni bez wysiłku ciągnie dwa, wzdłuż z sobą zcepiione, worami zboża wyładowane wozy. Gdy tymczasem w najurodzajniejszych ziemiach Polski, jak w Hrubieszowszczyźnie i w ziemi Proszowskiej, będącej głównym spichrzem Krakowa, stan dróg, szczególnie podczas wilgotnych pór roku, jest tak przeraźliwie okropny, iż częstokroć dwie pary tęgich koni ledwie podołają uciągnąć pusty wóz. To też nieraz na drogach takich spotkać się można z odrażającym widokiem rozrywania przez psy ściierwa padłych z przemęczenia koni.

Obdarowanego książkami, rankiem 3 lutego odwiózł mnie X. Janiszewski do Kępna, a stąd po dłuższej przerwie pieszo odprowadził do stosunkowo odległej od miasta stacji kolejowej, gdzie prawie ze łzami pożegnawszy się z zacnym kapłanem i podziękowawszy mu za tyle okazanej mi serdecznej przyjaźni, wsiadłem do wagonu z pragnieniem jak najrychlejszego stanięcia w domu przy chorej, z utęsknieniem powrotu mego wyglądającej Zosi, by się z nią podzielić doznanymi wrażeniami.

Powróciwszy do Karwina, zauważyłem, że tryskające nieco dalej od domu ocembrowane źródło, przeczysta, ożywcza krynica, było szkaradnie zamoczone, przyziemna zaś betonowa cembrowina nazewnątrz i wewnątrz błotem ochlapana, nierówno na spodnim betonie stojąca, wskazywała, że ktoś ją zrzucił. Na wyjaśnienie tej zagadki nie długo czekałem. Oto kilku pomysło-

...miałe nazwę która ostatnim wyrazem postępu w tej dziedzinie.
 Kierownik tejże szkoły, Jan Wolanin, z powiatu niemieckiego w Maio-
 polce pochodzący, bardzo zadawany z obecnej posady, opowiadał mi, że
 naukowca ludowi na wielkopolskiej ziemi dostępną podanego wienu. Wie-
 rzę zupełnie, a nawet przekonany jestem, że dalsze wyhodai z takiej
 szkoły z większym zasobem wiedzy i ze sprężystą elastycznością czion-
 ków, skoro na przykładzie utrzymywania placu szkolnym znajduję się urzędze-
 nie do gimnazjki. Biedne natomiast naukowcaństwo w p. Konarskowie, zmu-
 szone przebywać w olaszach, węgierskich, węgierskich, węgierskich i kurzu pol-
 nych lekacjach, już w młodych latach traci zdrowie i często gęsto wrze na
 choroby.

Do podniesienia gospodarstwa i dobrobytu wiośnian wielkopolskich
 przyczyniają się niewiele starannie utrzymywane białe drogi. Po takiej biał-
 kiej drodze jedna para średnich koni bez większych ciężarów, wzdłuż z so-
 baj szerepione, wozami zwozi wyświeżone wozy. Gdy tymczasem w najtrudniej-
 szych miejscach ziemskich Polaki, jak w Krupieszowoszczynie i w ziemi Proszow-
 ekiej, będącej głównym epichizmem Krakowa, stan drog, szczególnie podczas
 wioznych pór roku, jest tak przeraźliwie okropny, iż czasokrotów dwi-
 parę takich koni ledwie podobają osiągnąć pułki wód. To też niemaż na
 drogach takich spotkać się można z odrażającym widokiem rozrywania przez
 parę dółów pędzących z przemieszania koni.

Opisane kaziemki, rankiem 3 lutego odwiedził mi X. Janaszew-
 ski do Kępsa, a stąd po dłuższej przerwie pieszko doprowadził do stoczni-
 wo odległej od miasta stacji kolejowej, gdzie prawie ze żmiami połączony
 się z swoim kapitanem i podałkowawczy mi ze tyle okazanej mi serdecznej
 przyjaźni, wsiadłem do wagonu z przemiennym jak natychmiastowego stanięcia
 w domu przy chorzy, z nieskazitelnym powrotem mego wyglądającej żoni, by się
 a nie podobnie doznany wróceniami.

Powróciwszy do Karpina, zauważyłem, że tryskające nieco dalej od
 domu ocmprwane śródio, przeczysła, ożywa krynica, było zakazanie zmu-
 cione, przytępna zaś betonowa cemprowina nazwaną i wewnątrz białem o-
 chizpans, nierówno na spodnim betonie stojące, wakszawia, że ktoś ją
 zmuszał. Na wyjaśnienie tej zagadki nie długo czekałem. Oto kilku gospodarzo-

wych Karwiniaków, wykorzystując moją nieobecność, przyszło tu pewnej nocy i, usunawszy wierzchni beton, pompując ciągle tryskające źródło i kopiąc i babrząc się w błocie po ciemku, poszukiwało w głębiach źródła ukrytych na jego dnie według miejscowej gadki nieprzeliczonych skarbów ... Ale, niestety, mimo tak żmudnej i niezbyt przyjemnej pracy, wszyscy owi poszukiwacze złota odeszli od źródła z tym samym bogactwem, z jakim byli przyszli.

Na krótko przed tym wypadkiem, nakładem dużych kosztów i żmudnej pracy ukończyłem wybieranie nieużytecznego od szeregu lat stawu. To też patrząc na zbrukaną krynice, oddałem się żalostnemu rozmyślaniu: Szkoda, że wcześniej psychicznej strony ludzi tutejszych nie poznałem! Bo byłbym paroma, rzekomo w namule stawu znalezionymi dawnymi monetami ściągnął ich do wybierania szlamu, roboty, do której wielką mieli odrazę... A byłiby mi w te pędy nietylko galante i małym kosztem cały staw wyczyścili, ale tym samym nawet i przyległe moczary osuszyli.

skromnej ucsty przy udziale szczupłego gronka najbliższych przyjaciół, wyjechałem do Odessyna.

Podróż koleją z Krakowa ku Hrubieszowowi nietylko z powodu dalekiej drogi, ile z braku dogodnego połączenia, trwa zbyt długo i jest męcząca. Ledwie po męczącej tej drodze cokolwiek wypocząłem, doręczono mi depeszę z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do domu z powodu pogorszenia się stanu zdrowia Zosi. Wyjechałem więc najbliższym, wiedzornym pociągami.

Do domu dostałem się w sobotę 24 kwietnia o godz. 11 w nocy. Wróciłem zapóźno ... Powitalny pocałunek złożyłem na skronie już czule Zosi... Już mnie nie przywitała słodkim uśmiechem kochających swych oczu, za mknącymi jej wleczykami w sześć godzin przed moim powrotem. Przeczyła lat 24

Niestety, nie napisała mi ostatnich słów pożegnania, któreby ulga sercu przyniosły. Snać brakło jej siły. W ostatnich swych chwilach wady - szła wobec oszawiającej przy niej matki, „by tatuś choć na pogrzech zdołał przyjechać”... W przeddzień śmierci był u niej doktor z Proszowic. Jemu to, nie mogąc mówić, piórem śmiałym i czytelnym nakreśliła następujące słowa: „Brak zupełny siły - uciążliwy ból sercem wielki, jeśli mi pió nie mogę,

Słabo w niej tlejąca iskra życia po moim wyjeździe gasnąć szybko poczęła. Uprzątnęła sobie biedna miejsce, do którego pojechałem; niej -

wyich karwinisków, wyrozrywając moją nieobecność, przyzwoicie tu pewnej
noy i, uamawiający wierzchni beton, powpując ciągle tryskające źródła
i kopiać i bapraso się w bicia po ciemni, pozunkiwano w głębiach
źródła ukrytych na tego dnia według miejscowej gadki nieprzebieżonych
skarbów... Ale, niestety, mimo tak kładnej i niezbyt przyjemnej pracy,
wazyący ovi pozunkiwano zlofa odeszli od źródlia z tym samym pogodzeniem,
z takim byli przyzwoili.

Na krótko przed tym wypadkiem, nakładem dużyich kosztów i śrub-
nej pracy ukochany wybitnie niewyjątkowego od szeregu lat stanu. To
jeś bapraso na zbirkaną krynice, odczajem się zafonemum rozmawiałmu :
zakoda, że woszeniej psychicznej strony ludzi tutajżych nie poznajem i
Bo bypym paroma, rzekomo w namie stanu analizowanymi dawnymi monetaimi
szczęśliwie ich do wybitnie szlamu, robóty, do której wielkie miał od -
razę... A byliśmy mi w te pedy nie tylko Galante i miłym kosztom cary
staw wyzwościłi, ale tym samym nawet i przyjezie moczary osazali.

[Faint, mostly illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.]

[Faint, mostly illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.]

Śmierć Zosi.- Pożądany gość.- W stro-
nach rodzinnych.- Śmierć Maryni.

Przyjaciel Bartłomiej Broda, dobiegając już pięćdziesiątki, przy-
szedł do wniosku, że „nie dobrze być człowiekowi samemu” i postanowił
się ożenić. Zaprosił nas więc do Krakowa na dzień 18 kwietnia 1926 r.,
jako termin swego ślubu. Żał mi było opuszczać chorą Zosię, której bez
mego towarzystwa zawsze się przykrzyło, ale skoro sama jąka mnie nama-
wiać, bym jechał i przykrego zawodu pocziwemu Bartłomiejowi nie robił,
zdecydowałem się jechać z uplanowanym zamiarem, że po uroczystości ślub-
nej pojedę prosto do Gdeszyna w sprawie ostatecznego uregulowania tam
interesów.

Wybrana Bartłomieja, Bronisława Lipczyńska, była ubogą, lecz pra-
cowitą, gospodarną i zbiegłą, starszą już dziewczyną ze wsi Wierzcho-
sławice. Wieczorem następnego dnia po weselu, które ograniczyło się do
skromnej uczy przy udziale szczupłego gronka najbliższych przyjaciół,
wyjechałem do Gdeszyna.

Podróż koleją z Krakowa ku Hrubieszowu nietyle z powodu dalekiej
drogi, ile z braku dogodnego połączenia, trwa zbyt długo i jest nużąca.
Ledwie po męczącej tej drodze cokolwiek wypocząłem, doręczono mi depeszę
z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do domu z powodu pogorszenia się
stanu zdrowia Zosi. Wyjechałem więc najbliższym, wieczornym pociągiem.

Do domu dostałem się w sobotę 24 kwietnia o godz. 11 w nocy. Wró-
ciłem zapóźno ... Powitalny pocałunek złożyłem na zimnym już czole Zosi...
Już mnie nie przywitała słodkim uśmiechem kochających swych oczu, za-
mknawszy je wieczyscie w sześć godzin przed moim powrotem. Przeżyła lat 28

Niestety, nie napisała mi ostatnich słów pożegnania, któreby ulgę
sercu przyniosły. Śnać brakło jej siły. W ostatnich swych chwilach wzdy-
chała wobec czuwającej przy niej matki, „by tatuś choć na pogrzeb zdołał
przyjechać”... W przeddzień śmierci był u niej doktor z Proszowic. Jemu
to, nie mogąc mówić, pismem śmiałym i czytelnym nakreśliła następujące
słowa: „Brak zupełny siły - ucisk pod sercem wielki, jeść ni pić nie mogę”

Słabo w niej tlejąca iskra życia po moim wyjeździe gasnąć szybko
poczęła. Uprzytomniła sobie biedna miejsce, do którego pojechałem; miej -

Smierć Zosi - Pośledniy God - W sro-
nachu rozbijanych - Smierć Maryni.

Przyjaciel Bartłomiej Broda, dobiegając już pięćdziesiątki, przy-
szedł do wniesku, że „nie dobrze być całowiskowi samemu” i postanowił
się ożenić. Zaprosił nas więc do Krakowa na dzień 18 kwietnia 1926 r.,
jako terrain swego ślubu. Żał mi było opuścić chore Zosię, której bez
mego towarzysztwa zawsze się przykrył, ale skoro sama była mnie sama -
wład, tym jednak i przykrego zawodu pozostawiam Bartłomiejowi nie robił,
zdecydowałem się jednak z uplanowanym zamiarem, że po uroczystości ślub-
nej pojedę prosto do Górzyna w sprawie ostatecznego uregulowania tam
interesów.

Wyprawa Bartłomiej, Bronisława Lipczyńska, była upog, lecz pra-
cowit, gospodarna i zadziwiona, starała już dawno przed ze wst. Wiercho-
ślawice. Wieczorem następnego dnia po weselu, które ograniczyło się do
skromnej uczy przy udziale szczupłego gronka najbliższych przyjaciół,
wyjechałem do Górzyna.

Podróż koleją z Krakowa ku Hrubieszowu nie była z powodu dalekiej
drogi, ile z braku dogodnego połączenia, trwa zbyt długo i jest nudną.
Ledwie po miesiącu tej drodze cokolwiek wypocząłem, doręczono mi depeszę
z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do domu z powodu pogorszenia się
stanu zdrowia Zosi. Wyjechałem więc najbliższym, wieczornym pociągkiem.

Do domu dostalem się w sobotę 24 kwietnia o godz. 11 w nocy. Wró-
ciłem zapóźno... Powitalny poczynek złożyłem na swoim już czole Zosi...
Jus mnie nie przywitała śladem uśmiechu kochających swych oczu, za-
mknęły jej wściekłość w szedł godzin przed moim powrotem. Przeszła lat 24
Niestety, nie napisala mi ostatnich swich pożegnania, którejby uję-
sorem przykrości. Ślad braku tej siły. W ostatnich swych chwilach wady -
chciała wobec szwagierki przy niej matki, „by łatwiej choć na godzinę zdołał
przyjechać”.... W przeddzień śmierci był u niej doktor z Proszowic. Jemu
to, nie mogąc mówić, piśmem śmiałym i czytelnym nakreśliła następujące
słowa: „Brak nadziei siły - wotek pod sercem wielki, jeśli mi się nie może,
Ziarno w niej cięższe jakże życie po moim wyjeździe gładko szpiko
poczeka. Uprzejmie sobie biedna miejsce, do którego pojechałem; miej

sce, gdzie w szczytną pracę światłodawczą całą swą duszę gorącą włożyła; miejsce, z którym ją tyle drogich sercu wspomnień wiązało; miejsce wreszcie, gdzie okrutnego doznała zawodu. Tych odtworzonych w pamięci obrazów niedalekiej przeszłości nie zniosło utęsknione serce i kiedy pod ożywczymi promieniami wiosennego słońca przyroda radością życia zadrgała, serce to zamarło.

dla niego " Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, powabne, milczące,
Całował cichy,
Leciuchnym drzeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki
I pęk róż dzikich i wianek zielony
W głowach trumienki ...
.....
Ach, ona była jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem ...
Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha chlebem ...
I była rosą, co rzeźwi o świcie
Zioła mdlejące ...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,
Nim wszędzie słońce".

Tym ona była, według powyższych słów poetki ludu, dla wioski, gdzie żyła i pracowała, - czym zaś była dla ojca, wysłowić sam nie mogę i nie potrafię, a nie mam pod ręką takiego autora, którym mógłbym się wycuręczyć. Po śmierci Zosi smutek przygniatający zapanował w całym domu. W pracy fizycznej w polu i ogrodzie szukałem ukojenia, a skoro i tu tylko w każdy kącik żywo mi ją przypominał, uciekałem do Krakowa, by tam bodaj chwilowo zapomnieć o stracie, boleśnie dręczącej serce. A do Krakowa mam stosunkowo nie daleko. Z oddalonej 4 km Posądy, kursującym codziennie między Proszowicami a Krakowem autem, dojeżdża się do podwawelskiego grodu w ciągu jednej godziny. Można również "wąskotorówką" jechać z Posądy do Kocmyrzowa, skąd już koleją normalną do Krakowa. Koleją jechać wygodniej, auto bowiem bywa zazwyczaj przepełnione, ale jazda pociągami z powodu ciągłego zatrzymywania się krótkimi dystansami na stacjach trwa blisko godzinę dłużej. Przy końcu września odwiedził mnie w Karwinie X. Janiszewski. Nieestety, w tymże czasie wąskotorówka była w zastoju, a to z powodu prosto-

... gdzie w szczytną pracę światłobudząca cała swą duszę gorącą wiołyła
- miejsce, z którym ja tyle drogiach sercu wspomnień wiążę ; miejsce wre-
- zacie, gdzie okrutnego doznała zawodu.

Tych odwołanych w pamięci obrazów niedalekiej przeszłości nie
znosio utęsknione serce i kiedy pod oświetlonymi promieniami wiosennego
słońca przytębia radością życia kadziła, serce to zamrta.

.....

Wiosenny powiew, co kwiatów na face
Zbudził kielichy,
Usza tej sienne, powadne, miłokase
Cafowai cichy,
Lecieżnym drzeniem przejmował zasfory
Czarnej sukienki
I perk rós dalkich i włanek zielony
W giewach firmianki ...
Ach, ona była jak tezza, co ziamię
Jednocy z niebem ...
Była skowronkiem dla wioski, co drzewie,
Dla ducha children ...
I była rosz, co rzęzi o światie
Zioła młające ...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękitie,
Nim wstępaie słońce".

Tym ona była, według powstających sięw postki ludu, dla wioski, gdzie
żyła i pracowała, - czym zaś była dla ojca, wyśłowić sam nie może i
nie potrafię, a nie mam pod ręką takiego autora, którym mógłbym się wy-
- rzezyć.

Po śmierci Zosi smutek przygniatający zapanał w całym domu.
W pracy fizycznej w polu i ogrodzie znalazł ukrojenia, a skoro i tu
każdy kask było mi ja przypomniał, nieszczęsem do Krakowa, by tam podaj
chwilowo zapomnieć o stracie, boleśnie dręcąccej serce.

A do Krakowa mam stacjonkowo nie daleko. Z oddalonej 4 km Posady,
kursującym codziennie między Praszowicami a Krakowem autem, dojeżdża
się do podwawelskiego Grodu w ciągu jednej godziny. Można również, wpa-
- ktorówka" jechać z Posady do Koszarynowa, stąd już koleją normalną do
Krakowa. Kolej jechać wygodniej, auto bowiem było zaswożoną przepel-
- nione, ale jazda pociągami z powodu ciężkiego zatrzymywania się krótki-
- mi dystansami na stacjach trwa blisko godzinę dłużej.

Przy końcu września odwiedził mnie w Karwinie X. Janiszewski. Nie-
- stety, w tymże czasie waskotorówka była w zastoj, a to z powodu prosto-

.....

wania linii tejże kolejki, którą od Posądy na Proszowice przedłużono do Pińczowa. Nie będąc zaś o dniu przyjazdu miłego gościa uwiadomiony, nie wysłałem koni na kolej. Musiał więc spory kawał drogi od Kocmyrzo-wa przebyć pieszo. Ale mimo że się w błocie - na szczęście jeszcze nie wielkim - trochę uchlapał, no i kapuśniaczek nieco go zrosił, stanął w moich progach radośnie uśmiechnięty. Bo też mimo dojrzałego już wieku, jest to ksiądz w trudach zahartowany i dłuższe, piesze wycieczki - to dla niego nie nowina.

Złota dusza! Znając moją serdeczną niedolę, znalazł mimo swych pasterskich obowiązków czas na przebycie dalekiej drogi od Kępna, by mię pocieszyć. Gdy natomiast niejednemu z moich przyjaciół, mieszkających w Krakowie, czy tuż pod Krakowem, droga do Karwina wydaje się nieskoń-czenie daleką i uciążliwą i woleliby jechać do Gdańska, lub choćby nawet do Egiptu.

Wkrótce po odwiedzinach X. Janiszewskiego wybrałem się do stron ro-dzinnych w Tarnobrzeskie, gdzie odwiedziłem kilku starych znajomych. Tu zaobserwowałem nowość, mianowicie na gruntach dworskich planta-cje buraków cukrowych, którymi zasilano cukrownię w Częstocicach za daw-nym kordonem. Mogli się więc tameczni ziemianie przekonać, że produkcja cukrowego buraka opłaca się i że cukrownia w stronach tych miałaby rację bytu, a rzesze okolicznej ludności znalazły by pracę w miejscu i nie by-łyby zmuszone tułać się w poszukiwaniu zarobku po obcych krajach. A tylko wygodnictwo odstraszało dziedziców od budowania tak pożądanego dla ogólnego dobrobytu fabryk, miejsce których zajęły niepomniernie mnogie w tych stronach gorzelnie.

Do kopania buraków przychodzili ludzie z odległych nawet wsi, n.p. do Wielowoi aż ze Stalów, kopiąc, czyszcząc i przykrywając kupki buraków za samą tylko nać, której jako karmy dla bydła potrzebowali - a więc za darmo.

Ś. p. Stanisław Szczepanowski w wydanej przed kilkudziesięciu laty swej książce p. t. „Nędza Galicji” przedstawił grozą przejmującą nędzę tego kraju. A nędza ta pochodziła głównie z powodu nieuprzemysłowienia tej części Polski. Bo gdy n.p. w jednym tylko powiecie hrubieszowskim na te-renie b. Kongresówki jest kilka cukrowni / przed wojną było coś 7 /, to

wania linii tejże kolejki, która od Posady na Proszowice przedłużono do Pincowa. Nie będąc zaś o dniu przyjazdu miłego gościa wiadomym, nie wysłałem kont na koleję. Miałem więc spory kawał drogi od Kołomyż - wa przybył pociąg. Ale mimo że się w pociągu - na szczęście jeszcze nie wielkim - trochę uchlapił, no i kapuśniaczek nieco go zrosił, stanął w moich progach radośnie uśmiechnięty. Do tej mimo dojrzałego już wieku, jest to kąś w trzaskach szarłatowy i różowy, pociąg wycieczki - to dla niego nie nowina.

Został dusza i Zająca moją serdeczną niedolę, znalazł mimo swych pasterkich opowiadań czas na przepięknie dalekiej drogi od Kępna, by mię pocieszyć. Gdy natomiast niejednemu z moich przyjaciół, mieszkających w Krakowie, czy tuż pod Krakowem, droga do Karwina wydaje się nieskon - czenie daleką i uciążliwą i woleliby jeździć do Górnika, lub choćby nawet do Białej.

Wkrótce po odwiedzinach X. Janiszewskiego wybrałem się do stron to - dajnych w Tarnobrzaskie, gdzie odwiedziłem kilku starych znajomych. Tu zapobiegawczo nowość, mianowicie na gruntach dworskich planje - cje buraków cukrowych, którym zasiano cukrownię w Górnym Górnym, że produkje - tym koronem. Mogli się więc tamozni ziemianie przekonać, że produkje - cukrowego buraka opłaca się i że cukrownia w stronach tych miałyby racje - bytu, a także ekonomicznej iudności znalazły by pracę w miejscu i nie by - żyły zmazane tużac się w poszukiwaniu zarobku po obcych krajach. A tylko - wygodnictwo obywatelskie dądzac do budowania tak posiadanych dla ogół - nego dobrobytu fabryk, miasteczek których zajęty niepomiernie mnogie w tych stronach gorzełnie.

Do kopania buraków przychodzili ludzie z odległych nawet wsi, n.p. do Wielkiej aż do Stalów, kopając, czyszcząc i przykrywając kupki buraków za samą tylko nad, której jako karu dla bydła potrzebowali - a więc za darmo.

S. P. Stanisław Szczepanowski w wydanej przed kilkudziesięciu laty swej książce p. t. "Nędza Galicji" przedstawił grozę przetrnącą nędzę tego kraju. A nędza ta pochodziła głównie z powodu nieuprzemysłowienia tej części Polski. Bo gdy n.p. w jednym tylko powiecie hrubieszowskim na te - renie p. Kongresówki jest kilka cukrowni / przed wojną było coś 7 /, to

na całą ogromną Galicję było i jest ich tylko dwie !

Dalej zauważyłem, że w Nadbrzeziu, tuż pod Sandomierzem, przy głównym trakcie, ładna przestrzeń gruntu z klucza dzikowskiego w pobliżu stacji kolejowej została działkami rozsprzedana. Ziemi tej wszakże nie kupili najbardziej potrzebujący, lecz nabyli ją ludzie majątkowo dobrze sytuowani, a między nimi sporo kolejarzy. Cena bowiem gruntu wynosiła około sześćset amerykańskich dolarów za morgę.

Tą wysoką ceną ziemi, a nie czym innym tłumaczyć chyba należy fakt danej mi w 1919 r. przez hr. Tarnowskiego odmowy na wystosowaną do niego prośbę sprzedania mi w tej właśnie stronie działki ziemi.

W Dzikowie odwiedziłem Jana Słomkę młodszego i Michała Marczaka. Są to szczególnie przyciągający ludzie. Mimo wiedzy, jaką zdobyli w najwyższych uczelniach, a która pozwoliła im zająć poczesne stanowiska społeczne, i mimo że żony ich, również zdobywszy uniwersyteckie wykształcenie, uczą w szkołach średnich, - przyznają się śmiało do swego chłopskiego pochodzenia. Ojciec Jana Słomki, również Jan, b. długoletni wójt dzikowski, autor „Pamiętników Włóścianina”, dziś już / r. 1928 / 85 lat liczący, lecz jeszcze czerstwy staruszek, jest przez syna - profesora - jak również przez resztę swych dzieci czią najwyższą otaczany. Taką samą czią otacza profesor Marczak matkę swoją, niezwykle krzepką 80 -letnią góralkę z Grywałdu. Tak ojciec Słomka jako też matka Marczakowa-Oborska noszą się zawsze z wiejska.

Cudowna to zaiste rzecz oglądać w dzisiejszych zepsutych, zmaterializowanych czasach sędziwych prostych wieśniaków w otoczeniu świetnie ubranych dzieci i wnuków.

A znam wielu podrzędnych urzędniczyn i zwykłych dorobkiewiczów, co to zapomniawszy ciężkiej pracy na roli i przywdziawszy modne, miejskie ubranie, wstydzą się swego chłopskiego pochodzenia i unikają zetknięcia z własnymi rodzicami.

Ale tacy właśnie „panowie” i „panie” tego rodzaju postępowaniem wystawiają jak najgorsze świadectwo swej duchowej wartości.

XVII Znakomity nasz poeta podhalański Władysław Orkan, obchodząc w r. 1927 uroczysty jubileusz swej pracy piśmienniczej, w chwili składania mu przez najwyższe sfery literackie i liczne delegacje życzeń, miał przy boku matkę swoją w zwykłym wieśniaczym ubiorze, a ukazując ją zgromadzo-

na całą ogromną Galicję było i jest ich tylko dwie!

Dalej zamyśliłem, że w Nadbrzeziu, tuż pod Bandomierzem, przy Złow-
nym Strakcie, ładna przestronna gruntu z klasą dzikowskiego w pobliżu
stacji kolejowej została dalszemi rozprzedażem. Ziemi tej wreszcie nie
kupili najbardziej potrzebujący, lecz nabyl ją ludzie majątkowo dobrze
wyposażeni, a między nimi sporo kolejarzy. Cena bowiem gruntu wynosiła
około sześćset amerykańskich dolarów za morgę.

Tę wysoką cenę ziemi, a nie czym innym tłumaczyć chyba należy fakt
danej mi w 1919 r. przez hr. Tarnowskiego odmowy na wystosowaną do niego
prośbę o sprzedanie mi w tej wiadnie stronie dalszej ziemi.

W Krakowie odwiedziłem Jana Słowkę młodszego i Michała Marczaka. Są
to szczególnie przydatni przyjaciele. Mimo wiedzy, jaką zdobyli w najwy-
szych uczelniach, a która pozwoliła im stać się poczesnymi stawnymi apoloz-
gami, i mimo że żony ich, również zdobywały uniwersyteckie wykształcenie,
niezależnie w szkołach średnich, - przyznają się bliźko do swego chiopskiego po-
chodzenia. Ojciec Jana Słowki, również Jan, p. dyngusielni wójt dalkowski
autor „Pamiętników Włoszczanina”, data już / r. 1928 / 88 lat życia,
lecz jeszcze czasy starszak, jest przez syna - profesora - jak rów-
nież przez resztę swych dzieci wciąż najwyższymi odczanymi. Tak samo wciąż
ożacza profesor Marczak matkę swoją, niezwykle kreską 80-letnią Góral-
kę z Grywałdu. Tak ojciec Słowki jako też matka Marczakowa-Opatka noszą
się zawsze z wietakami.

Odwrotna to także rzecz oglądać w dalszych zapamiętanych, zmierzają-
cych czasach sądowych prośbach wnieślików w otoczeniu świetnie
uprzemych dzieci i wnuków.

A znam wielu potrzebnych urzędników i zwykłych dorobkiewiczów, co
to zapomniałszy ciężkiej pracy na roli i przydzielający modne, wietajskie
upranie, walczą się swego chiopskiego pochodzenia i unikają zstąpienia
z wianami rodzicami.

Ala tedy właśnie „panowie” i „panie” tego rodzaju postępowaniem
wystawiają tak najgorzej świadectwo swą duchową wartość.
Znakomity nasz poeta podhalański Władysław Orkan, obojętno w r.
1927 uroczyście jubileusz swą pracę piśmienniczą, w chwili składania mu
przez najwyższe sfery literackie i liczne delegacje życzeń, miał przy
boku matkę swoją w zwykłym wienieczym ubiorze, a ukazując się zromadzo-

nym wyznał w pokorze, że zasługę, sławę i cześć, jaką dziś odbiera, ma po Bogu tej właśnie wieśniacze do zawdzięczenia.

W samym Tarnobrzegu nie zabawiłem dłużej nad godzinę, nie mogłem więc zobaczyć się ze starym znajomymi, działającymi społecznie na terenie tak miasta jako też powiatu, by od nich coś usłyszeć.

W latach 1923 -1924 wychodziło w tym mieście lokalne, dwutygodniowe pismo p. t. „Obywatel”, a wkrótce po jego upadku powołano do życia nowy dwutygodnik p. t. „Głos Ziemi Tarnobrzesckiej”, który także po krótkim istnieniu / przy końcu 1924 r./ przestał wychodzić.

Próby stworzenia dla Tarnobrzega i jego okolic stałego organu prasowego podejmowane były przed trzydziestu laty, a pierwszą wychodzącą tamże gazetą / r. 1900 - 1901 / był dwutygodnik p.t. „Głos Ziemi Sandomierskiej”, redagowany przez włościanina Wojciecha Wiącka z Machowa.

Ze też Tarnobrzeg nie ma jakos szczęścia do utrzymania własnego, choćby skromnego pisma ! A wielka szkoda owych ostatnich gazetek, które redagował / częściowo z pomocą finansową tarnobrzesckiego starosty Dra T. Spissa / Dr. Leonard Madej, rodak z tamtejszego powiatu. Wiał z nich czysty duch obywatelski, celem zaś ich było plenienie w okolicy wywrotowych haseł / „Dąbalowszczyzna” /, a zaszczepianie świadomej miłości wskrzeszonej Ojczyzny. Przy ich pomocy utrzymywałem duchową łączność z rodzinnymi stronami. Z pośród drukowanych w nich rozmaitej treści artykułów i publikacji najbardziej chyba interesującą była historia tarnobrzesckiego powiatu, pióra sumiennego badacza przeszłości tegoż zakątka, wspomnianego już Michała Marczaka, upartego mola książkowego.

Nad podtrzymaniem materialnej egzystencji „Obywatela” jako też „Głosu Ziemi Tarnobrzesckiej” ponosł najwięcej wysiłak się długoletni, zasłużony działacz społeczny, sędzia Józef Chalcarz, serdeczny protektor drobnych sierot po poległych w wielkiej wojnie żołnierzach.

Jak z licznych publikacji Marczaka wynika, cały powiat tarnobrzescki jest bogatą kopalnią pierwszorzędnego znaczenia historycznych wydarzeń, to też dziwić się trzeba, że prócz historyka Erazma Otwinowskiego / koniec XVII i początek XVIII w./ i włościanina Jana Słowki, nikt z tarnobrzesckich rodaków nie próbował nawet silić się nad wydobyciem z ukrycia i przekazaniem potomności tych niezmiernie ciekawych i pończających dziejów rodzin -

nym wyznak w pokorze, że kasując, siawę i oścód, jak data obdiera, na po
Bogu tej właśnie wiadomości do zawiązania.

W samym Tarnobrzegu nie zabawiam się, nie mam czasu, nie mam
wiele zobowiązań się ze starym znajomymi, działającymi społecznie na terenie
tak miasta jako też powiatu, by od nich coś uzyskać.

W latach 1923-1924 wychodziło w tym mieście lokalne, dwutygodnio-
we pismo p. t. "Opawatej", a wkrótce po jego upadku powołano do życia no-
wy dwutygodnik p. t. "Głos Ziemi Tarnobrzeżskiej", który także po krótkim
istnieniu \ przy końcu 1924 r. \ przestał wychodzić.

Próbę stworzenia dla Tarnobrzega i jego okolic stałego organu pra-
sowego podjęwane były przed trzydziestu laty, a pierwszą wychodzącą
tamże gazetą \ r. 1900 - 1901 \ był dwutygodnik p. t. "Głos Ziemi Sando-
mierskiej", redagowany przez właściciela Wojciecha Wiśka z Machowa.

Ze też Tarnobrzeg nie ma jakoś szczególnego do utrzymania własnego,
choćby ekstremnego pisma! A wielka szkoda owoch ostatnich gazetek, które
redagował \ częściowo z pomocą finansową tarnobrzeżskiego starosty Dra T.
Spisak \ Dr. Leonard Madel, rodek z tamtejszego powiatu. Wiad z nich czy-
sty duch opawatejski, celów zaś ich było pienie w okolicy wyrotowych
hasł \ "Dobrowolność", a zaszczepianie świadomości miłości wkrzeszo-
nej ojczyzny. Przy ich pomocy utrzymywalem dochow fachowców z rodnymi
stronami. Z posterów drukowanych w nich rozchodziły treści artykułów i publi-
kacji najbardziej chyba interesujące była historia tarnobrzeżskiego powia-
tu, która sumiennego badacza przesiącała tegoż zakątkiem, wspomnianego już
Michała Marcza, upartego mola katechety.

Nad podtrzymaniem materialnej egzystencji "Opawatej" jako też
"Głos Ziemi Tarnobrzeżskiej" ponad najwięcej wysiłał się dyrektor, za-
siadający daleko spoczony, sędzia Józef Chalara, sędzienny prokurator
drobnych spraw po poległych w wielkiej wojnie żołnierzach.

Tak z listnych publikacji Marcza wynika, cały powiat tarnobrze-
żski jest bogatą kopalnią pierwsorzędnych znaczenia historycznych wydarzeń,
to też dziwić się trzeba, że przez historyka Brama Otwinowskiego \ koniec
XVII i początek XVIII w. \ i właściciela Jana Siomki, nikt z tarnobrzeżskich
rodaków nie próbował nawet sił się nad wydobyciem z kruszcu i przekaza-
niem potomności tych niezmiernie ciekawych i porażających dzieł rodzin-
nych.

nych okolic.

Tak profesor Marczak-Oborski jako też sędzia Chalcarz są to rodowici górale, igraszką losu na tarnobrzezkie płaszczyzny zagnani „dla chleba”, - to też na tym większą miłość ze strony Tarnobrzeżan sobie zasłużyli!

Osiadły stale w Tarnobrzegu, prawie od czasu opuszczenia fakultetu prawniczego, sędziwy już dziś mecenas Dr. Antoni Surowiecki, także nie jest rodowitym Tarnobrzeżaninem, a jednak niezmierną pracą długich lat położył on na polu tak duchowego jako też ekonomicznego rozwoju miasta i powiatu niespożyte zasługi. Wiele dobrego ma powiat tutejszy i sąsiednie do zawdzięczenia także sędziwemu dziś radcy inżynierowi Janowi Bochniakowi w dziedzinie prac regulacyjnych Wisły, Sanu, Trześniówki i szeregu potoków oraz na polu osuszenia rozległych bagien, drzemiących w obrębie dawnej puszczy sandomierskiej. Radca Bochniak jest ponadto znany z niezwykłej dla każdego przystępności, uczynności.

Córka Maria wkrótce po śmierci Zosi popadła w smutek, stała się małomówna. Pytana, czy jej co nie dolega, odpowiadała zawsze, że jest zdrową. Ale już w styczniu 1927 r. nie mogło ujść mojej uwagi, że choroba, na którą już się była w Zakopanem leczyła, a z której niezupełnie wyszła, poczyna się u niej na nowo objawiać. Środków na kosztowne leczenie nie mogłem odrazu zdobyć i dopiero w początku kwietnia wyprawilem ją do Zakopanego.

Ale Zakopane już jej nie służyło i coraz bardziej traciła siły, wobec czego w połowie czerwca przywiózłem ją w ciężkim stanie zdrowia do domu. Odtąd reszta sił szybko w niej zanikała i nikomu w domu takim już nie było, że dni jej policzone.

Utrudzony na ciernistej ścieżce żywota, w dodatku trapiiony dawną chorobą nerek, która obecnie pracować mi nie dozwala, proszę w cichości Boga, by ta najmłodsza pociecha mnie przeżyła. Nie przyjął Bóg prośby mojej.

Na krótko przed śmiercią wyraziła się do matki, że nie boi się umierać, a tylko bardzo jej żal, iż musi nas opuścić, i prosiła, by była pochowana obok Zosi. Raz tylko jeden poskarżyła się, że nie zazna-

Wychowanie. Tak profesor Marzec-Oberski jako ten, który dla
 dwojki gości, igrał rolę na tarasie, przesyłał im
 "chleb", - to też na tym większą miłość ze strony Tarasów
 zaszły. Osiadły stale w Tarasach, prawie od czasu opuszczenia
 tego prawniczego, sędziwy już dalsi mecenas Dr. Antoni Szwedowski, tak-
 że nie jest rodzimym Tarasowianinem, a jednak niezamordowana
 dźwięki lat położył on na polu tak duchowego, jako też ekonomicznego
 rozwoju miasta i powiatu niezapomniane zasługi. Wiele dobrego ma powiat
 tutaj i sąsiadnie do sąsiedztwa także sąsiadom dają rady in-
 nierowi Janowi Bochniakowi w dziedzinie prac regulacyjnych Wisły, Samu-
 Traśnicki i szeregu potoków oraz na polu oszacowania rozległych pól
 drzewiastych w obrębie dawnej paucy sandomierskiej. Rada Bochniak jest
 bardzo znany z niezwykłej dla każdego przystępności, uczynności.

Ów Maria wrócić po śmierci żoni popadła w smutek, stała się
 małomówna. Tytuł, czy też co nie dolega, odpowiadała zawsze, że jest
 zdrowa. Ale już w styczniu 1927 r. nie mogła wstać z łóżka, że cho-
 roba, na którą już się była w Zakopanem leczyła, a której niezdolnie
 wyszła, poczyna się u niej na nowo objawiać. Brodów na kosztowne le-
 czenie nie mogłem od razu zdobyć i dopiero w początku kwietnia wyprawi-
 łem ją do Zakopanego.
 Ale Zakopane już jej nie służyło i coraz bardziej traciła siły,
 wobec czego w połowie czerwca przywieźłem ją w ciężkim stanie zdrowia
 do domu. Odtąd reszta się szybko w niej zanikała i nikomu w domu jej
 już nie było, że dni jej pozostawały.
 Utrudzony na ciężkiej chorobie żył, w dodatku trapiły sa-
 dawną chorobą nerwów, która obecnie przerosła mi nie dozwala, prosi-
 łem w chwili Boga, by za najbliższą pogodę mnie przesyłała. Nie przy-
 jął Bóg prośby mojej.
 Na krótko przed śmiercią wyraziła się do matki, że nie pot
 umierać, a tylko bardzo jej żal, iż musi nas opuścić, i prosiła, by
 ją pochowano obok żoni. Raz tylko jeden poskarżyła się, że nie znanaw-

szy w życiu szczęścia i będąc tak młodą, już musi umierać ...

Dziwić się trzeba heroizmowi, z jakim biedne to dziewczę znosiło swoje cierpienia oraz spokojowi, z jakim oczekiwało ostatniej swej godziny. Matkę, skoro tylko rankiem do łóża jej przyszła, zawsze dotykała, by się przekonać, czy nie zaniedbała wdziać na bieliznę trykotów, a zauważone w okryciu braki należała uzupełnić. Sama bowiem nabawiwszy się choroby częścią z powodu przeziębienia, poczytywała sobie za święty obowiązek baczyć, by najbliższe jej sercu osoby podobnego losu unikły. Również siostrę Julię upominała, by się szanowała i zaziębienia unikała, Obojętna na cierpienia własne, litowała się nad drugimi.

Była chwila, że mimo całego wysiłku woli nie mogłem naporu żalności opanować i upadłszy na pierś drogiej tej istoty, bólem obłąkany wołałem, by nie umierała ... A ona, przygarnawszy mnie wychudzonymi ramionami ku sobie, rozplakała się również, a gdy po dłuższej chwili z objąć mnie wypuściła, rozkładając bezradnie ramiona, odpowiedziała z beznadziejnym smutkiem: „Muszę umrzeć, muszę ...”

Gdy w ostatnich chwilach czuwałem przy jej łóżku, a brat na boku popłakiwał, zwróciwszy na mnie gasnące oczy, poruszyła wargami: „Mama”. Przywołałem z przyległej izby matkę, a skoro przed nią stanęła, umierająca cicho wyszeptała: „Już koniec ... żegnam ...” - i otwartszy dłoń na przyjęcie zapalonej gromnicy, do ostatniego momentu przytomna, w d. 28 paźdz. 1927 r. przed godz. 8 rano w dwudziestej wiosnie życia zamknęła na zawsze dobre swe oczy, z których po bladej skroni spłynęła ostatnia, przeczysta łza pożegnania.

Zza ta wniknęła mi do serca. I czuję ją zawsze i będę ją czuł do ostatniego tchnienia.

.....

Choć w cienie mogił odeszłyście srogie,
 Tak mi się zdaje u schyłku mych lat,
 Że was oglądam, córki moje drogie,
 Skoro podniosę ducha w inny świat;
 Że, spływające na skrzydłach z obłoku,
 Towarzyszyście mi na każdym kroku.
 Żem duszę moją ustrzegł od zwątpienia,
 Gdy mnie swą ręką srodze dotknął Bóg,
 I żem potrafił znieść cicho cierpienia,
 Gdy mi ciernisty krwawił stopy głóg -
 Wam to zawdzięczam, córki moje miłe,
 Coście mi wielką wymodliły siłę.

... w życiu szczęśliwa i będzie tak miła, jak wsił miłobęd...
 Daliś się trzęba nerwowi, a jakim pięknie to dalszemu znosio
 swoje cierpienie oraz spokojowi, a jakim oczekiwało ostatniej swej
 godziny. Matkę, skoro tylko rankiem do łóża jej przysia, zawsze do-
 tykała, by się przekonad, czy nie zaniedbała wdział na dziełnie try-
 kotów, a zauważona w okryciu braki należała napędzić. Sama powiem
 napawiały się choroby częścią z powodu przeziębienia, początywa
 sobie za święty obowiązek brzoć, by najbliższe jej sercu osoby po-
 dobnego lecu unikły. Również siostrę Julię upominała, by się szanowa-
 ła i zapiełnienia unikła, Obojętna na cierpienia własne, litowała się
 nad innymi.

Była chwila, że mimo całego wyśilku woli nie mogłem naporn żać-
 ci opowiad i upadłszy na pierze drogię tej stoty, odłem objakny
 wojłem, by nie wlewała... A ona, przygarbnęważy mnie wychudłym ra-
 mionami ku sobie, rozpakowała się również, a gdy po dłuższej chwili
 z objęć mnie wypuściła, rozkiadała bezradnie ramiona, odpowiadając
 z bezradną twarzą: "Muszę umrad, muszę...".

Gdy w ostatnich chwilach czuwałem przy jej łóżku, a prst na doku
 popakowała, zwróciwszy na mnie garncie oczy, poruszała wargami: "Ma-
 ma". Praywołałem a przybiegłaby matka, a skoro przed nią stanęła,
 wlewała ołono wyszeptala: "Jas koniec...".
 czy dzień na przyjęcie zapalonęj grownicy, do ostatniego momentu przy-
 tomna, w dę 28 października 1937 r. przed godz. 8 rano w dwudziestej wiek-

nie życia zamknęła na zawsze dobre swe oczy, z których po dłużej
 eksterni epinyjsie ostatnie, przeszyta i za pożegnania.
 I za te wniknęła mi do serca. I czuję ja zawsze i będę ja czuła
 do ostatniego tchnienia.

Chod w cienie mogli obeszycie trogie, przycięła nie przy-
 Tak mi się zdaje u schyłku wycia ja,
 że was egladam, córki moje drogie,
 Skoro podniosę ducha w inny świat;
 Spływające na strzyżonych z ołonu,
 Towarzyszyście mi na każdym kroku.
 Lem duszę moję uszreği ob zwąplenia,
 Gdy mnie swę rękę srodze dotknie Bóg,
 I sam potrafił znaleźć ołono cierpienia,
 Gdy mi olemisty kwawli stopy gię -
 Wam to kawdzęczam, córki moje miłe,
 Coście mi wiekie wymodliły się.

I zdaje mi się, że czuję na sobie
Pieściwych waszych ramion sładki splot,
Jak było ongi, w niepowrotnej dobie,
I zdaje mi się, że górny wasz wzlot
Unosi mnie gdzieś w wymarzone światy,
Dokąd zna drogę tylko duch skrzydlaty.

Nieście mnie, nieście, wdzięczne moje córy!
Z tego ogrojca łez nieście mnie wzwyż
Ku srebrnym gwiazdom, w pogodne lazury,
Gdzie Chrystusowy triumfuje krzyż,
Gdzie za cierpienia na arenie świata
Czeka z rąk Stwórcy sowita zapłata.

Oto parę przykładów z lat dawniejszych.

W cukrowni zakrzówieckiej pewnej pocy przy elewatorze ogarniała się niepraszczająca senność, podczas gdy zajęcia moje wymagało wielkiej czujności. Szukałem więc rozryki, by senność z oczu spędzić. Podał mi był rozległy dół o gładkiej, kamiennej posadzce, a służył na zsypywanie kupa- czanych śmieci, z których w dół kobiety resztki bureków wybierały, same zaś śmieci chłopaki szaflikami po schodach na górę, a stąd na osobny śmie- tnik wynosili. Były to jednopiętrowe, prymitywne schody, jakich murarze używają, t.j. do połączonej na szerokość dwóch desek poprząbijane były poprzecznie w równych odstępach dla oparcia nóg grubsze szczeble. Było to coś w rodzaju półschodów i półdrabiny.

Na poręczy tych to schodów rozpoczęłem gimnastykę, siadając i wjeżdżając w dół. Nabawiwszy się do woli, nachyliłem się w końcu „jechać” na poręczy, wcale jej się nie trzymając. Na nieszczęście nachylenie scho- dów było zbyt strome, to też załedwie metr ujechałem, przechyliłem się w tył i ze znacznej wysokości runąłem głową w dół ...

Obserwujący moje figle robotnicy w buraczarni, w ten moment porzu- ciwszy szufle, pędem przybiegli ku mnie w przekonaniu, że podniosą nie- bezstępną ... Lecz ja ^{nie} odniosłem poważniejszego szwanku. Bo trzeba było odczuć, że na umiarkowanej posadzce dołu leżała może co większa od sporej ba- ranej kupki chłopskiej kupka miękkich śmieci, na której sam środek głó- wną spędłem. Gdyby był spadek o pół piędzi obok owej kupki, byłoby sobie niezawodnie głowę roztrzaskał. Podniosłem mnie i ułożyłem na stojąc w cie- płej części fabryki, skąd z nastaniem dnia powlokłem się do domu.

Innym razem pracując w kotłowni tejże fabryki, bez koscali, w szarym tylko spodnim okryciu, wyseledłem za ścianą do maszyn t.w. pompki. Tam nico na dołu rozważyłem dwóch grzejących się chłopaków / było to w stycz-

I zdaje mi się, że czuję na sobie
 Pięćdziesiąt wazów ramion szkodliwych
 Jak było ongi, w niepowrotnej dobie,
 I zdaje mi się, że górny waz walczy
 Unosi mnie gdzieś w wymiarzone światy,
 Dokoła zaś gromy tylko dach strzydziały.
 Nieścisłe mnie, nieścisłe, wzięzione woje cory i
 Z tego ogroju bez nieścisła mnie wazy
 Ku arcybrnym gwiazdom, w pogodną lazurę,
 Gdzie Chrystusowy trójmiejski krzyż,
 Gdzie za ciepłotą na arenie świata
 Gaska z ręk Słowicy sowa aspiata.

[The remainder of the page contains extremely faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the paper.]

nia. Skory do psich figlów, postanowilem pójść w nich „dla próżnej
zakrawki” strusiać ciepł XII.

Z p r z y g ó d z y c i a .

Zaznałem w życiu wiele grożących śmiercią, a w najlepszym razie ciężkim kalectwem przygód i z każdej przygody cudownie cało wychodziłem. Śnać Stwórca roztoczył nade mną opiekę, by mnie tym ciężiej w późniejszych latach doświadczyć.

Oto parę przykładów z lat dawniejszych.

W cukrowni zakrzowieckiej pewnej nocy przy elewatorze ogarniała mię nieprzewyciężona senność, podczas gdy zajęcie moje wymagało wielkiej czujności. Szukałem więc rozrywki, by senność z oczu spędzić. Podo mną był rozległy dół o gładkiej, kamiennej posadzce, a służył na zsypywanie buraczanych śmieci, z których w dzień kobiety resztki buraków wybierały, same zaś śmieci chłopaki szaflikami po schodach na górę, a stąd na osobny śmietnik wynosili. Były to jednoporęczowe, prymitywne schody, jakich murarze używają, t.j. do połączonych na szerokość dwóch desek poprzybijane były poprzecznie w równych odstępach dla oparcia nóg grubsze szczeble. Było to coś w rodzaju półschodów i półdrabiny.

Na poręczy tych to schodów rozpocząłem gimnastykę, siadając i zjeżdżając w dół. Nabawiwszy się do woli, zachciało mi się w końcu „jechać” na poręczy, wcale jej się nie trzymając. Na nieszczęście nachylenie schodów było zbyt strome, to też zaledwie metr ujechałem, przechyliłem się w tył i ze znacznej wysokości runąłem głową w dół ...

Obserwujący moje figle robotnicy w buraczarni, w ten moment porzucawszy szufle, pędem przybiegli ku mnie w przekonaniu, że podniosą nieboszczyka ... Lecz ja ^{nie} odniosłem poważniejszego szwanku. Bo trzebaż było cudu, że na umiecionej posadzce dołu leżała mało co większa od sporej baraniej czapki chłopskiej kupka miękkich śmieci, na której sam środek głową spadłem. Gdybym był spadł o pół piędzi obok owej kupki, byłbym sobie niezawodnie głowę roztrzaskał. Podniesiono mnie i ułożono na słomie w cieplej części fabryki, skąd z nastaniem dnia powlokłem się do domu.

Innym razem pracując w kotłowni tejże fabryki, bez koszuli, w samym tylko spodnim okryciu, wyszedłem za ścianę do maszyny t.zw. pompki. Tam nieco na boku zauważyłem dwóch grzejących się chłopaków / było to w stycz-

Z p r a y e d a y o i a .

Zaczęłam w tym czasie wiele różnych zajęć, a w najbliższym czasie
ciężkim kłopotem przyszedł i z każdej przyszedł endownie cało wychodziłam.
Snać stwierdził rozstąpił nade mną opiekę, by mnie tym ciężkiej w podnieśniętach
latach doświadczyć.

Oto parę przykładów z lat dawniejszych.

W cukrowni zakrzewiła się pewnej nocy przy elawatorze ogarniała mnie
nieprzewidywalna senność, podczas gdy zajęcie moje wymagało wielkiej
czujności. Zaczęłam więc rozmyślać, by senność z oczu spędzić. Podać mi się
rozległy dół o gładkiej, kamiennej posadzce, a stał się na zapywanie bura-
czanych śmieci, z których w dół kobiety rzucały burzaki wyłuski, same
całe śmieci obfitej szalikami po schodach na górę, a stał na osobny śmie-
cznik wynosił. Były to jednopiętrowe, przytulne schody, jakich murarze
nawyjął. T.j. do położonych na szerokość dwóch desek poprzecznych były
poprzecznie w równych odstępach dla oparcia nóg grube szczeble. Było to
coś w rodzaju podschodów i podbrzojny.

Na poręczy tych to schodów rozpostarłam gimnastyczną, siedząc i zje-
dając w dół. Nabrałszy się do woli, zechciało mi się w końcu "jechać"
na poręczy, wcale jej się nie trzymałam. Na niespodziewane nadyśnięcie scho-
dów było zbyt strasne, że też siedwie metr ujechałam, przeschylam się
w tył i na znacznej wysokości trudem głową w dół ...

Opierając się na te łacie robotnicy w burzaczni, w ten moment porzu-
ciwszy szulce, pędem przybiegli ku mnie w przekonaniu, że podniosę się
poszczyka ... Iac ^{nie} ja ^{nie} podniosłam poważniejszego szwanku. Bo trzeba było
obudzić, że na umieszczonej posadzce dół leżała nade mną co większe od sportu pa-
taniej czapki obfitej kupki miękkich śmieci, na której sam środek gło-
wą opadłam. Gdybym był spadł o pół pięci obok owej kupki, byłbym sobie
niezawodnie głowę roztrzaskał. Podniosłam mnie i niosono na siemię w cie-
płej części fabryki, skąd z nastaniem dnia powlokłam się do domu.

Innym razem pracując w kotłowni tejże fabryki, bez koszuli, w samym
tylko spodnim okryciu, wyszedłem za ścianę do maszyny t.zw. pompki. Tam
nieco na boku zauważyłem dwóch grzejących się chłopaków / było to w stycz-

niu/. Skory do psich figlów, postanowiłem puścić w nich „dla prędszej rozgrzewki” strumień ciepłej wody.

Ponieważ otwór osadzonego w ścianie rezerwoaru maszyny kranu, z którego chciałem oblać chłopaków, nie był ku dołowi nagięty i przy otwarciu woda tryskała w linii poziomej, zaopatrzone go w krótką na kształt rogu nagiętą rurkę, którą podczas puszczenia wody można było dowolnie, jak węzem gumowym, w boki kierować. Już skierowawszy w stronę chłopaków ową rurkę, miałem kran otworzyć, kiedy spojrzawszy ku dołowi, zobaczyłem leżący w pobliżu mych nóg półklockiowy, drewniany klocek. Dla większej więc wygody przysunąłem sobie ów pień i dopiero stanawszy na nim, otworzyłem kran ...

Wtem nagle rurka, snać słabo drutem przywiązana, oderwała się i silny prąd, nie ciepłej wody – jak mniemałem – lecz gorącej pary uderzył mnie prosto w nagą pierś ... Miałem na tyle przytomności i siły, by zamknąć kran i, wstydzając się krzyczeć, umknąłem na swoje miejsce.

I tu doznałem nie tyle kary Bożej za niewczesne zbytki, ile cudownej Opatrzności. Boć gdybym nie był stanął na klocek, para z wysoko umieszczonego kranu byłaby mi buchnęła w samą twarz ... A pierś poparzona została straszliwie. Bąble zaraz wystąpiły, później za najlżejszym poruszeniem ciało formalnie ugotowane pękało, a po kilku tygodniach leżenia ze zastrupiałej już piersi odpadały grube skorupy. Coby się było działo z twarzą! Ani nosem oddychać, ani ust otworzyć, nie mówiąc już nic o oczach ... Nawet po paru latach od czasu tego wypadku można było z łatwością materię z poparzonej ongiś piersi wyciskać.

W latach późniejszych, terminując u szewca w Tarnobrzegu, pewnego lipcowego podwieczora poszedłem kąpać się do Wisły. Woda brzegiem na znaczną szerokość była w tym miejscu dość płytka, najwyżej do pasa sięgająca, to też amatorów kąpiele różnego wieku była dnia tego spora gromadka.

O jakie 150 kroków w dół rzeki od kąpiących leżały na wodzie tratwy wielkiej ilości drzewa, przygotowanego do spławu i czekającego przyboru wody. Zupełnie nieświadomy działań prądów Wisły, oddaliwszy się od gromadki, szedłem za biegiem fal ku owym tratwom z zamiarem dostania się na nie. A skoro już tylko dwumetrowa przestrzeń dzieliła mnie od tratwy, raptem zapadłem w głębię do pach i jednocześnie grunt począł się mi z pod nóg usuwać, a tuż na metr przede mną wirująca toń uprzytomniła mi, że nad strą-

nie. Skory do pacich fityd, postanowilem pascid w nich "dla przadzet
rozgrzewki" strumien ciepłej wody.

Poniewaz otwor osadzonoego w dolanie rezerwoaru maszyni kranu, a ktd-
tego chcialem oplad chlopakow, nie byl ku dolowi nagiety i przy otwar-
ciu woda trzaskala w linii poziomej, zasobitrono go w krotka na kszalt
toku nagiety rurki, ktora podczas przesazania wody mozna bylo dowolnie,
jak wazem gumowym, w bok kierowad. Jaz skierowawazy w strone chlopakow
owz rurke, miazem kran otworzyd, kiedy spojrzawazy ku dolowi, zobaczylem
iesady w poblizu mych nog podkocikow, drzewiany klocek. Dla wiazkiej

wieco wygody przysunalem sobie ow pieniek i kopierto stawawazy na nim, otwo-
razjem kran ...
Wtem nagle rurka, snad jako drutem przywiazana, odtrawila sie i sil-
ny prad, nie ciepłej wody - jak wiazalem - jacz gorzelej pary uderzyl mie
prostow w naga pierz ... Miazem na tyle przytomnosci i sily, by zamknad
kran i, wazydazac sie krzyzad, zamknalem na swoje miejsce.

I tu doznalem nie tyle kary Bozej za niewczesne szpiki, ile odwzownej
Opatrznosci. Bod gdybym nie byl stanel na klocek, pare z wysoko umieszco-
nego kranu bylyby mi pochwala w samą twarz ... A pierz poprzona zostala
straszliwie. Bafle zaraz wyatapily, podniej za najluzszym porzadzaniem
cielo formalnie ugotowane dekalo, a po kilku tygodniach lezenia ze kszaltu
pialej juz pierz odpadaly grube skorupy. Gdy sie bylo dzialo z twarza i
ani nosom odychad, ani ust otworzyd, nie mowiac juz nie o oczach ... Na-
wet po paru latach od czasu tego wypadku mozna bylo z fatwoscia wazarię
z poprzonąj ongi pierz wyolaskad.

W latach podniejstajacych, terminujac u rzewu w Tarnobrzegu, dawnego
lipcowego podwiazacza poszedlam kaped sie do Wisly. Woda przegiem na znac-
ne szarokad byla w tym miejscu dosc plynka, najwyzej do pasa siegajaca,
to tez amatorow kapilei rónnego wieku byla dnia tego spora gromadka.

O jakie 150 krokow w dol rzeki od kaplicy chleby na wodzie trawly
wielkiej klocek drzewa, przygotowanego do spławu i czekajacego przyboru
wody. Zupelnie nieswiadomy datam pradów Wisly, oddalilwazy sie od gromad-
ki, zasiedem za biegiem tal ku owym trawom z zamierzem dostania sie na nie.
A skoro juz tylko dwustrona przestrzen datelila mnie od trawly, raptem
zapadlem w gietie do pacz i jednoczesnie grunt poczyl sie mi z pod nog u -
szwad, a juz na wetr przede mną wirlujaca ton uprzytomnila mi, ze nad str-

szną, znajduję się przepaścią. Błyskawicznie zorientowałem się w położeniu. Płynąć pod prąd nie umiałem ; rzucić się zaś naprzód i ucześcić rękami końca tratwy - to przedsięwzięcie ryzykowne, bo albo wiry odrazu pod tratwę mnie porwą, albo też mogę sobie głowę o jej bale rozbić i również pójść na spód. Krzyczeć o pomoc byłoby lekkomyślnością, boć tu każdy moment drogi i tylko od przytomności umysłu zawisł ratunek.

Już prawie po szyję w wodzie zanurzony, oparty krawędziami stóp w poprzek prądu na usuwającym się mi gwałtownie z pod nóg piaszczystym, stromo opadającym gruncie, z szybkością, na jaką tylko siły zdobyć się mogły, podnosząc i stawiając pod pchający mnie naprzód prąd nogi, centymetr po centymetrze bokiem pod fale się cofałem, a głuche to zmaganie się z potężnym żywiołem wydało mi się wiecznością. Kiedy nareszcie udało mi się wycofać na dwumetrową odległość od zdradnej otchłani, nogi ze zmęczenia ugięły się podę mną, ale byłem już uratowany.

Kiedy indziej w popołudniowej godzinie poszedłem znowu nad Wisłę pod t.zw. Wianek w Tarnobrzegu z zamiarem wprawienia się w pływaniu. Wokoło żywej duszy nie było. Nie dowierzając już nurtom rzeki, wszedłem do t. zw. „łachy”, tamą za ledwie od głównego łozyska Wisły oddzielonej, postanawiając ją wszęsz przepłynąć.

Wiosłując rękami i pomagając sobie nogami, płynąłem wolno ku tamie. Na jakie półtora metra od tamy wyczerpany na siłach, sądząc, że woda musi tu być już płytka, opuściłem się - i w tejże chwili zapadłem się w przepaść ...

Ocknąłem się już na tamie. Co się ze mną działo, tego ani wówczas, ani też później wytłumaczyć sobie nie umiałem, ani też nie pamiętam, bym czynił wysiłek ratowania się z topieli. Jakim że cudem - bo inaczej określić wypadku tego nie potrafię - z topieli na środek tamy wyrzucony zostałem ? Fale mnie nie wyrzuciły, bo podczas cichego dnia powierzchnia wody była gładka jak zwierciadło ; z ludzi też nikogo nie było. Więc cud oczywisty.

Nie wiem również, jak długo znajdowałem się pod wodą, a musiałem tam być stosunkowo długo, bo nie mogąc przez dłuższy czas tchu dostać, doznawałem uczucia, że płuca mi pękają, że duszę się. Kto sam nie tonął i nadmiaru wody w siebie nie wchłonał, nigdy nie pojmie, co to za męka nie móc dostać tchu !

-...niezależnie od tego, że w polsce-
 nie. Płynęło pod prąd nie umiałem ; znalazłem się zaś naprzód i uciekłem re-
 kami końca strawy - to przedziwne życie rzymskie, do albo wiry obraca-
 pod strawę mnie porwał, albo też może sobie głowę o tej pale rozbił i
 również pójść na spód. Krzyżem o pomoc byłoby lekomyślności, pod tu
 każdy moment drogi i tylko od przytomności umyślności zawiesz ratunek.
 Już prawie po szyję w wodzie zanurzony, oparły krawędziami stóp
 w poprzek prądu na naważającym się mi gwałtownie z pod nog piaszczystym,
 strono opadającym gruncie, z eksplozją, na jaką tylko sily zdobyć się
 mogły, podnosząc i stawiając pod podający mnie naprzód prąd nogi, centy-
 metr po centymetrze pokiem pod fale się cofałem, a finche to znaczenie
 się z potężnym żywiołem wydało mi się wściekłością. Kiedy narazie nabrało
 mi się wyciszenie na dwumetrową odległość od zbradanej ochni, naci za-
 znaczenia uległy się podę mnie, ale byłam już uratowany.
 Kiedyś znalazłem w popołudniowej godzinie posiadłem znów nad Wisłą
 pod t.w. Wisnę w Tarnobrzegu z zamiarem wprawienia się w pływania.
 Wokół żywej duszy nie było. Nie dowierzałem już nurtom rzeki, wszedłem
 do t.w. "Ischy", tamś szedłem od głównego łajpaka Wisły oddzielonej.
 postanawiając je wasser przepłynąć. Wskazywał na niebezpiecznym
 Wskazywał rękami i pomażając sobie nogami, płynięciem wojno ku ta -
 mie. Na jakie półtora metra od tamy wyzerpany na sifach, sądząc, że wo-
 da musi tu być już płytki, opuściłem się - i w tejże chwili zapadłem się
 w przepaść ...
 Oczym się już na tamte. Co się ze mną działo, tego ani wówczas,
 ani też później wyliczając sobie nie umiałem, ani też nie pamiętam, bym
 czuwał wyświek ratowania się z topieli. Jakimś cudem - po inaszej okre-
 ślić wypadał tego nie potrafię - z topieli na środek tamy wyrzucony zo-
 stałem ? Fala mnie nie wyrzuciła, do podszosa którego dnia powierzonnis
 wody była gładka jak zwierciadło ; a ludzi też nikogo nie było. Wiąc cud
 oczywiasty.
 Nie wiem również, jak długo znajdowałem się pod wodą, a następnie
 tam był stosunkowo długo, bo nie mogę przez dłuższy czas temu dostać,
 donawiam uczucia, że pines mi pękają, że dużej się. Kto sam nie tonął
 i nadmiar wody w siole nie wohnął, nigdy nie pojmie, co to za męka
 nie mógł dostać tonu !

Wypadek następujący miał miejsce w latach, gdy dochodziłem dwu -
 dziesiątki. W grudniowy wieczór wyruszyłem z Tarnobrzega do Wrzaw, gdzie
 podówczas rodzice moi mieszkali. Mimo zimy pola nie były śniegiem przy-
 kryte. Kiedy zboczyłem na drogę z Nadbrzezia przez Trześń na Gorzyce
 prowadzącą, na świecie zaległa już była zupełna ciemność, a śnieg padać
 zaczął grubymi płatkami, które wiatr wschodni w twarz mi miotał. Droga
 bokami pełna była grudy, na której nie chcąc się w ciemności potykać i
 ch^odu sobie utrudniać, szedłem gładkim środkiem szosy, spuściwszy głowę,
 by twarzy na miotający śniegiem wichr nie wystawiać. Widziałem więc
 ledwie rysującą się przed nogami smugę drogi.

Z natury trochę marzycielsko usposobiony, idąc naprzód, oddałem
 się dumaniom, pod których wpływem zapomniałem, że środek drogi i to pod-
 czas nieprzeniknionych nocnych ciemności, nie jest dla mnie bezpieczny.

Kiedy minąłem most na Trześniówce, nagle przed stopami mymi wignę-
 ło jakieś nieuchwytnie, fosforyczne światełko. To mię zbudziło z zadumy
 i obejrzawszy się instynktownie poza siebie, raptem uskoczyłem w bok, a
 w tejże samej chwili minęła mnie w pełnym biegu czterokonna furmanka, a
 za nią także druga ... W ciemności furman nie mógł mnie dostrzec, a gdy-
 by nawet dostrzegł, nie byłby w stanie rozpędzonych koni ze staczającym
 się po pochyłej drodze wozem zatrzymać - i gdyby nie owe niepojęte świa-
 tełko, pod kopytami koni i kołami wozów byłbym niechybnie był zginął.

Takich i tym podobnych zdarzeń z życia mego mógłbym przytoczyć
 wiele, sądzę jednak, że parę ich wystarczy do wyrobienia sobie dosta-
 teczego pojęcia, wśród jakich niebezpieczeństw Opatrzność krokami mymi
 kierowała.

Było powodem opozycji pewnych członków tego Wydziału Powia-
 towego przeciw przyznaniu najszlachetniej należącej mi się płacy spoczynkowej
 za niespełnioną, szesnastoletnią służbę, za wybitki obywatelskie, co
 znieszczyły mi zdrowie, za pracę, której sam szef kancelarii, szefowie
 osobliście niechyt mi przychylny, intensywność przyznawał ?

Różne owe spoczynkowe wynagrodzenia przyznawane i rozmaitej natury
 zarzuty stawiali - smut w myśl nakazy : "Kto chce psa ugryźć, kij sam
 weso znajdzie".

A oto główne zarzuty :

XIII.

Ż y c i e p a r i a s a . - D z i k ó w p ł o n i e.

Choć życie biegło mi po grudzie, nie narzekałem, nie skarżyłem się na los, bo skarg i narzekań jałowych, jako nie licujących z godnością męską, nie lubię. Są atoli cierpienia, pod których działaniem najbardziej nawet zahartowana natura ludzka jęknąć musi. Darujcie przeto czytelnicy chwilowej słabości człowieka ułomnego.

Za dwunastoletnią służbę podrzędnego urzędnika XI rangi w tarnobrzeskim Wydziale Powiatowym należała mi się po przejściu w stały stan spoczynku z powodu silnie nadwyreżonego zdrowia dożywotnia emerytura. Tej płacy spoczynkowej, którą Wydział Powiatowy wyznaczał mi w okresie inflacji marki polskiej, nie biorę nawet w rachubę, bowiem wartość tego pieniądza z tygodnia na tydzień malejąca, spadła w końcu do zera.

Z chwilą wprowadzenia nowej waluty - „złotego”- wyznaczył mi Wydział Powiatowy na cały 1924 rok emeryturę w kwocie 60 zł, płatną w miesięcznych ratach ... Na skutek moich usilnych zabiegów, emeryturę tę na następny 1925 r. podwyższono mi do kwoty 180 zł rocznie czyli po 15 zł na miesiąc, - wreszcie skutkiem dalszych starań moich przyznano mi od kwietnia 1927 r. 480 zł rocznie czyli po 40 zł miesięcznie.

To niejednolite oznaczanie przez tarnobrzeski Wydział Powiatowy wysokości należnej mi emerytury samo za siebie aż nadto wiele mówi. Byli wprawdzie w Wydziale członkowie, ujmujący się za moją krzywdą, jak X. Józef Kasprzycki, wicedziekan i proboszcz grębowski, ale ci jako w mniejszości przegłosowani zostali.

Cóż więc było powodem opozycji pewnych członków tegoż Wydziału Powiatowego przeciw przyznaniu najśluszniej należącej mi się płacy spoczynkowej za nienaganną, sumienną, dwunastoletnią służbę, za wysiłki obowiązku, co zniszczyły mi zdrowie, za pracę, której sam szef kancelarii, aczkolwiek osobiście niezbyt mi przychylny, intensywność przyznawał ?

Różne owi opozycjoniści wynajdywali przyczyny i rozmaitej natury zarzuty stawiali - snąc w myśl maksymy : „Kto chce psa uderzyć, kij zawsze znajdzie”.

A oto główne zarzuty :

Życie partia... - Dzików pionier

Choc życie było mi po trudzie, nie narzekalem, nie skarżyłem się na los, bo skarg i narzekan jałowych, jako nie liczących z godnością męską, nie lubię. Szatoli cierpienia, pod których działaniem narodziła się nawet kapatowana natura ludzka jednak jałowa. Darujcie przede wszystkim chwilowej słabości człowieka ziemnego.

Na dwunastolatnia służbę podprędnego urzędnika XI rangi w zarobkowym Wydziale Powiatowym należało mi się po przejściu w stary stan spoczynku z powodu silnie nadwyrężonego zdrowia dożyłtnia emerytura. Tej piący spoczynkowej, którą Wydział Powiatowy wyznaczył mi w okresie inflacji marki polskiej, nie biorę nawet w rachubę, bowiem wartość tego piąca niema z tygodnia na tydzień malejąca, spadała w końcu do zera.

Z chwilą wprowadzenia nowej waluty - "zlotego" - wyznaczony mi był działy Powiatowy na cały 1924 rok emeryturę w kwocie 80 zł, później w miesiącznych ratach... Na skutek moich usilnych zabiegów, emeryturę tę na następnym 1925 r. podwyższono mi do kwoty 180 zł rocznie czyli po 15 zł na miesiąc, - wreszcie skutkiem dalszych starań moich przyznano mi od kwietnia 1927 r. 480 zł rocznie czyli po 40 zł miesięcznie.

To niestety oznaczanie przez zarobkowego Wydział Powiatowy wysokości należnej mi emerytury samo za siebie aż nadto wiele mówi. Byli w Wydziale członkowie, ujmujący się za moją krzywdę, jak K. J. Kępczycki, wicedyrektor i profesor geologii, ale ci jako w mniejszej części przegłosowani zostali.

Odtąd więc było powodem opozycji pewnych członków tegoż Wydziału Powiatowego przeciw przyznaniu należnej mi się piący spoczynkowej za niemałą, sumienną, dwunastolatnią służbę, za wielką opowieścią, zniszczyli mi zdrowie, za pracę, której sam eszt kancelarii, szkolniak osobiste niechcą mi przychyliły, intensywność przyznawali? Różne owe opozycjonistów wyrażali przychylny i rozmarzłej natury zarzuty stawiali - choć w myśl maksymy: "Kto chce pas uderzyć, kij na niego spadnie".

A oto śródnielane zarzuty :

1. iżem w sile wieku zgłosił dymisję ;
2. jakoby nie uiścił wkładek pensyjnych / zarzut to szefa kancelarii / ;
3. iżem sprzedał swoje osiedle w Dzikowie.

Na powyższe zarzuty postaram się pokrótce odpowiedzieć, a bezstronny czytelnik zestawivszy wyjaśnienie z zarzutem, sam sobie sąd wyrobi.

Ad 1/. Do ustąpienia z posady zmusiła mnie moja, coraz ostrzej występująca choroba, która od lata 1919 r. aż do chwili, gdy te słowa kreślę, trapi mnie coraz uporczywiej i pracować nie dozwalała. A wiem z doświadczenia, że dla niemocy mojej szef zrozumienia nie miał, - będąc zaś chorym, nie mógłbym jego wymogom zadość uczynić.

Ad 2/. Twierdzenie to jest z gruntu błędne, wkładki bowiem emerytalne uiściłem w całości za cały okres służby, co snadnie w księgach kasowych sprawdzić można. Albowiem z chwilą nadania mi dekretu stabilizacyjnego wpłacałem do rąk sekretarza wkładki za wszystkie lata wstecz po dzień 1 czerwca 1908 r., następnie co miesiąc wkładki bieżące stracała mi kasa z płacy służbowej.

Ad 3/. Osiedle sprzedać musiałem, było bowiem niepodobienstwem utrzymanie rodziny z jednej morgi pola.

Kto zaś miałby jeszcze wątpliwości co do usprawiedliwienia mego kroku ustąpienia z posady i wywędrowania ze stron rodzinnych, wyzbędzie się ich po rozpatrzeniu się w poniższym cyfrowym zestawieniu mego zarobku i wydatków w najpomysłniejszym roku służby w tarnobrzeskim Wydziale Powiatowym, w normalnym 1913 r., kiedy to miałem najwyższą płacę 1200 K rocznie czyli po 100 K miesięcznie / W latach poprzednich pobierałem kolejno po 60, 70 i 80 K miesięcznie /.

Rodzina moja składała się z ośmiu osób t.j. matki mojej, mnie, żony i pięciorga w wieku szkolnym dzieci.

Wydatki roczne w przybliżeniu wynosiły :

Obuwie / a raczej materiał na nie, bowiem obuwie sam wieczorami robiłem / dla 8 osób przeciętnie po 10 K 80 K.

Ubranie dla 8 osób przeciętnie po 10 K 80 "

1. Iżem w wiek zgłosił dymiąje :

2. Jakobyw nie miał wżadok pomyjnyoh \ karzut to zwała kan-

cezarit \

3. Iżem sprzedal swoje oledie w Dzikowie.

Na powyższe karzut postaram się pokrótce odpowiedzieć, a bez-
stronny oryfelnik zasrawiwy wyżalenie z karzutem, sam sobie sad wy-
robi.

Ad 1. Do następienia z posady zmuszila mię moja, coraz ostrzej
występująca choroba, która od lata 1919 r. aż do chwili, gdy te słowa
kreślę, trapi mnie coraz uporczywiej i pracować nie dozwala. A wiem
z doświadczenia, że dla niemozy mojej azet zrozumienia nie miał, -
będąc sam chorzym, nie mógłbym tego wymogom zadość uczynić.

Ad 2. Twierdzenie to jest a ginnu błędne, wiaduki bowiem eme -
tyczne nieltem w celosci za cały okres służy, co znalazł w książkach
kasowych sprzedawid można. Albowiem z chwili nadania mi dekretu ustalili-
kazyjnego wpisałom do rak sekretarza wiaduki za wszystkie lata watec
po datach i czerwiec 1908 r., następnie co miesiąc wiaduki pisałom strz -
cała mi kas z piacy słuźowej.

Ad 3. Oledie sprzedad musiałem, pyo bowiem niepodobniatem
utrzymanie rodziny z jednej morgi pola.
Kto zaś miałby jeszcze wżpliwosci co do naprawiedliwienia mego
krokn następienia z posady i wywędrowania ze stron rodzinnyoh, wyzję -
dale się ich po rozpatrzeniu się w ponizszym cyrtowym zestawieniu mego
zarobku i wydatków w najpomynijniejszym roku służy w tarnoprzeskim Wy-
dziale Powiatowym, w normalnym 1913 r., kiedy to miałem najwyższe pra-
ce 1200 K rocznie czyli po 100 K miesięcznie \ W latach poprzednich po-
dzieriem kolejno po 60, 70 i 80 K miesięcznie \

Robizna moja ekidala się z ośmiu osób t.j. matki mojej, żnie,
żony i pięcioro w wiek szkolnym dzieci.

Wydatki roczne w przybliżeniu wynosiły :

Opowie \ a raczej material na nie, bowiem opowie sam wieszami
ropizem \ dia 8 oddp przeciętnie po 10 K
80 K.
Upranie dia 8 oddp przeciętnie po 10 K
80 "

Bielizna, pościel dla 8 osób przeciętnie po 5 K	40 K.
Książki, zeszyty, bloki i i. przybory szkolne dla 5 dzieci	60 "
Wapno, mydło, nici i i. konieczne drobiazgi	24 "
Opał i światło	100 "
Asekuracja budynków, podatki, wkładki do towarzystw oświatowych i t.p.	90 "
Wydatki na święta doroczne / Wielkanoc i Boże Narodzenie /	20 "
Zbytek osobisty / gazety, korespondencja, tytoń /	16 "
Utrzymanie Zosi w seminarium nauczycielskim	300 "
Pasza dla krowy	około 100 "
Najem koni do uprawy jednomorgowego pola, nawóz, robocizna i t.p.	około 70 "
Poza tym nieraz wypadło zapłacić doktora i aptekę, to znów pękł garnek, pękła miska, pękło szkło lampy, zużyło się coś niezbędnego w domowym gospodarstwie, zjawiał się kwestarz, lub ktoś "po proszonym" i t.p. i t.p., co wszystko w sumie mogło wynieść kwotę	około 50 "
Razem	1030 "

Jak zatem świadczą powyższe suche cyfry, oszczędność moja dochodziła do ostatnich granic, a mimo to na konieczne środki żywności pozostało zaledwie 170 K na cały rok, czyli 6 - 7 h dziennie na osobę ...

Zwięźle mówiąc, siedmioro nas przez całe 12 miesięcy i Zosia przez dwa wakacyjne miesiące żyło wyłącznie z owej jednej morgi pola, albowiem oprócz wykazanych wyżej wydatków musiałem płacić jeszcze raty pożyczki, zaciągniętej w r. 1912 na dokończenie stawianych budynków.

Jakież więc było życie, jak rozwijało się zdrowie pozbawionych wszelkich przyjemności, ciągle głodnych i dygocących z zimna młodych istot ?...

Poinformowana zaś o ciężkim moim położeniu pewna wysoko postawiona osobistość radziła mi "życzliwie", bym "godził wydatki z przychodami"...

Taki jest bilans mojego bytowania w najpomyślniejszym roku. Co się zaś działo podczas wojny i zaraz po wojnie, szkoda nawet wspominać, bo dzieje te większości rodaków dobrze są znane.

Mógłby kto zwrócić uwagę, że jednak wielu funkcjonariuszy, pobierających taką samą, a nawet i niższą pensję, żyło jakoś. Zgadza się. Lecz trzeba być nieskończenie naiwnym, by sądzić, że owe głodomory egzystują wyłącznie z tejże pensji. Chcąc poznać rzeczywiste życie aktora, nie wystarczy samo obserwowanie występów jego na scenie, lecz trzeba zejść

40 K.	Bielana, posiedzi die 8 osob przescietnie po 5 K
80 "	Katoliki, zeszyty, pliki i i. przybory szkolne dla 5 dzieci
24 "	Wapno, wydlie, nici i i. konieczne drobiazgi
100 "	Opal i swiatlo
80 "	Askurcja budynkow, podatki, wiadki do towarzystwa odwiatawch i t.p.
80 "	Wydatki na swieta doroczne / Wielkanoc i Boze Narodzenie / po 10 K
16 "	Zbytek osobisty / gazety, korespondencja, tyton /
300 "	Utrzymanie Zosi w seminarium naukowo-fakim
około 100 "	Pasaż dla Krowy
około 70 "	Najem koni do uprawy jednorodowego pola, nawoz, robotnicy i t.p.
około 50 "	Posz tym nierez wypadko zaplacił doktor i apteka, to znów pekni garnek, pekni miska, pekni szkie lampy, au - jako się coś niezbędne w domowym gospodarstwie, stawił się kwestarz, lub ktoś "po proszonym" i t.p. i t.p., co wykazko w sumie moglo wyniesć kwote
1030 "	Razem

Jak zatem świadczą powyższe anote cytry, oszczędność moja docho-
 dają do ostatnich granic, a mimo to na konieczne środki żywności pozostaje zaledwie 170 K na cały rok, czyli 6 - 7 h dziennie na osobę ...

Związał mówiąc, studnioro nas przez cafe 12 miszicy i Zosi przez dwa wakacyjne miesiace żyło wyjeżdżanie z owej jednej morgi pola, albowiem oprócz wykazanych wydatków musiałem płacić jeszcze raty pożyczki, zacięgniętej w r. 1918 na dokonzenie stawianych budynków.

Także więc było życie, jak rozwijało się zdrowie pozostawionych wazeliach przyjemności, ciągłe głodnych i dygotających z zimna miedzych latów ? ...

Poinformowana zaś o ciężkim moim położeniu pewna wysoko postawiona osobistość zadziła mi "szewcizmie", bym "godził wydatki z przychodami" ...

Taki jest bilans mojego bytowania w najpomysłniejszym roku. Co się zaś działo podczas wojny i czasu po wojnie, zakada nawet wspominać, po dziale te większości robotków dobrze są znane.

Mógłby kto zaróć od uwagi, że jednak wielu funkcjonariuszy, po-
 tierających taką samą, a nawet i niższą pensję, żyło jakos. Zgadza się. Lecz trzeba być nieskocznie naiwnym, by sądzić, że owe giodomory egzy-
 stuje wyścianie z tąże pensją. Chociaż ponaud rzeczywiste życie aktora, nie wystarczy samo opierowanie występów jego na scenie, lecz trzeba zejść

z wygodnej łoży i zajrzeć także za kulisy.

Więc troje młóich dzieci z objawami skłóności do suchot zaprzestało chodzić do szkoły. Ja sam, nietylko duchowo, ale i fizycznie wyczerpany, począłem się słańać. Jakaż więc przyszłość nas czekała ? Miałem że, chroniąc dzieci od śmierci głodowej, posyłać je jako najmity na cudzą grzędę, to już lepiej niechby pracowały na niwie własnej, której nie mogą osiąść w stronach rodzinnych, poszukałem na kresach. Lecz zapóžno, bo odtąd przez kilka lat z rzędu siliłem się ratować wyniszczone na zdrowiu dzieci - z wynikiem jedynie paroletniego przedłużenia im gasnącego życia i utratą znojnego, długoletniego, skromnego dorobku.

A za to, iżem strony rodzinne porzucił, a raczej przez zawistny los zostałem z nich wygnany, wielu moralistów rzucało na mnie kamieniem potępienia ...

Takie są pobieżnie naszkicowane dzieje tej mojej Odyssei, na zakończenie której użyję zapóżyczonych u Krasinóskiego słów :

„Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wóciękłą !
I śmieró mi będzie tylko śmiercią drugą.
Jak Dant - za życia - przeszedłem przez piekło ”.

W tej właśnie chwili, gdy myśl w strony rodzinne wnie unosi, spóznione gazety przynoszą mi hiobową wieść, że zamek dzikowski, piękna neogotycka rezydencja hr. Tarnowskich - płonie ...

Ogień wybuchł 21 grudnia 1927 r. o godzinie wpóół do trzeciej w nocy.

W nawiedzonym katastrofą pałacu mieściło się wiele cennych zbiorów narodowej kultury, w szczególności sławna biblioteka dzikowska. Ocalało, jak podają gazety, około 60% zbiorów. Niestety, podczas ratowania znalazło w ogniu śmieró 9 osób, a kilka odniosło ciężkie rany z poparzenia. Inni zaś, a wśród nich bibliotekarz prof. Marczak, ledwie z życiem uszli. Tego ostatniego wynieśli z pod spadającego sufitu uczniowie gimnazjalni.

Dziwnym zbiegiem okoliczności hrabia w owych dniach - jak pisze krakowski „Czas” - bawił u lekarza w Berlinie ; hrabina z synem Janem na kuracji w Szwajcarii ; jeden z synów zachorował był w Krakowie, a tylko matka właśó ciciela spalonego pałacu, 88-letnia staruszka Zofia z hr. Zamojskich, była w domu.

Zawiadomieni drogą radiową o klęsce, wszyscy na miejsce katastrofy wrócili.

a wygodnej łóż i sztywno jakże za kulisy.

Więc troje wózków dźwiżył z objawami skłonności do snu i zaprzestano chodząc do szkoły. Ja sam, nie tylko duchowo, ale i fizycznie wyzerpały.

pożyciem się szaniąc. Także więc przyjechał nas czekać? Miałem że,

chronić daleki od śmierci głodowej, pozyskać je jako najmiły na cudoz

grzędę, to już lepiej niechby pracowały na niwie wiedzy, której nie mo-

gno postać w stronach rozbitych, poszukiwaniem na kresach. Leżąc zapadło,

po odjed przez kilka lat z rzędu szliem się ratować wyniszczona na zdro-

wiu daleki - z wynikiem jedynym parolentnego przedłużenia im gwałtownego

życia i utratą aniołowego, diabolicznego, skromnego dorobku.

A za to, iżem strony rozbite porzucił, a rzeszę przez zwiasty los

zostawiam z nich wygnany, wielu moralistów rzuciło na mnie kamieniem poje-

pienia ...

Takie są podobnie naznaczona dążeń tej mojej. Odzyskał, na zakon-

czenie której użyję zapożyczonych u Krasińskiego słów :

"Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo,

Moją rozpaczą bezprzebraną i wściekłą!

I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą.

Tak Dante - za życia - przeszedłem przez piekło".

W tej właśnie chwili, gdy wylądował w stronie rozbitej, przesiadł, spód -

niem Gazy przyjechał mi niebawem wieść, że zamek dąkowski, piękna neo-

gotycka rezydencja hr. Tarnowskich - płonie ...

Ogień wybuchł 21 grudnia 1927 r. o godzinie wpoł do trzeciej w nocy.

W niewiedzionym katastrofą pałacu mieszkało się wiele cennych zbiorów

narodowej kultury, w szczególności szwana biblioteka dąkowska. Ocalało,

jak podają Gazy, około 60% zbiorów. Niestety, podczas ratowania zna-

lazio w ogniu śmierć 9 osób, a kilka odniosło ciężkie rany z poparzeniami.

Imni zaś, a wśród nich bibliotekarz prof. Marzec, ledwie z życiem uciekli.

Tego ostatniego wynieśli z pod spadającego szlifu uczniowie gimnazjalni.

Dziwnym zbiegiem okoliczności hrabia w owych dniach - jak pisał

krakowski "Gazet" - bawił u lekarza w Berlinie; hrabia z synem Janem na

kuracji w Szwejcersii; jeden z synów zachorował był w Krakowie, a tylko

matka wraz z dziećmi spalonego pałacu, 88-letnia starszuszka Zofia z hr. Za-

wojskich, była w domu.

Zawiadomieni drogą radiową o klęsce, wszyscy na miejsce katastrofy

wrócili.

N a P r o s z o w s k i e j z i e m i .

Piękna jest i bogata w urodzaje ta ziemia Proszowska, na której tle Kazimierz Brodziński wyśpiewał „Wiesława”, ową słoneczną krakowską sie - lanke. Niestety, ta jej urodzajność pozbawiła ją przed laty właściwych lasów, które lasom zbóż ustąpić miejsca musiały.

Ziemia - matka Kościuszkowskich kosynierów. Ale pamięć na czyny oj - ców, jakie się ongiś pod niedalekim Racławicami rozegrały, wśród ludu tu - tejszego zachowała się na ogół dość słabo. Długa niewola odcisnęła i tu swe wraże piętno.

Siedzę tu na szczątku rozparcelowanych dawnych dóbr biskupów krakow - kich. Z paroletniej obserwacji i przykrych doświadczeń doszedłem do wnios - ku, że ostatni dzierżawcy Karwina nie wywierali snąc dodatniego wpływu na miejscową ludność. Zacoiania tu dość, dążność do oświaty znikoma, choć są - siednie wioski, jak Szarbia, Wronin i inne dążą zabiegliwie do swego tak duchowego jako też gospodarczego podniesienia.

Szczególnie pobliska Szarbia, wieś stosunkowo nie duża, ale posiada - jąca dzielnych mieszkańców, zbiorowością obywatelskich wysiłków wybiła się na czoło okolicznych wiosek. Od r. 1917 powstały w niej następujące stowa - rzyszenia i spółdzielnie : 1/. Kółko rolnicze, 2/. Dom ludowy, 3/. mle - czarnia, 4/. kasa Stefczyka, 5/. Związek młodzieży wiejskiej, 6/. Koło kobiet

Rzecz prosta, że postęp w sposobie uprawy pól i doborze płodozmianu jako też w hodowli bydła jest tu widoczny.

Duchownemu i gospodarczemu rozwojowi tejże wsi przodują : Tomasz Czarnota, syn jego Kazimierz, Piotr Tomczyk wójt, jako też bracia Marcińscy.

Tomasza Czarnotę poznałem osobiście u wspomnianego wójta Tomczyka wkrótce po moim zamiesz^zaniu w Karwinie. Jest to małorolny gospodarz, ideal - ny typ chłopca polskiego. Do szkoły nie chodził, mimo to ukochawszy książkę, sam się niepoślednio wyszkolił. Umie nawet pisać wiersze, które rad przy okolicznościach deklamuje. Oto jeden z utworów Czarnoty, ganiący dosadnie nałóg palenia tytoniu, ułożony w formie krakowiaka :

Chłopcy z pod Krakowa, przypatrzmy się zbliska,
Jacy to z nas teraz paskudni ludziska !
Kaździutki mężczyzna prawie tytoń pali,
Gdzie którego ujrzysz - z ust mu się dym wali.

XIV.

W a P r o s z o w a k i e j z i e m i .

Piękna jest i bogata w urodzaje ta ziemia Proszowska, na której sta-
 - Kasimierz Brodzinski wydzierał „Wisławę”, owe słoneczne krakowskie sie-
 - lankę, Wisławę, ta jej urodzajność pozostawia ją przed laty wisławskich
 - lasów, które lasom zdobę ustąpić miejsca musiały.

Ziemia - matka Kościuszkowskich koszyków. Ale pamięć na czyny oj-
 - ców, jakie się ongiś pod niedalokimi Radoławicami rozegrały, wiodą ludu tu-
 - leższego zachowała się na ogół dość słabo. Długo niewola obdłamała i tu
 - swe wraże piętno.

Gdzie tu na szczątku rozparczelonych dawnych dóbr działków krakow-
 - kich. Z paroletniej obserwacji i praktycznych doświadczeń doszedłem do wnio-
 - sków, że ostatni dzierżawcy Karwina nie wytworili żadnego dodatniego wpływu na
 - miejscową ludność. Zwołania tu dość, dążność do oświaty nikoma, choć sa-
 - miednie wieści, jak Szarbia, Wronin i inne dają szkielety do swego tak
 - duchowego jako też gospodarskiego podniesienia.

Szczególnie polska Szarbia, wiesz stonankowo nie dąsa, ale posiada-
 - jąca dalekich mieszkanców, zbirowością opywatelskich wytyków wydzia się
 - na czono okolicznych wiosek. Od r. 1917 powstały w niej następujące stowa-
 - rzyszenia i spółdzielnie : 1. Kółko rolnicze, 2. Dom ludowy, 3. Mie-
 - szkańcy, 4. Kasza Stolarska, 5. Związek miodolaski wiejskiej, 6. Kółko kółek
 - Rzesz prosta, że postępy w sposobie uprawy pól i doborze płodowianu
 - jako też w hodowli bydła jest tu widoczny.

Duchownemu i gospodarzemu rozwojowi tutaj wai przodują : Tomasz
 - Gzarnota, syn jego Kasimierz, Piotr Tomasz wójt, jako też bracia Marcinowy.

Tomasz Gzarnotę poznałem osobście u wspomnianego wójta Tomaszka
 - wzięto go moim zamieszaniem w Karwinie. Jest to młody gospodarz, ideal-
 - ny typ chłop polskiego. Do szkoły nie chodził, mimo to ukochawszy książkę,
 - sam się niepoślednio wyszkolił. Umie nawet pisać wiersze, które rad przy-
 - okolicznościach deklamuje. Oto jeden z utworów Gzarnoty, ganący dosadnie
 - każdy palenie tytoniu, nicożony w formie krakowiaka :

Chłopy z pod Krakowa, przystawaj się zbliska,
 - Jacy to z nas teraz psakami ludziska !
 - Każdątki męszczyzna prawie tyton pali,
 - Gdzie którego utrzymasz - z nas mu się dym wali.

Dymią się każdymu, jak gdyby z komina,
 Żaden się nie wstydzi, lecz jeszcze nadyma.
 I niejedna żona powstaje co ducha :
 „Wyniosłbyś się z izby, paskudny śmierdziuchu!”
 Niejeden na tytoń nawet jajka kradnie
 Żonie pokryjomu ... Och, jak to nieładnie !
 Niejednejby z mężem milej z mężem było,
 Gdyby to śmierdziarstwo z ust mu nie waliło ...
 Chciałby pocałować, - żona w nogi za piec :
 „Ty paskudny smrodzie, wynos mi się stąd precz!”
 Także i ojcowie wiele na tym tracą,
 Bo i chłopcy kradną i żydków bogacą.
 Lada smarkacz matce porwie jajek z domu
 I niesie do żyda : „Daj prędko tytoniu!”
 Niechże się z nas każdy z tą plagą obliczy
 I pójdzie śladami tamtych od Pilicy,
 Co to uchwalili, pełni w siebie wiary,
 Nie palić pod groźbą najsurowszej kary.
 Już się żony cieszą, że im lepiej będzie :
 Będzie sól i mydło i na światło zbędzie.
 Walczmy więc z paleniem ostro, jak kto może,
 W czym z całego serca życzę wam : Szczęść Boże !

Utworów swych Czarnota do druku nie posyłał ; pisał je w wolnych od pracy chwilach, ot tak dla własnej przyjemności. Czytałem ich kilka w rękopisie ; są to wiersze nastrojone na ton patriotyczno - religijny.

Młody Kazimierz Czarnota zupełnie wdał się w ojca : z zapałem pracuje społecznie w swojej kochanej Szarbi i od czasu do czasu również wiąże rymy.

W kierunku postępowej gospodarki rolnej dodatni wpływ wywiera na miejscową ludność dwór w Wierzbnie, co to ledwie o miedzę z Karwinem sąsiaduje. Dziedzic Wierzbna, Dr. Teofil Szańkowski, którego hodowli żyto, „wierzbińskim” zwane, zdobyło zasłużoną sławę nietylko w całej Polsce, ale i poza granicami kraju, - to rolnik zawołany i gospodarz zambiegliwy.

Osobliwością Karwina, której mu inne wioski słusznie zazdroszczą, jest nowy, murowany budynek szkoły powszechnej, do chwili, gdy te słowa kreślę, wprawdzie nie ze wszystkim jeszcze wykończony, ale już na początku roku szkolnego 1927/28 do użytku otwarty. Sprawa budowy tejże szkoły wlokła się od r. 1922.

Oj, byłoż to, było utrapienia co niemiara, zanim szkoła stanęła ! Ludziska bowiem, jakkolwiek dzieci ich dusiły się we wynajmowanej, ciasnej i wilgotnej izbie, a nauczyciel tak z powodu braku odpowiedniej sali, jako też przyzwyczajonego dla siebie i rodziny swej mieszkania tracił zdrowie, - nie mieli jakoś dla tak ważnej sprawy należytego zrozumienia.

Wszystko się zaczęło, jak gdyby z komina,
 Każdy się nie wzdychał, lecz jeszcze nadyma.
 I niejedną łonę powstaje co dymu ;
 „Wyniosłoby się z łąki, psakudy emierdzianu!”
 Nijeden na tyłach nawet jakże kraknie
 Żonie pokrętym ... Och, jak to nieładnie !
 Nijedenby z mężem miał z sobą dyko,
 Gąpy to emierdzianstwo z ust mu nie waliło ...
 Chciałoby pociągnąć, - łona w nogi za pise ;
 „Ty psakudy emierdzian, wynos mi się stąd przecz!”
 Także i ojcowie wiele na tym trzecz,
 Bo i chłopcy krakną i kądkiw podacz.
 Łada emierdzian może porwie jak z domu
 I niecie do dyka : „Daj grędko tytoniu!”
 Niechże się z nas każdy z te piazę odliczy
 I pójdzcie dżadmi tamtych od pilicy,
 Co to nowalili, pełni w siebie wiatry,
 Nie palie pod grzędą najczarowszej kary,
 Już się łony cieszak, że im lepiet będzie ;
 Będzie sól i wdyko i na światie zjedzie.
 Włażemy więc z palaniem ostro, jak kto może,
 W okym z ostro serce żywe wam : Szczęść Boże !

Utworów swych Gzarnota do druku nie pozyszał ; pisał je w wolnych
 od pracy chwilach, ot tak dla własnej przyjemności. Gzarnota ten kilka
 w rękopiśmie ; są to wiersze napisane na ten patriotyczny - religijny.
 Kiedy Kazimierz Gzarnota zupełnie wdał się w oświe : z zapalem
 przetrwał spóźnienie w swojej kochanej Szarpi i od czasu do czasu również
 wiaze żywy.
 W kierunku postępowej gospodarki i innej doświadczeni wpływ wywiera na
 miejscową ludność dwór w Wierzbnie, co to ledwie o miłość z Kazimierzem
 sąsiaduje. Długo Wierzbna, Dr. Teofil Szachowski, którego hodowli
 było „wierzbińskim” zwano, zdobyło zasłużoną sławę nie tylko w całej
 Polsce, ale i poza granicami kraju, - to rolnik zasolany i gospodarz za-
 bieglawy.
 Społeczność Karwina, której mu inne wioski również szanowały,
 jest nowy, młody budynek szkoły powstanie, do chwili, gdy te słowa
 kreśli, wprowadzanie nie ze wazyskim jeszcze wykonany, ale już na począt-
 ku roku szkolnego 1927/28 do użytku otwartą. Sprawa budowy tej szkoły
 wlokła się od r. 1923. Wtedy to, jak się okazało, było to niełatwe
 i trudne, było utrudnione co najmniej, zanim szkoła stanęła !
 Ludziska powiem, jakkolwiek dzieci ich duszy się we wynajmowanej, ciesz-
 nej i wyczerpanej łonie, a naukowcy tak z powodu braku odpowiedniej sali
 jako też przyzwyczajonego dla siebie i rodziny ewentualnie mieszkanie trzech zbro-
 wie - nie mieli jakos dla tak ważnej sprawy należącego rozważenia.

Drażnił ich głównie przymus bezpłatnej zwózki wszelkiego, na budowę szkoły potrzebnego materiału z oddalonych stron.

Także odnośne władze, od których dobrej woli pomyslnie przeprowadzenie budowy zawisło, dość obojętnie sprawę tę traktowały. Nawet zainteresowane w tej sprawie najbliższe wsi - Wierzbno i postępową Szarbia - wprost nieprzyjaźnie do niej się odnosiły, a to z tej racji, iż z chwilą otwarcia uczelni w Karwinie szkółki w tychże wioskach ulegną zwinięciu, a dzieci do oddalonej karwińskiej szkoły chodzić będą musiały.

Główna zasługa pomyslnego doprowadzenia budowy do końca przypada kierującemu nauczycielowi tejże szkoły, Janowi Chołdzie, który mimo piętrzących się ciągle trudności, niezrażony sarkaniem i wymysłami niechętnych szkole ludzi, - nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, lecz niestrudzenie łamał wszelkie zapory i kroczył śmiało naprzód, aż dzieła dokonał.

Czerpiący z tej szkoły wiedzę przyszli obywatele będą w późne lata dzielnego nauczyciela z wdzięcznością wspominać.

Już umieszczona na końcu X rozdziału wzmianka o nocnym poszukiwaniu przez mieszkańców wsi u mnie w studni skarbów, daje wystarczającą miarę intelektu pewnej części tutejszych ludzi. To też na brak urozmaicenia monotennie płynących mi tu dni skarżyć się nie mogę, aczkolwiek urozmaicenie to bardzo niepożądane.

Jedno z takich urozmaiceń, które szerszym echem po okolicy się rozniosło, miałem w okresie wielkanocnej spowiedzi 1928 r., a to tak było:

W początkach lutego, potrzebując pieniędzy na zapłacenie podatków, sprzedawałem miejscowemu kupcowi 10 kwintali owsa. Gotówkę kupiec uścił, lecz zakupionego owsa od razu nie zabrał. Zboże to mieściło się w spichlerzu, na kupę zsypane. Spichlerz ma dwoje drzwi, z których jedno jako zbyt wysokie, drągami były od wewnątrz podparte, drugie zaś wejściowe na dobrą kłódkę zamknięte. Pewnej nocy przy końcu marca amatorzy cudzej własności, dostawszy się do spichlerza ciasnym, w ścianie nad ziemią wybitym otworem, odtarasowali drzwi i wynieśli kilka kwintali owsa.

Skoro wczesnym rankiem syn mój dostrzegł kradzież, udał się na tychmiast na posterunek policji państwowej w Igołomii z doniesieniem o szkodzi.

Nad wieczorem dopiero przyszło dwóch posterunkowych. Obejrzel, rękami wypadał.

Pracę ich głównie przyniosła bezpłatna świadomość, na budowę
 szkoły potrzebnego materiału z oddalonych stron.
 Łatwe odnawianie wiadomości, od których zależy wola pomysłowa przyspowa-
 -żenie budowy swawilno, choć obojętnie sprawę tę traktowały. Nawet zain-
 teresowane w tej sprawie najbliższe wsi - Wierzbno i Postępowo Szarbia
 - wprost nieprzyjęli do niej się odnosiły, a to z racji, iż a
 chwila otwarcia nocelni w Karwinie szkółki w tychże wioskach niegdy
 zwinieciu, a dalsi do oddalonych karwińskich szkół chodzili będą musieli.
 Główna kaszubska pomysłowość doprowadzenia budowy do końca przyniosła
 kierującemu naukowemu tejże szkółki, Janowi Chodźbie, który mimo pię-
 -ciopięcioletniej ciężkiej trudności, niezachowany szkodliwym i wywyższaniem niechęć-
 -nych szkole ludzi, - nie spoczął, nie dojadł, nie dospiał, lecz niestra-
 -żenie i zamiar wszelkie sprawy i krocząc śmiało naprzód, aż dalsze dokonali.
 Oczekujący z tej szkółki wiedzę przyszedłi opytali będą w późnym ja-
 -sniowym miesiącu z wdzięcznością wspominał.
 Tak umieszczona na końcu X rozdziału wiadomość o naszym poszukiwa-
 -niu przez mieszkańców wsi u mnie w studni skarbów, daje wyobrażenie
 - miarę intelektu pewnej części ludności. To też na brak zrozumia-
 -nia monotonnie płynących mi tu dań skarbów się nie mogę, szkolniak
 -rozumienia to bardzo niepojętne.
 Jedną z takich wiadomości, które szerszym echem po okolicy się
 rozniósł, miałem w okresie wieloletniej spowiedzi 1928 r., a to jak było
 - W początkach lutego, potrzebując pieniędzy na zapłacenie podatków,
 -sprzedawałem miejscowemu kupcowi 10 kwintali owsa. Gośćkę kupiec wziął,
 -lecz zakupionego owsa od razu nie zapłacił. Choć to wiedział się w spich-
 -lerzu, na kupę zapłacił. Spichlerz ma dwie drzwi, a których jedna jako
 -zpytałem, drzwiami były od wewnątrz podarte, drugie zaś wejściowe na-
 -dobrze kładkę zamknięte. Pewnej nocy przy końcu marca smatary cudzej
 -wchodził, dostawczy się do spichlerza oisany, w ścianie nad kłami wy-
 -bitym otworem, odzyskował drzwi i wyniósł kilka kwintali owsa.
 -Skoro wczesnym rankiem słońce wstąpiło, drzwi, widać się na-
 -tychmiast na posterunek policji państwowej w Igołowie i doniesieniem o
 -szkodzie. Wówczas policja przyjechała i wzięła pod uwagę sprawę.
 -Nad wieczorem dopiero przyjechało dwóch posterunkowych. Opatrzeli,

wypyтали i poszli. Ponieważ była to jednak stosunkowo znaczna kradzież, nad którą trudno przejść do porządku dziennego, więc owi policjanci - których nazwisk lepiej że nie wymienię - chcąc snąć okazać swą sprężystość, postanowili działać. Ale widno sami nie bardzo dufali w swój zmysł śledczy, albowiem na trzeci dzień po dokonanej kradzieży dobrali sobie dwóch chłopów z Karwina - niby Sherlocka Holmesa i doktora Watsona - by ci śledztwo im ułatwili. Owi zaś „detektywi”, przejęci ważnością powierzonej sobie misji, orzekli z góry, iż złodzieje ukrasć owsa nie mogli ... Zeznanie to wystarczyło zupełnie policjantom za powód, by mnie i syna mego zaskarżyć do sądu w Proszowicach o oszustwo ukrycia owsa na szkodę kupca ...

Na rozprawie sądowej zjawił się w sukurs skarżącemu posterunkowemu przewodnik policji państwowej z Proszowic, który - jakkolwiek o całej sprawie tyle wiedział, co mu tamten powiedział - domagał się od sądu „surowego ukarania winnych zbrodni popełnionego oszustwa Kurasiów”...

Warto na koniec zaznaczyć, że zaraz po dokonaniu przez policję wstępnego śledztwa odkryliśmy dalszą szkodę, mianowicie skradzenie na strychu spichlerza jeszcze dwu puchowych poduszek, na których ukochana Marysia ostatnie tchnienie wydała. Ale przypatrzysz się już na wstępie sposobowi śledztwa policji, zamiast ją o tym odkryciu uwiadomić, westchnąłem tylko : Od powietrza, głodu, ognia i wojny - i od podobnej ochrony policyjnej - zachowaj nas Panie ! ...

Dla charakterystyki, jak u nas chrześcian-katolików pojmowane jest siódme przykazanie, przytoczę małego szczegół.

W jesieni 1926 r. odstawiając dla cukrowni w Chybiu wyprodukowane u siebie buraki, przy ładowaniu ich na wóz doglądałem osobiście, by produkt był czysty. Zajęci robotą ludzie śmiali się z tych moich skrupułów.

Przy wypłacie należności za dostawione buraki odtrąciła mi cukrownia od każdych stu kilogramów aż po 7 kg rzekomo z powodu „zaśmiecenia” ... A kiedy karwińskiemu sołtysowi wspomniałem o tej niesprawiedliwości, ten rzekł dosadnie : - „A, widzi pan ! ... Niech się pan uczy kraść”.

Powiadają, że „bieda jest złym doradcą”. Całkiem słusznie. Ale też prawdą jest i to, że „przykład idzie z góry”, jak w przytoczonym z burakami wypadku.

wypytali i poszli. Ponieważ była to jednak stosunkowo znaczna kradzież, nad którą trudno przejąć do porządku dziennego, więc owi policjanci - których nazwisk lepiej nie wymieniać - chętnie zgodzili się na spotkanie i rozmowę, postanowili działać. Ale widno sami nie bardzo ufali w swoją myśl i zdecydowali, albowiem na treści daty po dokonanej kradzieży dobrali sobie dwóch chłopów z Karwina - nigdy Sherlocka Holmesa i doktora Watsona - by ci śledztwo im ułatwili. Owi zaś "detektywi", przejęci ważnością powierzonej sobie misji, orzekli z góry, że śledztwo ukradł ówś nie mogli... Ze względu na wyjątkowość sprawy policjantom za powód, by im nie i syna mego zaszkodzić do sądu w Proszowicach o oszustwo ukrywa ówś na szkodę kupca...

Na rozprawie sądowej zjawili się w sukursi skrzyżowani posterunkowo-emu przewodnik policji państwowej z Proszowic, który - jakkolwiek o całej sprawie tyle wiedział, co mu tamten powiedział - domagał się od sądu "sukursu ukrycia winnych zbrodni popełnionego oszustwa Karwina"...

Warto na koniec zaznaczyć, że zaraz po dokonaniu przez policję następnego śledztwa odkryliśmy dalsze szkodę, mianowicie skradzenie na różnych epichlerach jeszcze dwa puchowce poduszek, na których ukochana Matylda ostatnio tonienie wybrała. Ale przypatrzycie się już na następne sposoby śledztwa policji, zamieszają o tym odkryciu wiadomości, west - chnieć tylko: Od powiatu, Giedu, ognia i wojny - i od podobnej ochro-ny policyjnej - zachowaj nas Panie!

Dla charakterystyki, jak u nas chrześcijańsko-katolików pojmowane jest siódme przykazanie, przytoczę małej szereg...

W październiku 1928 r. odstawiając dla okrowi w Głębim wyprodukowa-ny na siebie buraki, przy badaniu ich na wóś doświadczyliśmy, by produkt był czysty. Najedł robotę naszą śmiali się z tych motów skru-tyków.

Przy wypicie naleśyłości za dostawione buraki odtrąca mi cu - krowia od każdej stu kilogramów są po 7 kg trzasko z powodu "zamięce-nia". A kiedy karwińskiemu sołtysovi wspomniałem o tej niesprawiedli-wości, ten trzaski doszedł: - "A, widzi pan!... Niech się pan uszy kradł".

Powiadają, że "niech się żyć doradę". Całkiem słusznie. Ale też prawdą jest i to, że "przykład idzie z góry", jak w przytoczonym z pu-tykami wypadku.

Przyznać trzeba, że mieszkańcy Karwina nie mają raju na ziemi. Wiele rodzin, szczególnie wśród osadników, nie ma dachu nad głową, nie ma gdzie chudoby pomieścić, a znaczna część mieszkańców tonie w długach, jak to się mówi „po uszy”. Więc niemal wszyscy, chociażby mieli jedną tylko krowinę, ostatnią kapkę mleka odnoszą do mleczarni szarbiańskiej, byle tylko koniec z końcem jakoś związać, zadawalając się przy odżywianiu mlekiem odtłuszczonym.

Tymczasem spadają na nich ciężary w postaci różnych powinności, jakie udźwignąć trudno. Bo prócz świadczeń na rzecz budowy szkoły, prócz uciążliwego przymusu szarwarkowego na tutejszych, przedpotopowych drogach, oraz nakazanych bezpłatnych robót i podwód przy rozpoczętej w r. 1927 budowie szosy na starej drodze z Posądy przez Wierzbno do Igołomia prowadzącej, wreszcie nadmiernych podatków i różnych, także przymusowych opłat, jak asekuracje i t.p. - gniotą ludność niepomiernie także parafialne ciężary.

Już z chwilą objęcia gospodarstwa w Karwinie musiałem od każdej morgi nabytej ziemi, bez względu na to, czy to odzóg, czy nieużytek, złożyć pewien datek na kupno kawałka pola, potrzebnego na rozszerzenie parafialnego cmentarza w Poborowicach. Zaraz potem proboszcz, X. Wojciech Dunał, ściągał z parafian po 1 zł z każdej morgi posiadanego gruntu na sprawienie szat liturgicznych, - wreszcie obłożył nas podatkiem po 2 zł z morgi na postawienie mu nowej stodoły ...

Do użytku proboszcza było do niedawna 8 mórg pola w Poborowicach, w ostatnich jednak czasach przybyło mu jeszcze 12 mórg z rozparcelowanego w sąsiednich Wiąckowicach majątku państwowego. Przedstawiali ludzie proboszczowi, by owe 12 mórg puścił na lat parę w dzierżawę i za uzyskany tą drogą czynsz stodołę sobie postawił, albowiem owe 8 mórgów i dotychczasowa stodoła mogą mu na razie wystarczyć, tak, jak przez długie lata starczyły poprzednim proboszczom, - lecz darmo! - „Płaćcie i płacie!” - woła, nie chcąc zrozumieć nagiego faktu, że wiele dzieci chłopskich nie ma nietylko butów, ale i koszul, że u wielu brak grosza na ratowanie chorych członków rodziny.

A skoro wołania jego o pieniądze nie zawsze odnosiły pożądanego skutku, w niejednym wypadku uciekł się do sposobu wymuszania przy u -

Przyrząd trzeba, że mieszkanie Karwina nie waga się na ziemi.
Wiele rodzin, szczególnie wśród osadników, nie ma dachu nad głową, nie
ma gdzie chłubny pomieszczyć, a znaczna część mieszkańców tonie w długach,
jak to się mówi "po uszy". Wiele niemal wsi, chociażby wsi Jedna
tylko krowinę, ostatnią kapkę miśka odnosi do mieszczni szarych.
Byłoby tylko koniec z koncem jakiegoś związku, zabawiając się przy odzyska-
niu miśkiem odzyskanym.

Tymczasem spadają na nich ciężary w postaci różnych podatków,
jakie udzielał trudna. Bo prócz świadczeń na rzecz budowy szkoły, prócz
uczelninowego przynależności szarych, na szarych, przedpoczątkowych dro-
gach, oraz należnych bezpłatnych robót i podwójną przy rozporządzeniu w r.
1927 budowie szkoły na starym grodzie z podatkami przez Wierzbno do 1930
prowadzonej, wreszcie nadmiernych podatków i różnic, jakie przyniosły
opłat, jak ubezpieczenie i t.p. - aniżda ludność niepełniła także para-
tynie ciężary.

Już z chwili objęcia gospodarstwa w Karwinie musieli od każdej
morgi nabyć ziemi, bez względu na to, czy to odległa, czy bliższa, zio-
łyć pewien datok na kupno kawałka pola, potrzebnego na rozszerzenie pa-
ralicznego ementaru w Bobrowicach. Głównym potem profesorem, X. Wojciech
Dunał, zaczął z parafian po 1 zi z każdej morgi posiadanej gruntu na
oprawienie szat liturgicznych, - wreszcie obłożył nas podatkiem po 2 zi
z morgi na postawienie mu nowej stodoły ...

Do wątku profesora było do niedawna 8 morgi pola w Bobrowicach,
w ostatnich jednak czasach przybyło mu jeszcze 12 morgi z rozparcelowa-
nia w sąsiednich Wiskowicach majątku państwowego. Przedstawiali indziej
profesorowi, by owe 12 morgi przelał na lat parę w dzierżawę i za uzyska-
ny za drogą czynsz stodołę sobie postawił, albowiem owe 8 morgów i do-
tychczasowe stodoła mogą mu na razie wystarczyć, tak, jak przez długie
lata starczył poprzednim profesorom, - lecz darmo! - "Piacie i pięć-
cie!" - wola, nie chcąc zrozumieć naszego faktu, że wiele daleko chrop-
skich nie ma nietylko podwór, ale i kosał, że u wielu brak grochu na ta-
lowanie chorob czosnków rodzinny.

A skoro wiązania jego o pieniędże nie zawsze odnosiły posiadany
dlań skutek, w niżejdanym wypadku uciekł się do sposobu wymuszenia przy u-

dzieleniu posług religijnych, wreszcie począł zalegających wypominać z ambony ...

To też i ludziska nie przebijają w środkach zdobycia „dóbr doczesnych” i niejedni nie wstydzą się twierdzić, że „ukraść - to nie grzech” ... Jest to swoiste rozumowanie : Ukradnę, zapłacę ; pójdę do spowiedzi, otrzymam rozgrzeszenie - i będę dobrym katolikiem ...

Z jednej strony prawdziwa, z przed wieku pańszczyzna w wieku dwudziestym, z drugiej wyrywa się z gardła okrzyk : Światła ! Więcej światła !

I błogosławieństwo pańszczyźnianych w Bogu spoczywających rodziców ...
ni, co upolowy wiodła swą drogą jeszcze niewinna, młodociana ...
były dla niej w następnych latach tarazą, od której wznosiła się ...
Jako się, „jak piasek od pancierza”.

I były, jak ów nektar upojny, co rozlewało w straszliwym ...
się z przeciwnościami życia ...
nieca, siły do wytrwałego ...
na wytrwałym ...

Wielki światło !

Proszę ...
Szary ...
Piszę ...

I wielka ...
została tylko ...

I kiedy świat ...
ciągle w duszy ...
pisani ...

Pisani ...
swego ...

Szedłem więc ...
lat ...

I widzę ...

„Niek ...
Znikł ...”

A jeżeli ...

W datowaniu posiedzeń religijnych, wreszcie poezji religijnych

z ambony ...

To też i ludzka nie przeszedła w środziskach zdobyta „dóbr do-
czasných” i niejedną nie wyjął się twierdzić, że „ukradł” - to nie
grzech” ... Jest to swolajstwo rozumowania : Ukradną, zaplącając ; pójde do
spowiedzi, otrzymam rozgrzeszenie - i będę dobrym katolikiem ...

Z jednej strony prawdziwa, a przed wieki panosząca w wieki
dwudziestym, a drugiej wyrwa się z gardła krzyk : Świstia ! Więcej

Świstia !

[The following text is extremely faint and largely illegible due to the quality of the scan. It appears to be a long, multi-paragraph piece of text, possibly a letter or a journal entry, continuing the themes of the previous sections.]

XV.

Ś p i e w a j c i e p i e ś n i !

„Wiek rozwiął me marzenia,
Znikł urok błogich lat,
Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat”.

Skoro obecnie cofnę się myślą w ubiegłe lata młodości, co prawda smutnej i chmurnej, lecz i górnej, przychodzi mi na pamięć powyższa zwrotka pieśni do Anioła Stróża, przez moich rodziców każdego dnia rano i wieczorem w czasie mych pachołących lat śpiewanej.

I błogosławię pamięć w Bogu spoczywających rodziców za owe pieśni, co upoiwszy melodią swą moją jeszcze niewinną, młodocianą duszę, były dla niej w następnych latach tarczą, od której wszelkie zło odbijało się, „jak piasek od pancerza”.

I były, jak ów nektar upojny, co rzeźwiąc w straszliwym zmaganiu się z przeciwnościami życia szłaniające się ciało i mdlejącą duszę, podnieca siły do wytrwałego kroczenia mimo tysięcznych przeszkód naprzód ku wytkniętemu celowi.

Powiedział wieszcz :

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało”.

I wielką prawdę powiedział. Z wszystkiego, co życie mi dało, pozostała tylko pieśń. Pieśń w duszy zaklęta.

I kiedy świat zmienił się dla mnie w grób milczenia, pieśń ta ciągle w duszy mi grała. Niemilknąca, niewyczerpana tworzyła z siebie pieśni nowe.

Pieśni nieme, a jednak głośnie, tak głośnie, że potęgą dźwięku swego głuszyły zgrzyty złych mocy zwątpienia.

Szedłem więc naprzód wytrwale przez ciernie żywota, aż u schyłku lat moich wkroczyłem w królestwo milczącego smutku.

I widzę dziś świat inny, całkiem inny od świata ongi marzonego.

„Wiek rozwiął me marzenia,
Znikł urok młodych lat”...

A jeżeli nie załamam bezradnie rąk, jeżeli z gestem niechęci

XV.

S p i e w a j e p i e ś n i

"Wiek rozwił me marzenia,
Znikł krok młodych lat,
Ach, imnie dał wrażeń,
Gdy truce okiem w świat".

Skoro obecnie cofnę się myśl w udzielną lat młodocia, co prawda
smutnej i chmurnej, lecz i górnej, przychodził mi na pamięć powstaje
zwrotka piosenki do Anioła Stróża, przez moich rodziców każdego dnia rano
i wieczorem w czasie mych pacholących lat śpiewanej.

I piosenkawie pamięć w Bogu spoczywających rodziców za owe piosenki
ni, co upoiwszy melodią swą moją tęsknotę niewinną, młodocianą duszę,
były dla niej w następujących latach tarczą, od której wszelkie się oddzieli -
tako się. "Tak piosenki od piosenek".

I były, jak ów nektar upojny, co rozwił w straszliwym zamęczeniu
się z przeciwnościami życia zmieniające się ciało i wdzięczą duszę, pod-
nieca się do wyższego kroczenia mimo tysięcznych przeszkód naprzód
ku wyznaczonej celowi.

Powstała wiesz :

Piosenki rozrywała malowane dźwięki,
Głębokość miłości spustosa młodzieży,
Piosenki w świat".

I wielek prawdę powstała. Z waszytkiego, co życie mi dało, po-
stała tylko piosenka. Piosenki w duszy zakłada.
I kiedy świat zmienił się dla mnie w grób milczenia, piosenki ta
ciągle w duszy mi grała. Niemilcząca, niewyczerpana tworzyła z siebie
piosenki nowe.

Piosenki nieme, a jednak głodne, tak głodne, że potęgą dźwiękiem
swojego głuszyły zgrzyt zwich mowy zwątpienia.
Głębokim więc naprzód wyciwała przez ciemne światła, aż u schyłku
lat moich wyczołgałem w królestwo milosnego smutku.

I widzę dała świat inny, całkiem inny od świata ongi marzonego.
"Wiek rozwił me marzenia,
Znikł krok młodych lat"...

A jeżeli nie zaimam bezradnie ręk, jeżeli z gestem niechoć

nie odwróciłem się od dzisiejszego otoczenia, zasługa to pieśni.
Pieśni przez rodziców w dniach dzieciństwa mego śpiewanej. Co jak
nić złota wiąże mię z przeszłością.

„Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat”.

Inne i niepociągające. Żyję tym, co minęło i tym, co mnie
czeka.

Za ojcami wierni przyjaciele w grób się położyli.

I zginął bez śladu czasu wielkiej wojny najmłodszy mój brat
Władysław.

I umarł w pięknym dniu majowym 1923 r. w stolicy rakuskiej
ziemi młodszy brat Franciszek, a wieść o śmierci jego doszła mi po
roku.

Zostałem sam jeden - najstarszy i ułomny.

Zostałem, bym patrzył pełnymi łez oczyma na odchodzące w kra-
inę wieczności córki moje - w najpiękniejszych wiosen rozkwicie. Na-
dzieje starości mojej. W świętym wypełnianiu czwartego przykazania
wzory do naśladowania piękne.

*

*

*

Matki polskie ! Nad kołyskami dzieci waszych śpiewajcie pie-
śni. Śpiewajcie im przez cały czas pachołectwa ich.

Ciało ich piersią waszą karmcie, a dusze ich pieśnią krzeczcie!
Pieśnią nieskażoną, ojczystą.

A mocne i na wszelkie zło odporne i na wszystkie niedole har-
towne będą ich dusze.

I błogosławić będą pamięć waszą.

A u kresu życiowej wędrówki nie cienie ponure, a jasność
w tęczowej otoczy oglądać przed sobą będą.

Więc śpiewajcie pieśni !

nie odwrócić się od dzieł tego otoczenia, kaszuga to piękni.
Pieni przez rękaw w śniech dzieł tego otoczenia. Co jak

nie która waga z przeczucia.
„Ach, inne dzieł wrażeń,
Gdy rano okiem w świat”

Inne i niepodobne. Był tym, co minęło i tym, co miało

za ojcami wieni przyjaciele w grób się położyli.

I zginął bez śladu oszu wielkiej wojny najwspanialszy mój brat
Władysław.

I umarł w pięknym dniu majowym 1923 r. w szpitalu rakietowej
armii między brat Krzysztof, a wieść o śmierci jego doszła mi po

zostanem sam jeden - najstarszy i najmłodszy.

zostanem, tym patrzaj polnymi fer oczyma na odchodzące w kra-
inę wieczności córki moje - w najpiękniejszych wiosen rozkwicie. Na-

daleje starości mojej. W świętym wypełnianiu czwartego przykazania
wszyscy do nadszadowskiego piątku.

Matki polskie! Nad Kołpakami daleki waszych śpiwającie pie-
śni. Śpiwającie im prawa czyż ośca psychologicznie ich.

Ojciec ich pleśnie wase karmicie, a dnasz ich pleśnie kraspote!
Pieni niekiedy, ożycze.

A mowa i na wszelkie nie odporne i na wszystkie niedole har-
towne będą ich dusze.

I chociażby będą pamięć wasza.

A u kresu żywotnej wędrówki nie cienie pomurze, a jażnosc

w łozowej otoczony oglądać przed sobą będą.

Więc śpiwającie pieśni!

I n d e k s o s o b o w y .

A b r a h a m, patriarcha	II., 79
Adwentowski Karol, dr. fil., prof. w Tarnobrzegu	II., 23
Anczyc Władysław Ludwik, dramaturg w Krakowie	I., 143, 144, 155
B a b i c z Jan, poseł na sejm ustawodawczy	II., 59
Bandurski Władysław X. biskup	I., 147
Barke Jerzy, koniuszy zamkowy w Dzikowie	I., 100
Bertram kardynał, biskup wrocławski	II., 52
Bęc Michał, kmieć we Wielowsi	I., 111 - 112, 113
Bielewicz Antoni, sekretarz Wydziału Rady powiat. w Tarnobrzegu	II., 33, 37, 39, 45, 49
Bobrzyna Julia, wieśniaczka w Prusach pode Lwowem	I., 136 - 137
Bochniak Jan, inż. melior., radca rządu	II., 84
Bogusz Stanisław, dziedzic Siedlisk, pierwsza ofiara rabacji w r. 1846	II., 40
Bojko Jakób, działacz, pisarz i poseł ludowy do parlamentu austr., sejmu polsk., senator	I., 16, 157
Bolesław I. Chrobry, król	II., 75
Bożek Jan, retman w Sobowie	I., 24 - 25.
Broda Bartłomiej, woźny przy Stud. Roln. Uniw. Jag. w Krakowie	II., 57, 70, 79
Brodziński Kazimierz, poeta	II., 95
Brzostowski Antoni, włościanin ze Samborskiego	I., 134
Buczek Jan, nauczyciel w Sobowie	II., 37
z Bugaja Jantek, poeta ludowy w Paszkówce	I., 155, 156
Budny N., właściciel Bychawy w woj. lubelskim	II., 43
C a p a ł a Karol i Anna z Motyków w Sokolnikach, wujostwo autora	I., 20
Chąja Marcin, włościanin w Koźmierzowie, szwagier autora	II., 30 - 31
Chalcarz Józef, sędzia powiat., radca sądu w Tar- nobrzegu	II., 83
Chełpiński Szymon w Kołomyi	I., 137, 138, 139, 141, II., 27
Chołda Jan, kierownik szkoły w Karwinie	II., 97
Chruściel Jan dr. med., lekarz w Tarnobrzegu	II., 10
Ciechanowicz Władysław X. prob. we Wielowsi	I., 128 - 129
Cystersi w Koprzywnicy	II., 16
Czarnota Kazimierz, włościanin / syn / w Szarbi	II., 95, 96
" Tomasz " /ojciec/ "	II., 95, 96
Czartoryscy XX., dziedzice Puław	I., 157
Czech Rafał, małorolny we Wielowsi	I., 116
Czeppe Janina, nauczycielka w Tarnobrzegu	II., 11
Czernin Ottokar hr., austr. minister spraw zagr.	II., 25
D a b a l Tomasz w Sobowie, komunistyczny poseł do sejmu ustawodawcz. z pow. tarnobrz.	II., 35, 36, 37.
Dąbrówka, księżna polska	II., 75
Dolański Stanisław, dziedzic Baranowa Małopolsk.	II., 29
Dominikanie w Tarnobrzegu	II., 11, 15, 36
Dominikanki we Wielowsi	I., 21, 40, 127, 138
Dubiel Gabriel, redaktor "Przewodnika Wiejskiego" w Bytomiu	II., 55
Dubiszewski N. dr. med. dyrektor szpitala w Hru- bieszowie	II., 66 - 67
Dunał Wojciech X., proboszcz w Poborowicach	II., 99 - 100
F i e d l e r Józef, autor artykułów o Tarnobrze- szczyźnie w tarnobrz. "Dzienniku Urzędowym"	I., 134
G a j e w s k i Marceli we Lwowie	I., 144, 146
Galus Paweł, włościanin we Wielowsi	I., 90

Indeks osobowy.

I. 90	Gała Paweł, właściciel we Włostwie
I. 144, 146	Gała Paweł i Marceli we Włostwie
I. 134	szczytanie w tarnobrze „Dziennik Urzędowym”
II. 99-100	Fieler Józef, autor artykułów o Tarnobrze- płaszczowe
II. 66-67	Duliszewski N. dr. med. dyrektor szpitala w Hiru- w Bytomiu
II. 58	Dubiel Gabriel, redaktor „Przewodnika Wiejskiego”
I. 21, 40, 127, 138	Dominikanci we Włostwie
II. 11, 15, 38	Dominikanci w Tarnobrze
II. 29	Dołański Stanisław, właściciel Baranowa Małopolsk. kolejka polska
II. 75	do sejmu ustawodawcz. z pow. tarnobrz.
II. 55, 56, 37.	Dęba I Tomasz w Sobowie, komunistyczny poseł
II. 25	Geornia Ottokar hr., asyst. minister spraw zagr.
II. 11	Gepp Janina, nauczycielka w Tarnobrze
II. 116	Gepp Rafał, malarz we Włostwie
I. 187	Gęrzyński XX., właściciel Pław
II. 98, 99	Gęrzyński Tomasz
II. 98, 99	Gęrzyński Kazimierz, właściciel w Szarpi
II. 16	Gęrzyński w Koprzywnicy
I. 128 - 129	Giechanowicz Władysław X. prof. we Włostwie
II. 10	Gierociński Jan dr. med., lekarz w Tarnobrze
II. 97	Gierociński Jan, kierownik szkoły w Karwinie
II. 27	Chępiński Szymon w Kołomyi
I. 137, 138, 139, 141,	Chępiński Szymon w Kołomyi
II. 83	Chępiński Szymon w Kołomyi
II. 30 - 31	Chępiński Szymon w Kołomyi
I. 20	Chępiński Szymon w Kołomyi
I. 20	Chępiński Szymon w Kołomyi
II. 43	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 155, 156	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 37	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 134	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 98	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 57, 70, 79	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 24 - 25.	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 75	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 16, 187	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 40	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 84	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 136 - 137	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 33, 37, 39, 45, 49	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 111 - 112, 113	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 32	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 100	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 147	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 59	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 143, 144, 152	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
II. 32	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim
I. 143, 144, 152	Budy N., właściciel Syhawy w woj. lubelskim

Gargas N., dr., prezes zarządu głównego Teatrów i Chórów Włociańskich we Lwowie	I., 143, 144
Goetz + Okocimski Jan bar., w Okocimiu, nabywca dóbr Skowierzyn i i.	II., 47
Gołębiowski <i>Andrzej</i> , właściciel realności w Dzikowie	II., 35
Greger Wilhelm, inspektor szkolny w Hrubieszowie,	II., 64
Grochowiak Franciszek, dr. med., lekarz w Tarno - brzegu	II., 39
Gronek Bartłomiej, grabarz we Wielowski	II., 19
" Maria, córka Bartłomieja, także grabarz	II., 19
Grudzień N., dozorca w cukrowni w Zakrzówku	I., 65
Grudzińska Helena	II., 43
Gruszecki Stanisław, obywatel Kołomyi	I., 139
Gumiński Zdzisław, inspektor folwarków w dobrach dzikowskich, we Wymysłowie	II., 30
Gutowski Feliks, właściciel rolny w Nadbrzeziu	II., 70
H a m e r s k i N. , kowal w Zakrzówku	I., 70
Herostrates, osławiony w starożytności podpalacz świątyni celem uzyskania rozgłosu	I., 37
Hłyn Walenty, starosta w Hrubieszowie, profesor gimnaz. w Zamościu	II., 59 - 60, 65, 71
Horoch Kalikst bar., sprzedawczyk dóbr rodzinnych we Wrzawach żydowi	I., 102, 103 - 104, II. 47
Horoch Tadeusz bar., patriota, dziedzic Wrzaw, stryj Kaliksta	I., 101, 103
Horodyński Zbigniew, dziedzic Zbydniowa, marszałek powiatu tarnobrzesckiego	II., 8
Horodyski Władysław, dziedzic Gdeszyna	II.: 57, 58, 60
I g n a t o w s k a Danusia , wnuczka autora	II., 67
Ignatowski Władysław, nauczyciel w Gdeszynie, zięć autora	II., 65, 73
J a b ł o Ń s k i N. , czeladnik szewski w Tarnob.	I., 97
Jacek Odrowąż św.	I., 115
Jagiełło Władysław król	I., 147
Jagoszewski N., zastępca inspektora szkolnego w Hrubieszowie	II., 63
Jałbrzykowski Z., działacz oświatowy w T.S.L.	I., 136
Jan Kanty św.	I. 115
Janiszewski Józef X., proboszcz w Grębaninie	II., 17, 69, 74; 25, 76, 77, 80 - 81
Janiszewski Stanisław dr. med., w Poznaniu	II., 74
K a c z a k Jan , włocianin w Dąbrowicy Małopol.	I., 154
Kaden Józef, dr. praw, pełnomocnik dóbr dzikowsk.	II., 29
Kaleta Jan, powiat. instruktor rolny w Tarnobrzegu	II., 48 - 49
Kanarek Rachmiel, nabywca dóbr Wrzawy, Skowierzyn	II., 47
Karol I. cesarz austriacki	II., 25
Kasprzycki Józef X., prob. w Grębowie	II., 91
Klecan N., sekretarz starostwa w Kołomyi	I., 140
Klonowicz Szymon, poeta	I., 157
Klose Florian, górnik w Zabrze	II., 52 - 53
Kochański, exobywatel ziemski, robotnik w Zakrzówku	I., 66
Kolasiński Jan, krawiec i burmistrz w Tarnobrzegu	I., 93
Kolasiński Zygmunt, syn Jana, nauczyciel, badacz przeszłości Tarnobrzęga	I., 150 - 156
Kołaczkowski Kazimierz, dziedzic Strzyżewic i jego żona	II., 41 - 42 II., 43
Konopnicka Maria, poetka	II., 62, 71
Korfanty Wojciech, głośny działacz śląski w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, organizator powstania, poseł do sejmu, senator	I., 122 II., 51
Kościuszk Tadeusz, naczelnik powstania 1794 r.	I., 133, 155

Mieczysław I., książę polski	II., 75.
Milewski Tadeusz, dr. med., starszy lekarz powiat. i prezes koła TSL. w Kołomyi	I., 140, 142
Mojżesz prawodawca	II., 6
Moraczewski Jędrzej, premier rządu	II., 47
Motyka Agnieszka, żona Szczepana Szczytyń - kiego w Miechocinie, ciotka autora	I., 19
" Anna, żona Karola Capały w Sokolnikach, ciotka autora	I., 20, 91
" Gertruda, żona Józefa Ordyka w Dzikowie, ciotka autora	I., 19
" Helena z Chajów, babka autora w Sobowie	I., 19, 91, 96
" Mateusz w Sobowie, dziadek autora	I., 19, 21-22
" Matus, włościanin w Sobowie	II., 31
" Tomasz, uczeń rymarski w Sobowie	I., 94
Motas Wincenty, małorolny wieśniak w Grębowie	II., 3
N a g y N. hr., poseł do sejmu węgierskiego	I., 148
Namysłowski N., organizator i kierownik ze - społu orkiestry ludowej	I., 157
Niemojewski Andrzej, literat i powieściopisarz	I., 108
Nija, bogini w mitologii polskiej	II., 75
Nowak N., nauczyciel w Gdeszynie	II., 73
O k o ł o w i c z Józef, prezes T-wa Emi - gracyjnego w Krakowie	I., 154
Okon Eugeniusz X., radykalny poseł do sejmu ustawodawczego,	II., 35, 36
Ordon Szymon, Dominikanin w Tarnobrzegu	II., 36.
Ordyk Józef i Gertruda z Motyków w Dzikowie, wujostwa autora	I., 19, 93 .
Orkan Władysław, poeta i powieściopisarz	II., 82-83
Ossowski Władysław, knieź we Wielowski	I., 128
Otton III., cesarz niemiecki	II., 75
Otwinowski Erazm, pamiętnikarz	II., 83
P a d e r e w s k i Ignacy, słynny muzyk i kompozytor, premier rządu	I., 148
Pawlikowski Ferdynand, starosta w Kołomyi	I., 140
Piast, założyciel dynsty monarszej w Polsce	II., 74
Pierog N., majster hutniczy w Rudzie	I., 84
Piętak Jędrzej, wójt we Wielowski, krewny autora	I., 116., 118
Piłsudski Józef, organizator i brygadier le - gionów polskich, naczelnik państwa	II., 4
Piskozub Maria w Kołomyi	I., 140, 142
Preisendanz Fr., pedagog	II., 23
Promyk Kazimierz / Konrad Prószyński /, pe - dagog, autor sławnego elementarza	I., 54
R a c z y Ń s k i Józef, dr. praw, minister rolnictwa	II., 59 - 60, 71
Raczyńskich biblioteka w Poznaniu	II., 75
Raiffeisena kasa	I., 128
Reymont Władysław Stanisław, powieściopisarz	I., 158
Rinaldo Rinaldini, sławny włoski bandyta, od - powiednik do Janosika w polskiej góral - szczyźnie i do rusińskiego Dobosza	I., 100
Rutkowski Stanisław, redaktor "Zorzy" w Warszawie	I., 157
Rutyna Antoni, woźny Wydziału Rady Powiatowej w Tarnobrzegu	II., 5
Rychel Antoni X., wikariusz we Wielowski, późn. prob. w Miechocinie	I., 118
Rydel Lucjan, poeta w Krakowie	II., 26 - 27
Rydz Robert	I., 155
Rymar Stanisław, poseł do sejmu	II., 71
S a d o w s k i St., nauczyciel w Gdeszynie	II., 73
Salomon, król żydowski, uśobienie mądrości	I., 51

II, 78	Mieczysław I., ksiądz polski
I, 140, 142	Milewski Teodor, dr. med., starosta lekarz powiat. i prezes kolei TSL w Kołomyi
II, 47	Mojżesz prowadzący
I, 19	Motaczewski Józef, premier rząd
I, 19	Motyka Agnieszka, żona Szczepana Szczęsny - księgo w Miśchojnie, ciotka autora
I, 20, 21	" Anna, żona Karola Gąbry w Sokolnikach
I, 19	" ciotka autora
I, 19	" Gertruda, żona Józefa Ordyka w Dzikowie, ciotka autora
I, 19, 21, 22	" Helena z Chajów, babka autora w Bobowie
I, 19, 21-22	" Mateusz w Bobowie, brat autor
II, 21	" Matus, właściciel w Bobowie
I, 24	" Tomasz, naczelnik w Bobowie
I, 2	Motas Wincenty, malarz w Grębowie
I, 148	N a g y K. hr., poseł do sejm węgierskiego
I, 187	Nemysowski W., organizator i kierownik se - spoju orkiestry ludowej
I, 108	Niemcewicz Andrzej, literat i powieściopisarz
II, 73	Niża, bogini w mitologii polskiej
II, 73	Nowak K., nauczyciel w Górzynie
I, 154	O k o w i c a Józef, prezes T-ws Dmi - grzyńskiego w Krakowie
II, 38	Okon Eugeniusz K., redaktor pisma do sejm - gawobawoznego
II, 26	Ordon Józef, Dominikanin w Tarnobrzegu
I, 19, 23	Ordyk Józef i Gertruda z Motyków w Dzikowie, wujostwa autora
II, 22-23	Orkan Władysław, poeta i powieściopisarz
I, 128	Ossowski Władysław, kmiad we Włostwie
II, 73	Otto III., cesarz niemiecki
II, 23	Owiniowski Stanisław, pamiętnikarz
I, 148	P a d e r w a k i Ignacy, szlachecki muzyk i kompozytor, premier rząd
I, 140	Pawlikowski Ferdynand, starosta w Kołomyi
I, 74	Piast, książę polski dynastii piastowskiej w Polsce
I, 84	Pietrucz N., majster hutniczy w Rudzie
I, 116, 118	Pięk Józef, wójt we Włostwie, krowy autora - organizator i przyjaciel
II, 4	Pismow polski, nauczyciel państwa
I, 140, 142	Piskard Maria w Kołomyi
II, 23	Prezesański W., pedagog
I, 84	Promyś Karol / Karol Promyśki / ps - dzo, autor siwanego elementarza
II, 29 - 30, 71	R a z y m a k i Józef, dr. praw, minister rolnictwa
II, 73	Racynicki Józef w Poznaniu
I, 128	Rallienska Kasa
I, 128	Reymont Władysław, powieściopisarz
I, 100	Rinaldo Rinaldini, szlachecki pan w Górz - powieściopisarz do Janusza w polskiej Górz - powieściopisarz i do rzeźniarskiego Dobasa
I, 127	Rutkowski Stanisław, redaktor "Gorzy" w Węzku, w - wany wydawca Rady Powiatowej
II, 5	Rutyna Antoni, w Tarnobrzegu
I, 118	Rycheł Antoni J., wikariusz we Włostwie, ódm. prop. w Miśchojnie
II, 26 - 27	Rydel Ignacy, poeta w Krakowie
I, 128	Rydz Robert
II, 71	Rymar Stanisław, poseł do sejm
II, 73	S a b o w a k i St., nauczyciel w Górzynie
I, 21	Salomon, król żydowski, uosobienie mądrości

- Sherlock Holmes, słynny detektyw w beletrystyce kryminalnej II., 98
- Schippke N., dr. med. I., 48
- Sienkiewicz Henryk, patriota, powieściopisarz I., 118
- Skrobiszewski N., dr. med. lekarz pow. w Hrubieszowie II., 63, 64
- Skrzypek Michał, wieśniak w Sobowie I., 34
- Słomka Jan, wójt w Dzikowie, autor „Pamiętnika Włościanina” I., 16, 150, 152; II., 25, 82, 83
- ” ”, syn, dyrektor gimnazjalny I., 15, 132, 134, 156; II., 82, 83
- Smoła Jan, poseł do sejmu, w Winiarach I., 158; II., 49
- ” Michał, brat Jana, w Winiarach I., 158; II., 49
- Sobek Jan, poseł na sejm ustawodawczy II., 59, 60, 71
- Sobieski Jan, król polski I., 154
- Sosnowski Kazimierz, prof. Akad. Handl. w Krakowie II., 51, 56
- Spiss Tadeusz, starosta w Tarnobrzegu II., 83
- Stañczyk, sławny błazen królewski II., 38
- Stankiewicz Piotr, robotnik w cukrowni w Zakrzówku, I., 65
- Staszic Stanisław X., pisarz polityczny, twórca fundacji hrubieszowskiej II., 68
- Stoińscy, dawni panowie na Bychawie II., 43
- Stopyra Maciej, dyrektor spółki parc. „Ziemia” w Zamościu, osadnik i kier. szk. w Gdeszynie, II., 47, 57, 62-63, 66, 74
- Suleja Jędrzej, poeta podhalański I., 145
- Surowiecki Antoni, dr. praw, adwokat, działacz społeczny i burmistrz w Tarnobrzegu I., 150; II., 84
- Świętochowski Aleksander, pisarz i publicysta I., 108
- Swoboda Eugeniusz, starosta w Tarnobrzegu, pro-
tektor lokaln. „Dziennika Urzędowego” II., 8
- Sybilla, natchniona wieszczka w starożytności I., 157
- Symeon, biblijny starzec przy świątyni jerozol. II., 69
- Synowiecki Mikołaj, włościanin w Siedliskach B. II., 40
- Szańkowski Teofil, dr. praw, dziedzic Wierzbna II., 97
- Szczepanowski Stanisław, ekonomista i pisarz polityczno - społeczny II., 81
- Szela Jakób, przewodca rabacji w r. 1846 II., 40
- Szmit Paweł, włościanin unicki w Gdeszynie II., 68, 69
- T a r g o w s k i ~~Jan~~ dziedzic Winiar I., 158
- Tarnowska Maria z ~~hr. Adamowa~~ Czetwertynskich hr. Adamowa II., 10
- ” Róża z hr. Branickich hr. Stanisławowa I., 121-122, 124-125
- ” Zofia z hr. Potockich hr. Zdzisławowa II., 9-10, 94
- ” ” z hr. Zamoyskich, matka hr. Zdzisława, II., 94
- Tarnowski Jan, kasztelan krakow., hetman w. kor. I., 141
- ” Jan hr., syn hr. Zdzisława II., 94
- ” Stanisław hr. dr. fil., prof. Uniwersytetu Jagiell., prezes Akadem. Um. I., 119-121, 125, 129, 149
- ” Zdzisław hr., dziedzic dóbr klucza dzikowskiego i mokrzeszowskiego, właściciel słynnych zbiorów I., 99-100, 127, 149, 152; II., 5, 7, 9, 11, 46, 82, 94
- Tomczyk Piotr, wójt w Szarbi II., 95
- Trochimowicz N., prawosławny Rusin w Gdeszynie II., 69
- Trzeciak N., pełnomocnik dóbr w Baranowie II., 29
- Ulitzke N., antypolski działacz niemiecki na Śląsku II., 52
- Urbanik Ryszard, dr. med., dyr. szpitala powsz. w Tarnobrzegu II., 10, 25
- W a t s o n N., dr., bohater w powieściach sensacyjno - kryminalnych II., 98
- Wiącek Wojciech, włościanin w Machowie, działacz i pisarz ludowy, poseł na sejm I., 142; II., 83
- Wierzyński Hieronim, sekretarz zarządu akademickiego koła Tow. Szk. Lud. we Lwowie I., 133, 134
- Wiesenfeld Abraham Izak, skórnik w Tarnobrzegu I., 130 - 131
- ” Sucher ” ” I., 129, 130
- Wilhelm II., cesarz niemiecki II., 25

Indeks miejscowości

Bia r a n ó w Małopolski p. tarnobrzegi	t.II.	str. 29
Bełżyce, w. lubelskie	I.	75
Berdyczów, Podole	II.	30
Białawieska puszcza, w. białostockie	II	54
Bochnia	I.	155
Borek miechociński ad Tarnobrzeg	II.	25
Bronisławka, Chełmszczyzna	II.	68
Brześć n/B.	II.	24
Brzostek, w. krakowskie	II.	40
Brzoza Stadnicka p. Łańcucki	II.	47
Bug rz.	II.	55, 58
Bukowina	II.	17, 74
Bychawa w. lubelskie	I.	9, 73; II. 42
Bystrzyca w. lubelskie	II.	42,
" rz.	II.	42, 43
Bytom, Śląsk Górny	II.	51, 52, 53
C h l e b o w i c e, Małopolska wsch.	I.	144
Chłopy "	II., 70,	82, 90
Chroniówka, Chełmszczyzna	I.	80, 83
Chwałowice p. tarnobrzegi	I.	88
Chybie p. miechowski	II.	98
Częstocice p. sandomierski	II.	81
D ą b r o w a Wrzawska p. tarnobrzegi	I.	101
Dąbrowica Małopolska, p. tarnobrzegi	I.	154
Dzików p. tarnobrzegi	I.	19, 99, 120,
		127, 142, 149, 150-151, II., 7, 9, 10, 11, 13
		-16, 17, 19, 29, 35, 50, 82, 92-93, 94-95
Gądki, Wielkopolska	II.	76
Gdańsk	I	157; II., 54, 81
Gdeszyn p. hrubieszowski	II.	47, 49, 50, 57
		-59, 61-62, 65, 69, 71, 72, 74
Gniezno	II	74
Gopło jez.	II.	74
Gorzyce p. tarnobrzegi	II.	90
Grabowiec p. hrubieszowski	II.	61, 68, 69
Grębanin, Wielkopolska	II.	74, 76-77
Grębów p. tarnobrzegi	II.	3, 91
Grunwald, Prusy Wsch.	I.	147
Grywałd p. nowotarski	II.	82
H a n d z l ó w k a p. Łańcucki	II.	59
Hrubieszów w. lubelskie	II.	63, 64, 66
I g o ł o m y j a p. miechowski	II.	97, 99
J a n o w i e c w. lubelskie	I.	157
Józefów w. lubelskie	I.	157
K a h l e n b e r g koło Wiednia	I.	154
Kalwaria Zebrzydowska pod Krakowem	I.	156
Karwin p. miechowski	II.	72, 77-78, 80,
		95, 97-98, 99-100.
Kazimierz Lubelski	I.	154
Kępa ad Wielowieś p. tarnobrzegi	I.	19, 22, 23, 88
Kępne, Wielkopolska	II.	76, 77, 81
Kiełczewice w. lubelskie	II.	42
Koćmierzów koło Wielowisi, p. tarnobrzegi	I.	36; II., 30
Kocmyrzów pod Krakowem	II.	80, 81
Kołomyja, w. tarnopolskie	I.	137, 139, 140,
		141, 142

I n d e x w i e s t a c o w o s c i

141, 142	I.	Koźmija, w. tarnopolska
137, 138, 140,	I.	Koźmierz pod Krakowem
80, 81	II.	Koźmierz koło Wielkopolki, p. tarnopolska
38; II, 30	I.	Kiełczyce w. lubelskie
42	II.	Kiełczyce w. lubelskie
76, 77, 81	II.	Kiełczyce w. lubelskie
19, 22, 23, 28	I.	Kiełczyce w. lubelskie
154	I.	Kiełczyce w. lubelskie
95, 97-98, 99-100,	II.	Kiełczyce w. lubelskie
72, 77-78, 80,	II.	Kiełczyce w. lubelskie
156	I.	Kiełczyce w. lubelskie
154	I.	Kiełczyce w. lubelskie
157	I.	Kiełczyce w. lubelskie
157	I.	Kiełczyce w. lubelskie
97, 99	II.	Kiełczyce w. lubelskie
83, 84, 86	II.	Kiełczyce w. lubelskie
59	II.	Kiełczyce w. lubelskie
82	II.	Kiełczyce w. lubelskie
147	I.	Kiełczyce w. lubelskie
3, 91	II.	Kiełczyce w. lubelskie
74, 76-77	II.	Kiełczyce w. lubelskie
61, 62, 63	II.	Kiełczyce w. lubelskie
90	II.	Kiełczyce w. lubelskie
74	II.	Kiełczyce w. lubelskie
74	II.	Kiełczyce w. lubelskie
-59, 61-62, 63, 64, 71, 72, 74	II.	Kiełczyce w. lubelskie
47, 48, 50, 57	II.	Kiełczyce w. lubelskie
137; II, 54, 81	I.	Kiełczyce w. lubelskie
78	II.	Kiełczyce w. lubelskie
-16, 17, 19, 22, 23, 25, 28, 29, 32, 34-35	I.	Kiełczyce w. lubelskie
127, 142, 149, 150-151, II, 7, 9, 10, 11, 13	I.	Kiełczyce w. lubelskie
101	I.	Kiełczyce w. lubelskie
154	I.	Kiełczyce w. lubelskie
19, 22, 120,	I.	Kiełczyce w. lubelskie
154	I.	Kiełczyce w. lubelskie
101	I.	Kiełczyce w. lubelskie
81	II.	Kiełczyce w. lubelskie
98	II.	Kiełczyce w. lubelskie
88	I.	Kiełczyce w. lubelskie
80, 82	I.	Kiełczyce w. lubelskie
144	I.	Kiełczyce w. lubelskie
51, 52, 53	II.	Kiełczyce w. lubelskie
42, 43	II.	Kiełczyce w. lubelskie
42, 43	II.	Kiełczyce w. lubelskie
9, 73; II, 42	I.	Kiełczyce w. lubelskie
17, 74	II.	Kiełczyce w. lubelskie
55, 58	II.	Kiełczyce w. lubelskie
47	II.	Kiełczyce w. lubelskie
40	II.	Kiełczyce w. lubelskie
24	II.	Kiełczyce w. lubelskie
68	II.	Kiełczyce w. lubelskie
68	II.	Kiełczyce w. lubelskie
153	I.	Kiełczyce w. lubelskie
54	II.	Kiełczyce w. lubelskie
30	II.	Kiełczyce w. lubelskie
75	I.	Kiełczyce w. lubelskie
29	II.	Kiełczyce w. lubelskie

Komarno, Małopolska Wsch.	I., 143
Koniuchy, w. lubelskie	II., 57
Koprzywnica p. sandomierski	II., 4, 16
Kórnik, Wielkopolska	II., 76
Korytyna, Chełmszczyzna	II., 68
Kościelec pod Krakowem	I., 115
Kraków	I., 120, 121, 122-124, 133, 136, 143, 147, 154, 155; II., 22, 25, 53, 57, 70, 74, 77, 79, 80, 81
Kruszwica, Wielkopolska	II., 74
Lubalin	II., 7, 10, 33, 57, 58, 63
Lwów	I., 133, 143; II., 24, 65, 67
Zańcut w. lwowskie	II., 58
Machów p. tarnobrzesci	I., 142; 83
Majdan	I., 67 II., 44
Malechów	I., 144
Miechocin p. tarnobrzesci	I., 19
Miechów, w. kieleckie	II., 72
Mirosławice koło Żychlina	I., 154
Mokrzyszów p. tarnobrzesci	II., 36
Mołodiatycze p. hrubieszowski	II., 57, 62
Nadbrzezie pod Sandomierzem	I., 93, 159 II., 70, 82, 90
Nagnajów p. tarnobrzesci	II., 15
Nisko, w. lwowskie	II., 23
Nowy Sącz w. krakowskie	II., 58
Obertyn w. tarnopolskie	I., 141
Paszkówka w. krakowskie	I., 156
Pietrzyce, Małopolska Wsch.	I., 144
Pilica	II., 96
Pińczów, w. kieleckie	II., 81
Piotrowice w. lubelskie	II., 33, 42
Poborowice p. miechowski	II., 99
Podhorce w. lwowskie	I., 144
Posadza pod Krakowem	II., 80, 81, 99
Poznań	II., 74, 75, 76
Proszowice p. miechowski	II., 79, 80: 81, 98
Prusy pod Lwowem	I., 136, 144
Prut rz.	I., 141
Pszczelin pod Warszawą	I., 157
Puławy w. lubelskie	I., 156, 157
Racławice pod Krakowem	I., 155, II., 95
Radomyśl n/S p. tarnobrzesci	II., 14, 35
Rejowiec w. lubelskie	II., 57
Rozwadów n/S p. tarnobrzesci	II., 14, 57
Ruda, Chełmszczyzna	I., 83
Rudnik n/S p. niżański	I., 149
Rzeszów w. lwowskie	II., 65
Sambor	I., 134
San rz.	I., 101, 105; II., 70
Sandomierz	I., 22, 90, 149, 156, 159; II., 5, 82
Siedliska Bogusz p. tarnowski	II., 40
Sielec p. tarnobrzesci	I., 127
Skowierzyn p. tarnobrzesci	I., 104; II., 47
Smarzowa p. tarnowski	II., 40
Sobów p. tarnobrzesci	I., 19, 23, 27, 28-32, 40, 88, 90, 93, 94, 96, 98, 101; II., 31, 35, 36
Sokolniki pod Lwowem	I., 144
" p. tarnobrzesci	I., 20
Solec w. lubelskie	I., 157
Stale p. tarnobrzesci	II., 81

I., 143	Kamarno, Wielkopolska Wsch.
II., 57	Konin, w. lubelska
II., 16	Koprywnica p. sandomierski
II., 76	Kozmin, Wielkopolska
II., 88	Korczyn, Chelmszczyzna
I., 115	Kobielice pod Krakowem
I., 120, 121, 122-124, 123, 126, 143	Krakow
I., 22, 23, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200	Krasowice, Wielkopolska
II., 74	
II., 7, 10, 33, 37, 38, 63	
I., 132, 143; II., 24, 65, 67	
II., 58	3 a m o t w. Iowackie
I., 142; 83	M a c h o w p. tarnobrzanski
I., 87 II., 44	Majdan
I., 144	Mielichow
I., 19	Mischowin p. tarnobrzanski
II., 72	Mischow, w. kielecka
I., 124	Miszawice kolo Zychlina
II., 36	Mokrzyzow p. tarnobrzanski
II., 27, 62	Molodziejowice p. tarnobrzanski
I., 93, 128 II., 70, 82, 90	Nadbrzezna pod Sandomierzem
II., 18	N a g a d o w p. tarnobrzanski
II., 23	Nisko, w. Iowackie
II., 58	Nowy Sacz w. Krakowska
I., 141	O b e r z y n w. tarnopolaska
I., 124	P a z k o w k a w. Krakowska
I., 144	Pietrzyce, Wielkopolska Wsch.
II., 98	Pilice
II., 81	Pieczow, w. kielecka
II., 33, 42	Pietrowice w. lubelska
II., 29	Poborowice p. mischowski
I., 144	Podhorze w. Iowackie
II., 80, 81, 99	Powadz pod Krakowem
II., 74, 75, 76	Poznan
II., 79, 80; 81, 98	Przewodice p. mischowski
I., 136, 144	Przewodice pod Iowem
I., 141	Przyrzecze pod Krakowem
I., 127	Radziszowice pod Krakowem
I., 126, 127	Radzyw, w. lubelska
I., 128, 129	R a o f a w i c e pod Krakowem
II., 14, 35	Radowiszow p. tarnobrzanski
II., 57	Rejowice w. lubelska
II., 14, 57	Rozwadow p. tarnobrzanski
I., 83	Ruda, Chelmszczyzna
I., 149	Rudnik p. niemcecki
II., 62	Rzeszow w. Iowackie
I., 134	S a m b o r
I., 101, 102; II., 70	San sz.
I., 22, 30, 142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200	Sandomierz
I., 40	Studzianka Bogusz p. tarnobrzanski
I., 127	Stule p. tarnobrzanski
I., 104; II., 47-100	Skwierzyn p. tarnobrzanski
II., 40	Smarow p. tarnobrzanski
I., 19, 23, 27, 28-32, 40, 68, 90, 92, 94	Sobow p. tarnobrzanski
98, 98, 101; II., 31, 32, 36	
I., 144	Sokolniki pod Iowem
I., 30	" p. tarnobrzanski
I., 127	Soles w. lubelska
II., 81	Stale p. tarnobrzanski

Strzyżewice w. lubelskie	II., 33, 41-42, 43, 49
Świerczyna "	I., 53
Swirze, Małopolska Wsch.	I., 144
Synaj góra biblijna	II., 6
Szarbia p. miechowski	II., 95, 96, 97
T a r n o b r z e g w. lwowskie	I., 25, 26, 34, 48, 93, 99, 110, 119, 129, 131, 150; II., 3, 5-9, 11, 14, 15, 17, 20, 22, 23-25, 30, 34-35, 36, 37, 48, 57, 83, 84, 88, 89, 90, 91-92.
Tatry	II., 55
Toruń	II., 54
Trześć p. tarnobrzegi	I., 111 ; II., 90
Trześniówka rz.	II., 90
Tuczne, Małopolska Wsch.	I., 144
Tyflis, Kaukaz	II., 14
W a r s z a w a	I., 147, 156-158, II., 49, 54, 58
"Wianek" w Tarnobrzegu	II., 89
Wiąckowice p. miechowski	II., 99
Wiedeń	I., 48, 138, 152, 153, 159 ; II., 5, 8, 12, 23, 25
Wielowieś p. tarnobrzegi	I., 19, 26, 27, 31, 36, 40, 75, 88, 96, 98, 113, 116, 126, 127, 128, 134, 142, 149, 150 ; II., 19, 30, 31, 81
Wierzbno p. miechowski	II., 97, 99
Wierzchosławice p. tarnowski	II., 79
Winiary p. sandomierski	I., 158 ; II., 49
Wronin p. miechowski	II., 95
Wrzawy p. tarnobrzegi	I., 101-105, 114 ; II., 70, 90
Wymysłów ad Dzików	II., 6, 15, 30
Z a b r z e, Śląsk	II., 52, 53
Zakopane	I., 143, 154, II., 65
Zakrzówek w. lubelskie	I., 55, 70, 75, 76, 78 ; II., 43-44, 87
Zaleszany p. tarnobrzegi	II., 17
Zamość	II., 47, 57, 63, 65
Zawada, w. lubelskie	II., 57
Zawichost p. sandomierski	I., 158
Zboiska, Małopolska Wsch.	I., 144
Zwierzyniec ad Dzików	II., 5
Zychlin, Mazowsze	I., 154

